

tytuł: "**Czarny potok**"

autor: **Leopold BUCZKOWSKI**

KOLEKCJA PROZY POLSKIEJ XX WIEKU

Drogi i nocy nie było końca. Dopiero nad ranem Heindl dowlókł się po roztopach do Trójnoga i namacawszy w chacie okno zastukał. Gorące czoło dotknęło szyby, mówił: - Otwórz, nie bój się. Otwórz, nie ma się nad czym zastanawiać. Bo żebyś potem nie żałował; zachowujesz się, jakbyś nie zdawał sobie sprawy z tego, co zaszło. Z ciemnego otworu drzwi do sieni słychać było czyjeś niecierpliwe i zmęczone wyczekiwaniem szepty. - Jak się czujesz, co? - pytał ten z ciemności.

- Coraz gorzej. Ale teraz, kiedy się to już stało ze mną, nie żałuję żadnej chwili. - A czegoś ty poszedł nie tymi drzwiami? Wyszliśmy zaraz na schody za tobą, a tyś upadł nosem do ziemi. Podnieść nie było czasu. Żydzi z bandy Szaji szukali ciebie i my też. Rankami Cyruliński i Dukat, w południe szli na zmianę Kunda z Latadywanem. Kunda znalazł zabitego wnuka Buchsbauma pod Bołdurkami za stawem i opowiadał, że do figury Pana Jezusa w lesie ktoś strzelał z dum--dum, a trochę dalej na ścieżce do Hucisk leżała laska i tefilim i on to przyniósł do domu. A ciebie nigdzie nie było, cały rok. Trzeba, żebyś się usprawiedliwił, bo ludzie powiadają, żeś tyle biedy nawalił. - Nawalił, to nawalił - mówił przybyły. - To tak samo jak z tym człowiekiem, który postawił most nad

bagnem niby dla pokuty. I pewnego razu poszedł ten grzeszny człowiek pod most - stanął i słucha, co też ludzie mówić będą o jego uczynku. I idą ludzie, jedni klą, że drewniany, drudzy łaja, że za wysoki i wiatr tam zimny wieje, że dziura się zrobiła - zwyczajnie jak ludzie. Pierwszy strzelił, powiadasz? Ja bym też mógł zapytać: zarygłowałeś drzwi, tak jak było mówione? Ja miałem na głowie i furaz dla koni, i papierosy dla Chaima, z apteki maść na krosty, wystarać się o obrazki świętego Antoniego dla Emilki, bo tak jej się zachciało, i kupa innego, że ci teraz tego nie wyliczę. Każdy tam mógł być pierwszy. Siedziałem ze szklanką ciepłego mleka. Kunda mówił: "Na tę zapłutą pogodę trzeba było zabrać brezent." A ja: "Dobrze jest, przypomniałem sobie, że Bemstein zostawił taki sam brezent furgonowy u Hanczarki - pójdziemy dziś do niej przed wyjazdem i to się zabierze od tej szmaty, ceregieli żadnych robić się nie będzie." Różia wdziawała spodnie na drogę, bo jej tak radziłem. Stała za krzesłem i zagarniała sukienkę w te spodnie. A ty, na środku, kręciłeś papierosa. Trzeba było zarygłować drzwi albo strzelić na filunek. Ani Szerucki, ani Kunda nie mieli bronii tego dnia przy sobie, prosta rzecz. I kiedy z tamtej strony padł strzał - zacząłeś krzyczeć. Po cholere było to robić? I nie dziw się, że już nie miałem do ciebie zaufania. Tak jak z tym smrodem, który dokucza. Faceta takiego już nic nie uratuje, jak się zaśmierdzi. A ty wiesz, że życie w każdej swojej chwili ma wielkie znaczenie, choćby dlatego, że zawsze jest na stole ten sam wabank. Wyśliznąć się nie da. Szpiclom to się czasem udaje, ale w końcu przejedzie się po nich chlebowadca, i leży taki kot rozjechany na błocie. Słyszałeś, jak Ciszka prosił: "Ach, nie zabijcie mnie! Będę wam służył." "Sukin-ty-synie!" - krzyczał Szerucki i dał mu w duszę tajniacką, aż się obsrał. Można było patrzeć na tę rozprawkę z prawdziwym współczuciem, ale nie o to chodzi. Przecież to dopiero początek. Pomyśl, co zrobili z Rózią. Jak ją rozciągali do gwałcenia - ona mówiła: "Błagam was, dajcie mi spokój" - toś ty akurat przebiegał po moich plecach. Niech ci to stoi w pamięci: Różia dławiła się dwoma palcami mazepińca i nie mogła oddychać. Trzeba było strzelić, każda chwila ma swoje znaczenie. Wąskopyski ci tego nie daruje. Ty wiesz, taki chudy człowiek o stalowych oczach i cienkim nosie - nikomu nie

daruje. Becniesz za Rózię, trzeba ją było ratować. To ci nic nie pomoże, ile byś nie miał pokątniaków. On zastuka kiedyś do ciebie, gdzie byś się nie skrył. On ci da kres. -

Rozdrażniasz się - powiedział ten z ciemności. - Zawsze mówiłem każdemu, że jesteś mądry chłop, tymczasem zbaraniałeś tej nocy. Po jakie lichy byłoby tobie być takim ciętym na mnie. Tobie może się zdawało, że ja coś mam z Rózią. Powiem ci uczciwie, że nie. A jeżeli sobie tego życzysz, to powiem, że... Szerucki. Nie zgrzytaj zębami. Szerucki skrył jej matkę w Huciskach, nie spuszczał z niej oka. A cholera wiedziała, że to oni weszli do sieni. Stawiałem na twój niuch. A to zaczął jeszcze trzeszczeć budzik na komodzie, Szerucki skoczył, żeby go zatrzymać. "Wszystko w porządku" - powiedziałeś i to mnie zmyliło. I co ci jeszcze chciałem przypomnieć: nie miałeś tej pary w sobie. Dusileś w palcach kruszynki chleba. Nie mogę przystać na to, żeby wszystko na mnie zwał. Przyznaj się do błędu. Skoczyłeś nie w te drzwi. To Kunda krzychał - nie ja. Zajechali mu w brzuch, on rzucił ręce między nogi i jęczał, potupując nogami, jakby ogień dusił. I lampa zgasła od huku. Cholera wie, do kogo było wygarniać - tu cień, tam cień. Rózia zaplatała się pod ręce. Ani ona mi nie droższa, ani tańsza od sprawy. Zdawało się, że biegnie krok w krok za mną. Dobra jest - pomyślałem przez moment. A tymczasem ty upadłeś pierwszy w progu, a za mną biegł Szerucki, nie Rózia. -

Nie, nieprawda twoja. Trzeba było wrócić, oświecić baterijką i strzelić w kupę. Strach popędził ciebie i po-

myślałeś: ach, nie warto, bo i tak musi być coraz gorzej. Nawet jeszcze wtedy, jak padałem, nie dopuszczałem myśli, że jesteś człowiekiem, któremu słońce już znikło z oczu. - Co ty wiesz, co ja myślałem - powiedział ten z ciemności. - Gadasz jak ksiądz, który nabija beczkę słowami w wielkim pośpiechu. Rozumiem twoje rozdrażnienie, ale dlaczego ty nie zastanowiłeś się, to by mogło niejedno wyświecić. - Co wyświecić? - spytał przybyły.

- Rózia mówiła przed wieczorem do Szeruckiego: "Pomów z nim o tym. Wąskopyski chce mnie skryć u siebie, ale ja wołałabym już na ten temat nie mówić. Wołałabym nawet tamtą propozycję, bo byłoby mi bliżej ojca." Rzec się rozumie - byłoby jej bliżej sasowskich kamieniołomów. Do głowy ci nie przyszło, że dziewczyna cierpi. Nie chciała was poróżnić. -

Ja ci powiem, kiedy oni weszli do sieni, byłem pewny, że to Wąskopyski, a moje przekonanie do niego, choć go na oczy nie widziałem, miało znaczenie. Nie stać mnie było, żeby ci to powiedzieć. Byłem u ciebie na waleta. Gość, który przeszedł przez bicie kryminałki, to tak jak szczur, który przeszedł przez palenisko. - Ty go nie obrzucaj obelgami - powiedział tamten. - Coś, czego zupełnie nie rozumiesz, chcesz pomieszać z rzeczami kryminalnymi. Mówisz jak człowiek, którego uderzył ktoś nagle z tyłu kułakiem po głowie, nim zdążył dowiedzieć się cokolwiek o życiu. - Nie ma sensu podsycać w sobie rozdrażnienia. Jaka obelga? Chodzi tylko o to, że ja nie miałem wiary i to doprowadziło do takiej sytuacji. Nic nie poradzę. Jeszcze przed zabiciem Tońki wszystko miało swój sens, bez względu na powodzenie czy niepowodzenie, wszystko wydawało się jaśniej oświetlone. Teraz przeżuwasz sam siebie i palcem nie ruszę. Kiedyś wyłamywałem wszystkie drzwi, żeby ją 10 wydostać. Dziś całuję miejsce, gdzie padła. Niczego się nie spodziewam, niczego nie oczekuję. - Buchsbauma widziałeś kiedy? - spytał ten z ciemności.

- W tydzień po Nowym Roku znalazły go dzieci Hyndy Glas. Leżał zamrożony pod sosną, odtajało trochę pod nim, nic więcej. Gąbczasta, wyblakła twarz. Na obnażonej piersi leżała siwa broda. - A kto go pochował?

- Jacyś dwaj ludzie, którzy ocalili z sasowskich kamieniołomów. Wiara u hutniaków, jakoby on tam jeszcze chodził i zbierał na polu na pół zmarznięte dzieci, powstała z tego, że ktoś rzeczywiście wychodzi z krzaków i przystawiwszy dłoń do czoła patrzy z pagórka na spaloną Szabasową. Z sylwety - mężczyzna. To może być gabe Gudeł. - Opowiadał mi ktoś z Szabasowej, że Buchsbaum znalazł tę małą Kalmę w polu, pod Pasiekami. Gdzie ona potem była? - U Arbuzowskiej, która już owdowiała.

- Co się stało? Taki tęgi chłop.

- Przyszli mazepińcy zabierać krowę. Była noc. Arbuzowski nasłuchiwał. W sąsiedztwie krzyk. Zrobiła się smuga światła od pożaru. On wybiegł skulony, rozchełstany, z siekierą w ręce. Przebiegł podwórze. Posłyszał stukot koło drzwi stajni. Rzucił się tam, kogoś rąbnął, zamachnął się jeszcze raz... rąbał bez pamięci. Jeszcze wrócił do wrót i tego we wrotach zdzielił obuchem. Upadł. Rano dym obciążony wilgocią ścielił się po ziemi i polał się przez las, w jar i nad jar. Czad i głucha cisza. Arbuzowska przelamentowała całą noc. A resztę śnieg zamiótł. Zajęcie namereżkowały swoje, czasem sroka poskakuje za myszą. - A przypomnij sobie, kto tam przyszedł do tego pożaru. Stałem w bażniku, słysząc było, jak Arbuzowska zawołała: 11

"Jezu kochany, a ty się gdzie tu wziął?! Ha?"

"Tak czy tak, nie będziesz wiedziała" - mówił ten drugi. Arbuzowska stała ze spuszczoną głową nad trupem męża. "O Jezu! Jak to się szybko zajęło."

"Ty się nie denerwuj. Włóż w żar i szukaj tej blaszanej bańki. Ona powinna być tam bliżej pieca. Tam powinna być też główka od maszyny krawieckiej." - A tu pomyśleć, jeszcze z wieczora Arbuzowska zapalała światło, wieczorem szykowała przybłędom. A może krowę doła. Jezu, pomyśleć! Ty wlałeś do żaru i wyciągnąłeś kosturem kółko z maszyny, blaszaną umbrę i jeszcze jakieś druty z samo-trzasku. "Myślałem, że już masz" - mówił ten z boku.

"Ty, czekaj. Przecież ta amunicja mogła z gorąca wypalić i z blaszanki ni kłaka nie zostało. Może by tak oblać tu wodą, bo bardzo mnie dusi? O, jak dusi!" Ostry wiatr posypał iskrami. Ty, pochylony, wyszar-pywałeś coś ciężkiego spod główki. "No, jest?" - dopytywał tamten.

"Trudno..." - sapaleś.

"Ty fajny chłop, bracie. Ciągnij!"

"Jezu! Tu pod dylami ktoś leży spalony!" - krzyknąłeś.

"Kto taki? Co?"

"Zawiń głowę czymś mokrym i chodź tu, pomożesz. Dusi bardzo." I ktoś skoczył w żar. Kto to skoczył?

- Chuny Szaja. Wyciągnęliśmy upieczonego. To była Różia Amstein. Zmordowani poszliśmy przesiedzieć resztę nocy do gajówki. Tam się zagnieździł Aron Tykies i robił trumny dla rozstrzelanych Polaków w Cisnej. Piekł w fajerce kartofle dla siebie i dla dzieci tam schodzących po zabitych Katzach, Ruchli Karawan, Propstach i Chany Gutman., Pies jakiś przysłał do dzieci i chodził z nimi wszędzie. Nazwali go Bas. Troje z tych dzieci, jak przyszły zimne dni, zabrała Arbuzowska, ścieliła im w żłobach... Tej nocy zastaliśmy w warsztacie gajówki szpicla. Siedział na trzaskach koło pieca i dłuwał w zębach. Tykies bajcował trzy trumienki. Kocięta siedziały na warsztacie. Jak przyszliśmy, to ten siedzący na trzaskach milczał i śledził twarz Chuny Szaji, zapadniętą, bladą, z drogimi siniakami pod oczyma. - Wstań! - krzyknął Szaja. Obszukał go wszędzie. Tykies mrugnął znacząco do mnie. - Co ty za jeden? - spytałem, udając wariata. - Podejdź bliżej do światła! Podszedł najeżywszy się. Strąciłem mu czapkę. Czoło jego było mokre. Nic nie miał do powiedzenia. Chuny Szaja poznał go. No, ale tę robotę trzeba było odłożyć. Nie chcieliśmy zapaskudzić gajówki. Na razie siedliśmy i zapalili. Ściągnęliśmy buty, pokładli onuce na blaszanym kolanku od pieca i kazaliśmy temu skazanemu na śmierć podkładać trzaseczki. - Po troszeczkę, ty w tryzubie goniony, kładź i pilnuj, bo blacha się zaczerwienia. Odrętwiały kładł trzaski w równych odstępach i pilnował naszych onucek. Odpoczywaliśmy, ułożywszy się na wiórach. Przywykli do niebezpieczeństwa, po śmierci dzieci, Chuny Szaja szedł prosto na spotkanie wroga i nie odwracał się plecami do rzeczy najstraszniejszych. Obudziła się w tym spokojnym i pracowitym człowieku zimna brutalność i nie-13

pokój. Widziałem go w świetle - leżał, pod głową miał obydwie kulaki. Przypatrując się robocie Tykiesa, uśmiechał się i żuł wargami. Tykies kłykiem szmacianym owiniętym

dokoła wskazującego palca malował krzyż na wieku trumienki. Cokolwiek Tykies powiedział po żydowsku, to Szaja zaraz mi tłumaczył. Kochał mnie i oddany mi był bezgranicznie jak pies. Ja go rozumiałem i ceniłem w robocie i za rozsądek, bo nieraz jego rozważa dała dużo, zwłaszcza kiedy trzeba było nocą coś zdobyć do żarcia. No i psycholog to on był lepszy. On właściwie odkrył nam, że ta Hanczarka - poza szpicelkowaniem - była chorobliwą rajcmacherką. Noc była spokojna, od czasu do czasu zahałasował w lesie strzał i po takim strzale zaszumiało, jakby groch przesunął po nieckach. A my sobie leżeliśmy rozpuściwszy pasy na brzuchach, żeby zażywa też wypoczęły, i wspominali to o tym, to o owym. Przypominaliśmy, jak biegliśmy raz długim parowem do zrębu. Robiła się jesienna noc - zimna i mokra. - Śmierć już jest nudna - powiedział ten Czech. - A wyrok śmierci... no nie? Inna rzecz na przykład wyrok śmierci na konia. Odczytany i wykonany publicznie, byłby, uważam, nie do zniesienia - mówił ten inteligent z Pragi. - Ale interesujące byłoby zachowanie świadków, obrony i prokuratora. Taka rozmowa urywała się zwykle, bo trzeba było myśleć o żarciu, ciepłym kącie i kimaniu albo nowej ucieczce i walce. Ten skazany przez nas na śmierć tarł w dłoniach onucę Chuny Szaji, podszedł do światła i pilnie paznokciem wyskrobywał każdą pecynkę. - Jakże to straszne wszystko - powiedział Chuny. Popatrzyliśmy sobie w oczy. A ja sobie pomyślałem: Czy kocha tego tajniaka jaka dziewczyna? Młody byk! Głośno spytałem go: - Ty kobietę jaką masz? 14 - Czemu nie? - odpowiedział. Chuny Szaja podniósł się na łokciu. - No i pomyśl - powiedziałem do Chuny - i takiego dziewczyna kocha. - A może by ty nas tam do niej zaprowadził. Co? - spytał Chuny. Zaświtała nam w głowie jedna równocześnie myśl. - Jej tu w tym rejonie nie ma - powiedział tajniak. - Nic nie szkodzi, my i tak do niej trafimy - odpalił cierpko Chuny. - Ty wiesz, gdzie ona mieszka? - zwróciłem się udając zdziwienie. - Pewnie, że wiem. Każde słowo sobie zapisałem w pamięci. Chuny spojrzał na zegarek. - Za dwadzieścia czwarta. Wyprowadź go za próg i stuknij. Ale tak, wiesz, jak on trochę odbiegnie, to ty go w plecy. Ale buty niech zostawi. Zdziewaj buty! - krzyknął Chuny, a do mnie zamrugnął i szeptem: - Trzeba zrobić porządek z tym wszystkim. Wstałem i stąpając po deszczułkach zbliżyłem się do pieca. Onuce zaskorupały, potarłem je w garściach. Nagle z sufitu posypało się wapno, zgasła świeca. Widziałem w błysku, jak Chuny z pochyloną głową leciał do progu. Granat wybuchł pod chałupą. - Jesteś koło pieca? Podaj buty - szeptął. Podałem mu buty i tak leżąc wpychaliśmy nogi do cholew. Przeturkotał z lasu po ścianach ktoś z automatu. I znowu łoskot po lesie. Jak na rozpaloną patelnię rzucone masło, tak rozmaite myśli poczęły wypryskiwać mi w głowie, najpierwsza i najżywsza to - uciekać, przeczołgać się do sieni. Kto to tak wali bez opamiętania w gajówkę? Rozdzielić się trzeba, bo jak walnie granat do środka... Martwiło też to, że onuca zakociurbiła się i ani rusz nie mogłem wzuć nogi dalej jak w podbicie. 15

- Chuny! - krzyknąłem. - Widzisz co?

- O! - i pokazał mi palcem. Przez szparkę w wydeptanym progu było ich widać. Mrugała rakietą zielonym ogniem i wśród podskakujących drzew biegli jacyś ludzie do debry. Jeszcze ci dwaj z odwodu wygarnęli w naszą stronę po kilka krótkich seryjek. Niespodziewanie zaszeleściły trzaski i coś gruchnęło z warsztatu Tykiesa. Cała izba od razu stanęła w płomieniu, suche sosnowe wióry wleciały pod sufit. Tykies, ciągnąc nogami żar, przyczołgał się do nas, ciągle trzymając kciuk na czarnej szmatce, i kaszłał. Trzeba było go odrzucić na tył sieni z całą siłą, bo pchał się między nas jak dziecko. Tak, to była ciężka noc. Na strychu spały dzieci w sianie. Nie chciały schodzić, przestraszone gnały w głąb strychu i słyszeć było, że obsypuje się dachówka na tył chałupy. O czwartej byliśmy w polu, biegły za nami truchtem dzieci i w chwilę potem przyleciał pies. Najgorzej było z Tykiesem, bo w polu ścieliła się zamieć, a on miał tylko cienką kamizelkę na sobie. Wybiegliśmy w ciemne pole i

pierwszy raz nie wiedzieliśmy, co dalej robić ze sobą, a obok nas szły dzieci i ufały nam. Wiatr dmuchał w twarz, sypała się kłująca kasza. Szliśmy godzinę polami, potem skręciliśmy na lewo, przez zrab maleniski, i zagłębili się w las podhorecki. Chuny Szaja zdecydował, że pójdziemy na Pasieki. - Tam można się będzie zaryć w jakiś stóg siana - mówił. Byliśmy zmęczeni potężnie. Nie wiadomo skąd, przysłała mi na myśl bajeczka o leśnej bogini. Las szumi górą, skrzypią sąsiadki, a na dole zielona ruchoma cisza, pszczoła przeszukuje miodunki. Ptaki na gniazdach. Brzoza kwitnie złotymi robaczkami na koniuszkach i jest szaro-buro, tylko na tej czarnej leśnej wodzie stoją żółte kwiaty. Kiedy mężczyzna nocuje sam w lesie, to zaraz zjawia się jemu sowa w postaci urodziwej dziewczyny. Rozmawia, żarty stroi - a usta, usta przykrywa chytrze kwiatkiem 16

albo dłonią, żeby nie poznać było, że ma dziób. Jakże jest podstępna! Przybiera postać dziewczyny, którą chciałoby się kochać bezgranicznie. Zasypiasz w lesie - zaraz śni się tobie ona. Trapią w marszu bajki, widziadła, wspomnienia serdeczne. Kiedy pada śnieg, to w lesie dusi się słuch. Pokazuje się w każdym krzaku jakaś postać lub domek leśnej baby. - Nie rozciągajcie się, dzieci - szeptał Chuny. Szliśmy ciągle lasem. Prószył śnieg. Nad debrą kładka. Na kładce nie było nikogo. Tędy przechodziła zeszłej zimy Ciria - wydawało się jej, że tam ktoś stoi przezroczystym cieniem. "Kto stoi na kładce w czarnym lesie?!" - krzyknęła. W lesie było cicho i ciepło. Brzoza, nakryta śniegiem, przysiadła czubem do ziemi. Leżał szron połyskliwy i las stawał się niewidoczny w błękitnym zapyleniu. Całą noc szła Ciria przez las i tuliła swe umarłe dziecko. Idąc opowiadała bajkę. Ale co to jest bajka? 2 - Czarny potok

Mieszkaliśmy z Tońką w piecu cegielni, na Seńce. Żyliśmy tam spokojnie do jesieni. Wyszedłem raz nocą, jak zwyczajnie, żeby gdzieś coś zdobyć do zarcia. Noc była czarna jak kobyle wymiono. Widziałem tylko, jak drobnutko zamajaczyło światło pod lasem, i poszedłem na to światło. Podchodzę bliżej, słysząc, chichocząc jacyś ludzie w środku, przeklinając się, potem coś zaskomliło i krzyk, jakby tam kogoś śmiertelnie ranili i ten upadł. Zajrzałem przez szparę w firance. Sitwa siedziała przed lustrem i rozczesywała włosy. W progu skulona, nakryta czarną chustką stała jakaś Żydówka. Kurdiuk stał na środku, Sitwa widziała go w lustrze. Ja go też widziałem w lustrze. Zbliżył się, podniósł rękę i pokazał jej pierścione. - To ci się podoba? - spytał. Cisza, a potem ona:

- No i co z tego?

- A ot, ja pierścionek tobie przyniosłem.

- Po co mi pierścionek? - powiedziała Sitwa, zaśmiała się głucho i ściągnęła z grzebienia wyczeszki. - Nieprzyjemnie nawet wspomnieć o tym - powiedziała. - Nieprzyjemnie?

- Czego chcesz ode mnie, po co przyszedłeś?

- Chciałem dziś pomówić z tobą.

- Zgoda. Siadaj. - Sitwa splatając warkocz odwróciła się. 18

- Chcę to wszystko opowiedzieć, jak należy, od początku, żebyś nie myślała, że zabiłem Ajznerową tylko dla pierścionka. Chcę ci to opowiedzieć, żebyś wiedziała, o co chodzi. Kiedym tu wszedł, ciągle zastanawiałem się nad tym, jak mam to sobie wytłumaczyć. Dlatego postanowiłem mówić tylko o tej sprawie, ty wiesz... a nie o Ajznerowej, Bernsteinie, Siłbergu czy tam coś takiego. Tamto przeszło, a teraz chodzi o to, co z tego będziesz miała ty i co ja. Chcę mówić o jednym człowieku, który grozi mi śmiercią. Sitwa pięknymi czarnymi oczyma spoglądała na okno, spytała: - Co się stało z psem, że nie szczeka?

- Twój pies to lizus śmierdzący.

- Ale gdzież tam - oburzyła się Sitwa i patrzyła ciągle w okno: zdawało się, że widzi moje oczy w szparce. Kurdiuk chwilę stał nieruchomo, potem wydobył pistolet z kieszeni płaszcza i słyszałem, jak go załadował. Trzeba było odejść od okna. Postanowiłem udać się dalej. Szerucki opowiadał mi kiedyś o Sitwie wesołe rzeczy. On lubił poraubszczyć. Raz

chwyciła go tęga zawierucha śnieżna i wlaź do Sitwy, żeby przeczekać do rana. Zastał tam trzech hilfspolicajów. Sitwa gościła ich wódką, grał patefon. Policaje podpalali się do niej, a ona w brudnym czerwonym szlafroku, założywszy nogę na nogę, pokazywała im francuskie fotografie. Oni świstali śmiechem, przytupywali z radością, a ona: "Hocy, hocy, hocy, drała, kawał d... pokazała!" - śpiewała im zapijaczonym altem. "Co to za kuncman?" - spytali Sitwy, kiedy Szerucki zaczął klepać ją po gołej szyi. "Właściwie to całkiem sobie tego - powiedziała Sitwa. - Pijcie, chłopcy" - zapraszała. Ten najbardziej pijany popatrzył szybko na Szeruckiego i wysunął się pod drzwi. Poprawiając pas na sobie, chwycił karabin. Szerucki rzucił się za nim. Tamten dobrze był 2ż

19

urżnięty. Szerucki kopnął go komiść głową. Policaj upadł i zaczął wrzeszczeć, jakby mu grzbiet pękł. Szerucki skoczył mu na twarz, wsolił obcasami, chwycił karabin i uderzył bokiem drzwi. Z ciemnej sieni strzelił do leżącego. Z półki nad drzwiami posypały się jakieś pudełeczka, papiery, flakoniki. Szerucki w zdenerwowaniu strzelił jeszcze trzy razy do środka, aż lampa zgasła, i wybiegł na czarne zamarzające pole. Tak, to nie miglanc. Widziałem go potem w leśniczówce. Koszula wyszła mu ze spodni, rąbał drzewo tępym klinem, nos miał spocony z wysiłku. Trzeba było zapalić w zamrożonej izbie, bo Chunya Szaja przywiózł Cirlę, która miała rodzić. To była nikczemna noc. Kurdiuk wybiegł z chałupy i zaczął strzelać w krzaki, za którymi stałem. Spodziewał się pewnie, że tam ktoś może być. Potem wystrzelił czerwoną rakietę. Przeczekałem, skuliwszy się, a potem wyskoczyłem w pole i biegłem, biegłem zmęczony, głodny, straciwszy nadzieję, czy zdobędę tej nocy jakie żarcie. To tam, to tu zjawiały się gwiazdy na czarnym niebie, ścisnął mróz, minąłem kupę wierzb za rzeczką i nagle z krzaków ktoś podszedł do mnie, ciszę naruszył głos gruby jak z beczki: - Kto tam? Stać, a to zabiję!

Nie znalazłem od razu odpowiednich słów do odpowiedzi, coś mi podsunęło takie zdanie: - Dobra jest, wszystko w porządku. - Ty nietutejszy?

- Prawie nietutejszy - odpowiedziałem.

- To znaczy, że tu kiedyś byłeś, a na pewno się rodziłeś. - Tak, coś koło tego - powiedziałem i zbliżywszy się twarzą do twarzy spytałem: - Chaim? - Tak.

Chaima poznałem jesienią czterdziestego drugiego roku. Siedziałem z nim na strychu u Brandona w Szabasowej, a koło Kocjana rozległy się strzały, zatupotały nogi. Po-20 szliśmy do dymnika i patrzyliśmy. Obłoki leciały nisko, były czarne z jasnymi frędzlami. Padał drobny deszcz. Chaim wstrząsał się z zimna, jakby go kłuło w całym ciele. Patrzył i mówił: - Jak pszczoły, tylko że to dzień słotny, ale jak pszczoły, co to rojem siadły na gałęzi. Biedne dzieci, przytuliwszy się do siebie siedzą zmoknięte na ulicy pod kościołem. Skuliły mokre plecy. Dużo tych dzieci spędzili, bo nie widać ziemi pod nimi. Jak na gałęzi spycha się jedno na drugie. Chaim patrzył, marszczył czoło i mocno pocierał kark. Nie widać było, ale pod domem ktoś świstał, jakby na psa, i strzelał. I ci Ukraińcy uzbrojeni, i dzieci zmoknięte, które czekają na śmierć, i ta pogoda - wszystko to się przedstawiało nieludzko i strasznie.

Chaim przestępował z nogi na nogę, potrzasał ramionami, odszedł od dymnika i znowu wrócił, patrzył i wstrząsał się znowu całym ciałem. - Coś mnie dławi, ale ja nie wiem, co to jest - mówił - a zapach od tego idzie, jakby tam owce spędzili. Ulica zamknięta była samochodami ustawionymi na poprzek. Zmoknięci szoferzy, powspierawszy się na błotnikach, oczekiwali czegoś. Policaje, okryci pelerynami, postukując brudnymi butami w dziecięce plecy, chodzili dookoła zwiędli jak jesienne muchy. Chaim upadł. Ja go podniosłem. - Ja ci powiem - mówił Chaim - ja ci powiem. Te dzieci uczono w szkole piosenki: "Jesienią, jesienią sady się czerwienią..." O, i zaczerwieniło się. Kiedy to wypowiadał, to na ulicy wszystkie dzieci zaskomlały, samochody wyły na wysokich obrotach i gęściej padały strzały. Chaim wzruszał się głęboko. Dziś jest już inny, zdobył broń. Tej

wiosny, jak przebiegałem z nim przez palącą się Zamkową, to już był inny. Miał czym i kogo bronić. Skulone dzieci przysiadły i biegły za nim, zwoływał je, bo one, jak tylko zakwitał pożar, rozbiegały się, dopadały 21

drewutni, zarywały się w ciemniejsze kąty. Pochrapywanie nie dobitych nie mąciło mu planu w robocie. Innego zdania była Klara Wasicińska. Opowiadała mi, że Chaim całymi dniami leżał na słomie pod plebańską szopą i tylko w nocy dźwigał się, prostując krzyż, przechadzał się w sadzie, a lada prychnięcie konia ogarniało go strachem. Ona chciałaby, żeby każdy o każdej godzinie dnia i nocy bił się, rąbał, strzelał. To niecierpliwa dziewczyna. Nawet cień pod deską nie daje jej spokoju. Trzeba pamiętać o tym, że Chaim po pierwszym pogromie na Lwowskiej wytrzymał śmierć teścia i matki, przesiedział całą noc w piwnicy nad umierającą żoną, a dopiero nad ranem stwierdziwszy, że żona jego już naprawdę nie żyje, nakrył ją siennikiem, zabrał puszkę chirurga, butelkę rivanolu, wyskoczył z piwnicy i zaraz począł biec na oślep po rozwaliskach. Zmacawszy twardy i równy grunt, zwolnił, wydobył z kieszeni scyzoryk. Tej samej nocy Aron Tykies, zgasiwszy papierosa w sieni, opatulał dziecko w szmaty i też obmacując belki pogorzeliśk, poszedł czarną łąką do lasu. A za nim prychając nosem biegł pies po nieboszczyku Amsteinie. Na południu stała sina, tęga zapora lasu. Dogonił Chai-ma w zrębie hutniaków. Drąc nogawice, przeszli kulisę osiczyny z gęstym podszyciem, przeszli drugi rząd z pozostawionym rzadko nasiennikiem buka. Już był biały dzień, kiedy weszli w las pełny, stary i wysoki. Było tam ciepło i cicho. Chrust pod nogami łamał się miękko, jak w wacie. Pulchny, rudawy grunt pokryty był ostrym, chrzęszczącym jak szkło szronem. Pies biegł przodem. Oglądał się i znowu biegł przeciągłym truchtem, zwiesiwszy pysk ku ziemi. Z szelestem padał liść. Tykies chciał usiąść, wypocząć. - Nie mam już oddechu - mówił do Chaima. Ten pomacał dziecko, postukiwał je lekko, chciał widocznie coś stwierdzić - ale na skraju przysieki pokazała się grupa ludzi. Oczekali, aż znikną. 22 Potem ruszyli jeszcze szybciej, wypatrując wroga na lewo i prawo. Tam dalej przepływała rzeczka leśna i droga wiodła w prawo, pod domem parcelanta. Przeleźli przez płot, agresty i rzeczkę. Za krzakami siedział Wąskopyski. Wstał i podszedł do nich. - Dzień dobry - powiedział - nie bójcie się mnie. I taka potoczyła się rozmowa: - Co ty za jeden? - wskazał palcem na Tykies.

- A ty co za jeden? - spytał Chaim.

- Ty się przekonasz, kto ja jestem. W lesie ja trzymam porządek. Policjantom żydowskim palimy w łeb, zrozumiałeś? Ciebie to ja znam, a ten co za jeden? - i znowu wskazał na Tykies, który wpatrywał się nieufnie w pytającego. - Stolarz, Tykies się nazywa. Co ci mogę więcej o nim powiedzieć? Widzisz chyba, że ten człowiek nigdy nie mógłby być policjantem.

- A teraz powiedzcie mi, gdzie wy idziecie? Jak ja już was znam i wy mnie, to ja chcę wiedzieć, gdzie wy idziecie. Stolarz może sobie iść, gdzie mu wygodnie. A ty lekarz jesteś, prawda? To pójdziesz ze mną. Ja ci pokażę jedną chorą dziewczynę, noga jej spuchła jak konewka. Pijawki jej postawisz albo co, to już zresztą twoja rzecz. Dziewczyna wyschła w gorączce na trzaskę i osłabła do tego, że już nie mówi. - Ciesz się, że mogę pomóc - rzekł Chaim - spełnię swój obowiązek. - Nie gadaj tak mądrze: obowiązek. Idź do szopy i zobacz chorą, a potem będziemy mówili o obowiązku. I Chaim poszedł za nim do szopy. Przez okno z chałupy patrzyła przez chwilę na nich stara kobieta i dała jakiś znak ręką Tykiesowi.

Wąskopyski wszedł na tok i zawołał: - Tońka!

- No co?

- Przeprowadziłem lekarza, dobrze zrobiłem?

23

- Ach, jak to mnie paskudnie wzięła ta choroba. Czy uważa pan, że to jest zakażenie? - Tutaj jest ciemno - mówił Chaim - trudno mi jest określić. Czy ktoś strzelał za panią? Jak to dawno

się stało? Może pani sama zejść do chaty? Wąskopyski chwycił Tońkę na ręce i zaniósł do izby. Chaim poszedł za nim, rzucił czapkę na stół i poprosił o wodę. Pił i patrzył na Tońkę. Prześledził jej czarne, zapadnięte oczy, bladą skłęśniętą cerę na policzkach i rude, zaśmieczone włosy nad białym czołem. - Nigdy się tak serdecznie nie wyczuwa przemijania czasu jak w dzień pogodnego lata - mówiła Tońka w gorączce. - To już biała jesień, proszę pani. A kula naruszyła kość - stwierdził Chaim. - Nic ja w tych warunkach pomóc pani nie mogę. Śledzić będziemy serce, i tyle. - Co tam śledzić serce, może trzeba kupić jakiś zastrzyk, chyba rozumiesz, o co chodzi. - Wąskopyski oparł się o ścianę i wskazał na mnie: - Ty siadaj na konia. Zapisz mu, co ma kupić. Tońka kiedyś zostawiła u Sitwy pięć złotych dolarów, a możesz być pewny, że ona nikomu słowa nie powie, nie ma obawy. Chaim napisał receptę. Siadłem na klacz Znajdy i pojechałem. Kiedy wychodziłem z tej kryjówki w cegielni, Tońka szepnęła mi do ucha: - Idź zdrow. - Wlokłem się tej nocy posępny, a wiatr dał mi prosto w twarz, myślałem sobie: coś niedobrze jest z tą moją dziewczyną. Zakradłem się do jakiejś chałupy, wiadomo, jak to jest, kiedy się człowiek zakradnie. Ciemno, człowiek wszystko bierze na czucie, słuch, a jeszcze więcej na węch. Stałem w sieni, zza drzwi dochodziło chrapanie, czuć było kapustę kiszoną, uprząż i kartofle naduszone z hreczaną plewą. Namacałem pod workiem na żarnach bochenek chleba. Zabrałem ten chleb. 24

- Kto tam? - posłyszałem i wdarła się za mną smuga zielonego światła. Ale ja już byłem w sadzie, skoczyłem za płot i pobiegłem w dół, ciągle w dół. Chaim tymczasem poszedł na poród do Cirli. Zastałem go tam jeszcze nad ranem, bo zbłądziłem. Dopiero o świcie wróciłem do cegielni. Tońki już nie było. Na barłogu znalazłem klucz od jej domu - najdroższą pamiątkę. Od tego czasu minął rok, wspomnienia o Tońce prześladowują mnie, że nie mogę się od nich oderwać. Od tamtego czasu przeżyłem tyle strasznych rzeczy, a mimo to nie mija godzina, żeby jej postać nie stała mi przed oczyma, widzę ją wszędzie. Nie można udowodnić, że ona nie żyje. Ale wiem, co znaczy gnić dwa lata we wszach, w polu na gołej ziemi. Fioła można dostać.

Kiedy do Szabasowej zajechali na motocyklach szupow-cy, gabe Gudeł szedł uliczką i napukiwał kosturem zachodzące święto Pejsach. Otoczyli go i ten najwyższy uderzył gabe pałką gumową w skroń. Pod synagogą był dół z wapnem i tam go w tym dole postawili, a spędziwszy chłopców z chejderu Mechutena, kazali polewać wodą omdlałego Gudeł. Popędzani harapami chłopcy nosili wodę i lali na głowę duszącego się w wapnie. Oprzytomniawszy Gudeł wyciągał ręce, chwycił palcami brzeg sypkiej ziemi. Rozkazali przywołać szamesa Buchsbauma w szatach liturgicznych. Przyprawdzili go dwaj hilfspolicaje. Oficer poklepał Buchsbauma i kazał odczytać nad dołem wersety z Etyki. Szames Buchsbaum, przejęty do kości i zawstydzony zbrodnią, począł bladymi wargami, wyraźnie odcinającymi się od rudej brody, wymawiać jakieś słowa przeniknięte smutkiem i śmiercią. Był upalny letni dzień.

- Ha, ha, ha, ha! - ryczała tłuszcza policyjska. Chłopcy nosili wodę z pompy. Gabe chwycił palcami brzeg koryta, jarmułka zleciała. I nagle Buchsbaum, pchnięty w kark, upadł do dołu. Ten wysoki, położywszy ręce na biodrach, zadeklamował: - Słońce kochane, u Pana Boga Wszechmogącego łzami wypłakane. 26

Był to zły znak.

Odtąd gabe Gudeł chodził po świecie nieprzytomny, chodził po ulicach Szabasowej i persadował w powietrze, a pejsy jego rozwichrzone sterczały jak u przewróconego topielca. Całą zimę pozwalali mu żandarmi niemieccy chodzić po mieście, fotografowali, pokazywali dziennikarzom zagranicznym, przejeżdżającym na front wschodni. Gabe Gudeł stawał najczęściej pod bramą żydowskiego sierocińca, ustawicznie zaglądając pod pachę, pod którą tkwiła słoma, pchał prawą rękę przed siebie z zaciśniętą w garści jarmułka i mówił do głodnych dzieci: - ...A milczenie miasta? Kto z was zna milczenie miasta? Komin jest

milczącym miastem. Dym może być brzękiem żywego miasta, ale milczące miasto jest bezdymne, bez czerwonej łuny światła, bez wiecznego płomienia Świętych Pańskich, bez słowa... Dzieci, okutane w łachy, stały w pobliżu i przypatrywały się jego ustom w monologu i kiedy Gabe Gudel zaglądał pod pachy, zdawało się im, że może coś tam ma do zjedzenia i zacznie rozdawać. Ach, wątle i ukochane cuda! A zgraja szpiclów przechadzała się dniem i nocą uliczkami, wiedziona tu i tam przez niewidzialnego szefa, zsypującego do walizy złoto, perły, pieprz i tałesy wyszywane złotem. Obok Szabasowej szerokim asfaltem szła piechota niemiecka na Kijów, toczyły się czołgi i artyleria na szerokich dzwonach, gnali motocykliści, szybkie samochody z radiem, pontony, sanitarki, tabory, żandarmi polowi, specjaliści wywiadu i prowokatorzy, dziewczęta marszowe i odwodowe. Ciągnęło się to bez końca. Pociągi wiozły amunicję, ciężkie działa, konie i malowane na biało sanki. Wieczorem, zapalając świeczkę, Cirła powiedziała do Chuni Szaji: - Skryj się. Idą tu.

27

Ledwo zdążył zatrzaskać drzwi i skoczyć do sadu. Żandarmi przyszedli do izby Nudla i, torując sobie drogę kolanami wśród licznych dzieci, wywlekli go przed furkę i zastrzelili. Widać było przez okno, jak Nudel stał chwilę, pchnął rękę ku uchu, coś krzyknął i upadł na zawsze. - Doczekaliśmy się przeklętych czasów - mówiła Sze-rucka. Dokoła stały dymy, śródmieście objęte było pożarem. Szames Buchsbaum pościł, upadał z uderzeń i kiedy Ciria podała mu wieczorem placek kartoflany, trzymał go w ręku, nie miał odwagi ugryźć i oddał najmłodszemu wnukowi. Łapano mężczyzn. Głodnych, brudnych, ledwo wlokących się pędzono na kamieniołomy, do robót przy rozbudowie dworca lub rozstrzeliwano pod lasem. I serca ludzkie w Szabasowej nagle przestawały bić lub gnały i waliły jak oszalałe. Na wschodzie grzmiała artyleria, drżała ziemia. Szerucką pobili na rynku, bo się wstawiła za dzieckiem żydowskim: - Wiadomo, żeś to ty, babo, zrobiła z dobrego serca. Ot i dostałaś - mówił policjant ukraiński. A dziecko zostało na bruku nie dostrzelone. Dwie martwe nóżki leżały na papie i szeroko otwarte oczy na ciepłą letnią noc, przecinaną krzykiem gwałconych dziewcząt. - O Jezusie święty - stękał stary Tombak, włączając się i zbierając niedopałki niemieckich papierosów. Koń rżał z głodu w stajni, nie było kogo wozić z dworca dorożką. I szli o zmierzchu ludzie z pochylonymi głowami, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Na przedmieściu robotniczym zaczynała o zmierzchu skwierczeć strzelanina, mrugały rakiety. Tombak westchnął głęboko, zapalił papierosa, chciał jeszcze Josiowi pokazać najkrótszą drogę do Sawarynki, ale spadł deszcz, gęsty, nudny, i po niczym nie można było poznać, kiedy się skończy. Weszli pod dach rozbitej budki. Konie mokre, wyciągnawszy ogony, patrzyły w pustą ulicę. Pociemniało. Zaraz za wojskiem przyszedł pociąg i za żandarmami wysiedli też trzej cywilni i dziewczyna z pieskiem. Potem Tombak spotkał ich na Kolejowej, na Złotej i Zamkowej. - Czego tu stoisz? - pytali.

- Fiakier.

- No i co? Żyd czy Polak?

- Polak.

Powiedzieli, że trzeba zawieźć ich do najbogatszego Żyda w Szabasowej. - A ten twój kolega to Żyd? - pytali. - Czego on tak dygoce? - On jest stary.

- A ty nie jesteś stary? Szlag cię trafi!

Josie Propst wciągnął głowę w kołnierz. Zaświecili zapalkę i ten w olimpijskiej kurtce kopnął Josie w brzuch i kazał się zawieźć do kahału. Tonem ojcowskim dodał: - Sprawiliś sobie jakąś derkę na konia, bo inaczej straci szpik i co to za interes mówiąc tak szczerze. Z kupy ludzi oderwał się jeszcze jeden, dogonił Josie

29

i siadł. Z chodnika latarka elektryczna poprowadziła ich dość daleko. - Zaraz przyjdzie Bule, to pojedziemy. Znasz Bemhauta? - powiedzieli do Tombaka. - No.

- Więc do Bemhauta - powiedział Bule wsiadając do dorożki. - Ja wiedziałem dobrze - mówił Bule - że całą noc trzeba będzie chodzić i szukać ich w piwnicach. Przez sekundę widać twarze żydowskie, gasisz latarkę i zaczyna się macanie. Ja nie spuszczałem z oczu ruchów. Pod piwnicami porobili jamy i chodzi o to, żeby ich złapać w drodze do tych jam. Wtedy ma się dwie sprawy załatwić. Naraz usłyszeli:

- Halt!

- Kripo! - odkrzyknęli.

Żandarmi odeszli, zarzuciwszy karabiny.

Zastukali do drzwi.

- Co się stało? - spytał Bemhaut.

- Trzeba otworzyć!

- Jezus Mario! - zawołała Turyca z ciemności, była bliska śmierci ze wzruszenia, dusiła się i jeszcze wołała: - Dzieci! Dzieci nie strzelajcie! Sami jesteście ojcami! Bemhaut zawołał kogoś głośno. I podszedł do niego człowiek o dyniowatej twarzy, i kopnął go, aż dźwięk poszedł.

- Czego ty, bzdziaku, krzyczysz?

Bemhaut chciał mu odpowiedzieć kułakiem, ale ten dyniowaty wlażł na próg i wygarnął do niego z automatu, celując w pierś. Nic się nie stało, w ciemności nie trafił. Dalej ćmił papierosa w kułaku. Weszła żona do sieni, była tylko w koszuli, tęga i postawna. Pomacała męża, wydał się ciepły, tylko oddychał tak, jakby wciągał kowadło na strych. 30

Pulchna ręka znowu zawisła z butelką nad kieliszkami.

- Pamiętaj, Tombak... mniej pytać i mniej się interesować. Wszystko poważnie rozpatrzone. Brylant Bemsteina jest w Szabasowej. Nikt go jeszcze nie wywiózł. Że w bóżnicy są rozmaite schowki - to my o tym wiemy. Ale brylant można schować w dudławym zębie, w nosie, w kiszce. No nie? Ale Tombak jakby nie słyszał, przeciągał dumę opowiadanie; cmoktał, posysał wąsy, czerwieniał i rozpinął watowaną kamizelkę na szerokiej piersi. Szpicel wy dostał z kieszeni ceratowego płaszcza nową butelkę wódki, nalewał i bez chleba čkał zawiędłe, pożółkłe sadło. - No nie?

- Co... no nie?

- Ty wiesz, gdzie się skrył Bemstein. Tombak całą siłą dławił w sobie wstręt do tego strasznego i zbydlęconego człowieka. - Się mi nie chce - odpalił, kiedy trzeba było wreszcie coś powiedzieć na temat tej sprawy. - No?

- Nie nokaj, bo cię krew zaleje!

I skulony wyszedł zobaczyć, czy nie ukradli derki z konia. Wrócił, siadł na starym miejscu, wy dobył z kieszeni "Krakauerzeitung" i pchnął do świecy. Podpalić mu oczy... sukinsynowi - pomyślał. Zachrobotwały drzwi w sieni, ostrożnie skrzypnęły w kuchni i widać było, że za czarnym oknem stała noc, mazista i nieprzenikniona jak wieczność. Tombak wyszedł, zdjął torbę z końskiego pyska. - Dobrze, że pan czekał - powiedziała dziewczyna podchodząc do dorożki. Widać było w smudze od okna, jak zdjęła beret, oderwała znaczek szkolny. - Ojca mego zabili. - Ach, Boże!

31

- Odwiezie mnie pan na bekoniamię, będę szukać jego ciała. Bule i Ciszka wyleźli z dyżurki. Szli we dwójkę, milcząc. - Tu jest - wyszeptał Bule. - Podejdźcie bliżej! Co pani tu robi?

Zaświeć, Ciszka. - Jak?

- Różia.

- A dalej?

- Amstein.

- Chodź pani z nami - powiedział Bule. Posłyszał bicie serca tej dziewczyny, podkradł się ostrożnie ku jej plecom i wsunął do ręki klucz osiowy. Zamachnęła się, jakby cały ciężar rozpaczki zbiegł jej w rękę, i uderzyła. Bule odleciał pod ścianę. Ciszka objął, płaszcz zleciał z niej, wyrwała się i pobiegła. Słysząc było, że zeskoczyła z betonu na ławkę. Przychodziła potem na noc do starej Szeruckiej. Z dziką siłą rodziła się w niej obawa, że Szerucki zginie na wojnie. Zasypiała ułożywszy kudłatą głowę w podołku starej, a z ust jej, jak kropla z rozciętego owocu, spływała ślina. - Siadaj - zawołał Ciszka i zamachnął ręką. - Na Kolejową. Tylko nieliczni wiedzieli, że Tombak, jak trzeba - potrafi udąć pokornego. Chytry był, skryty, śliski. Ciasno od myśli nienawistnych. Pił nie gubiąc rozumu, wzrok ostry, ucho czujne - wszystko o wszystkich! Ścisnął suchy kułak i uderzył konia. Ciszka, kluczkowaty, łysy, maleńki i jakby bez płuc w płaskiej piersi - sztachał się papierosem i wprawnym ruchem nachylał się, patrząc, czy Tombak dobrze jedzie. - Nędza moralna jesteś. Tombak.

- Czego?

- Landkomisarz musi mieć ten brylant. Warto się zawinąć i tobie koło tego. Pojedziemy na Jurydykę. Weszli do sypialni Amsteinowej. Przy oknach stały kwiaty. Arnsteinowa otworzyła szafę, za skrzydłem drzwi wisiały krawaty. Ciszka obmacał wszystko dokładnie. Podnieśli skrzydło fortepianu: tam leżał ostatni list Amsteina. Zabrali wiolonczelę i radio. Noc schodziła; raz tylko zagruchotał karabin maszynowy na Nowej. Ani jednej gwiazdy. Nawet iskry nie widać było nad czarnym miastem. Świeciło się tylko w dyżurce policji kryminalnej. Niewesoło stać, kiedy na dworze jesienna ciemna noc. Słysząc było krzyk człowieka. Stukają go nogami po plecach. Bule siedział z tym, pistolet trzymał na kolanach. Koń podnosił zerwaną nogę, dzwoniła podkova. - Ty katolik? Jaki ty katolik? Ty szabesgoju!

- Jeeezu! - wołał bity.

- Ty wyplujesz tego Jezusa!

Ani jednej gwiazdy. Podeszła matka Wąskopyskiego i słuchała. Bili jej syna. Ugięła się i pomacała dłoń, próg był brudny, drobne kamyczki zmieszane z błotem. Zapukała do drzwi.

- Zabieraj się, kobieto, a to strzelać będziemy. Nie przeszkadzaj nam w śledztwie. Prędzej się skończy, prędzej syna zobaczysz. My mu oczu nie wybijemy. No, odwalaj spod drzwi. - Otwórz, Ciszka. Służysz im. Boisz się otworzyć?

- Nie pętaj się pod drzwiami. Nic nie wskórasz.

- Czego boisz się otworzyć? Chcę widzieć syna i Niemcowi coś powiedzieć. - Babie nic tu do roboty. Sprawa kryminalna. Zrozumiałaś? - Otwórz! - krzyknęła kobieta i uderzyła kułakiem w drzwi. 33

Tombak potarł dłońią nos, posłyszał jeszcze, jak Bule zrzucił ją ze schodów. Zaszamotała się koło płotu i znowu upadła. Bule wrócił do dorożki zasapany. Spytał:

- Jak się czujesz, Tombak, co?

- Niczego sobie. Ciągnie trochę po plecach.

- Ja też czuję, że po plecach ciągnie. Czy on coś wie o brylancie Bemsteina? Jak myślisz? - Ach, Boże. Kto to może wiedzieć.

- Jak?

- Kto to może wiedzieć!

- Ty bałwanie, nie udawaj. A to mordę ci skujemy jeszcze dziś, że cię szlag trafi. Tombak milczał, ścisnął kułaki, aż spotniały.

- Wąskopyski... kto on jest?

- On jest z biednego rodu. Tragarz on jest.

- Co wiesz o nim?

- No... tragarz. Ojciec jego też był tragarzem. Za czasów jego ojca to było jeszcze co tragać w Szabasowej, bo był tranzyt. A ten często bezrobocił się, drzemał latem na Rojkówce. Czasem w dzień jarmarku skoczył na platformę. Trochę w jesieni zsypywali pszenicę do wagonów.

Deski czasem, wapno... to cholera wie co, żeby zarobić. Każdy myślał, niech tam sobie zarobi. A jak się ubierze, to się wydaje, że jest lepszym gościem. - Co znaczy lepszym gościem?

- Przystojny kawaler.

- A co on miał z polską policją?

- To by tak można powiedzieć... miał ciężką żuchwę, odgryzał każdemu palce, kto chciał go przyskrzynieć za kieszonkostwo. Bo taką ktoś kiedyś puścił banialukę, że on kieszonkowiec. Co może na to biedny człowiek poradzić. Tak ciebie ogłaszają, jak chcą. Pan wie, jak to jest. Wszystko od ludzi... dobro i złość. Kiedy myślę o tym wszystkim, 34

to tylko można tak powiedzieć... niech go krew zaleje. Bóg chyba zesłał taką karę. - A Bóg ciebie zesłał z koniem i dorożką. Nie dalibyśmy rady tej nocy! Co? Tombak milczał. Krzyk w dyżurce narastał. Bule obszedł dorożkę, zatrzymał się w ciemności. - Jednego tylko nie rozumiem - powiedział - dlaczego bydlę nie przyzna się? Tombak wspiął się, poprawił derkę na koniu. Bule wrócił, podniósł kołnierz - w blasku można było rozpoznać jego dyniowatą postać - skręcał papierosa. - Uważaj, Tombak - mówił - uważaj, żebyś tego, co tu zaszło i jeszcze zajdzie, nikomu nie opowiadał. Gabe Marasza i Spojdyka wypuścili po północy, ktoś jeszcze za nimi wyszedł w skórzanym świecącym płaszczu. I zaraz wezwali Tombaka. Cały korytarz zalany był wodą i rzyganiną. W jasnej izbie siedział Niemiec w mundurze. - Gdzie chcesz dostać? - spytał jakiś obcy. Ciszka stał koło niego i potracił go ręką. - Zdaje się, że w ucho. Prawda, Tombak? - powiedział Ciszka. - A co panowie chcieli?

Opowiedział im, że pod dworzec zajechał o zmierzchu. Pędzej nie można było, wyładowywali jeńców, żandarmeria nie pozwalała stać na Kolejowej. Nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie jest Bernstein, a że spotkał Arnsteinównę - to zwyczajny przypadek. - Powiadasz, że mówisz prawdę? Tak?

- Tak - powiedział Tombak - i nie rozumiem, po kiego licha ja mam tu obrywać. - Słuchaj - podszedł ten obcy, wymachując rewolwerem przed samym nosem Tombaka - ty, bracie, stara 35

kiszko, możesz oberwać. Cmokniemy ciebie w serce, że ani nie westchniesz. - Nie strasz gościa - wtrącił się Ciszka - ja bym ci radził łagodnie. On może być na rękę całej sprawie. - Całkiem możliwe, ale to jest bydlę swego chowu.

- Nie możesz tak mówić.

Ciszka wywinął rękę i uderzył Tombaka między oczy. Drugi cios powalił go. Siadł na ziemi. Ciszka kopnął go trzy razy w pierś. Tombak chwycił za nogę krzesła, chciał wstać, ale podeszwy wyslizgiwały się pod ścianę. - Pan, prowadząc sprawy Bernsteina, musi wiedzieć, że to przede wszystkim moralista - powiedział Niemiec do Ciszki. - Trzeba odszyfrować środowisko jego wpływów. - Owszem.

- Bardzo pięknie. Więc trzeba dać nura w to środowisko. No, myślę, że to będzie koniec na dzisiaj. Czy może chcecie jeszcze zestawić prowokatorów? Also... Ktoś gwałtownie otworzył drzwi do korytarza. Do izby wleciał, pchnięty w plecy, wysoki człowiek w kurtce ułańskiej. W podpuchłe oczy nabiegła krew, zagarnął palcami włosy, czarne i mokre. - Wstań - ktoś kopnął Tombaka.

Przypatrując się z uwagą wszystkim Tombak zauważył, że Bulca nie było wśród obecnych. Za tym wysokim stał drobny, zarośnięty Bilig i trzymał w garści pistolet. Wszyscy chwilę milczeli, Ciszka rozchylił wargi w uśmiechu. - W porządku - rzekł Niemiec.

- Schowaj pistolet do kieszeni, Bilig - nakazał Ciszka i zdmuchnął lampę na biurku. - Możecie odejść. Ten wysoki w kurtce ułańskiej i Bilig odeszli w milczeniu. Za nimi Tombak z czapką w rękę. Włosy miał zlepięte od potu i krwi. Prawa powieka zasunęła oko. Zmieniał krok jak pijany, na koźle odchrząknął. W skroniach ciągle stuknęła krew. Krok za krokiem szedł koń. Ktoś przeszedł obok dorożki. Tombak nie rozpoznał, kto to, ale na rogu 36

Korzeniowskiego podszedł ten cień i powiedział chwyciwszy lejce: - Posłuchaj, Tombak - dźwięczał młody głos - ja ciebie znam. Jakby trzeba było się gdzieś skryć... można na ciebie liczyć? Ty wiesz, o co chodzi. Mógłbym coś ci dać. Zgadzasz się? - Co można powiedzieć... ale kto ty jesteś?

- Bilig.

- Ach, Boże! - Straszne bajki w ciemną noc i wszystko to, co było zaduszone i ukryte, wyszło chyba tej nocy na świat. - Co ty chcesz, odczep się. Ja mam już tego wyżej nosa. Mocnymi, twardymi rękoma odtrącił Biliga. Z tym ktoś nadbiegł w ciężkich butach. Nagle buchnął strzał. Człowiek uwikłany w błyskach latarki skurczył się i biegł przez jezdnię z kolanami pod brodą, potem jakby z wolna wyprostował się na koniuszkach palców i padł twarzą i piersią na ścianę karczmy. Noc zaczęła się trochę przerzedzać. Słysząc było chwilami, że ten, leżący tam w ciemności, szurał nogami. Hałas armatni, który gdzieś na wschodzie wstrząsał ziemią, pomieszał się ze skomleniem psów i biciem szyb w aptecę. Ulice siadły w mokrej mgle, wszystko dymiło niebieskawą wilgocią. Szumiały drzewa na Podcmentarnej, za wzgórzami dudniły armaty. Szames Buchsbaum, wolny od świąt i chasydów, spał w wilgotnej sieni. Tombak nad ranem zapukał w sosnowe drzwi. Z zapartym oddechem słuchał chrzęstu na pryczy. W izbie zegar, dławiąc się i terkocząc blaszkami, wydzwonił czwartą godzinę. Słysząc było, jak stary Buchsbaum macał w ciemności ściany. Otworzyło się bez szmeru zapadnięte skrzydło. - Cirla poszła dziś na wieś za chlebem i nie wróciła. Pewnie tam nocuje. Ja sam z wnukami. 37

@- Jest bardzo źle - powiedział Tombak.

- To znaczy?

- Może się tu u ciebie zgłosić ktoś w sprawie Bemsteina.

- Dlaczego Bemsteina?

- Czy on miał coś z tobą? Wczoraj albo przedwczoraj?

- Miał.

- Kryminałka niemiecka szykuje się na niego. Trzeba uważać, żeby się tobie coś nie oberwało. - Myślisz, że jest w tym coś poważnego? - spytał Buchsbaum. - Nu jo, człowieku. Mogą zabić. Nie siedź nad Tał-mudem. Jak tylko zaświta, wyjdź sobie na cmentarz i siedź tam cały dzień. Jadwiga gdzieś przytuli dzieci, może na grządki zaprowadzi, do fasoli. Buchsbaum podał mu kościstą rękę i powiedział czystym, niskim basem: - Można chwalić Boga, że w niezmierzonej Swej łasce odstąpił nieco Swego Majestatu człowiekowi. Nawet gdybym musiał uciec na cmentarz... to dam ci znać. Nikomu nie pozwolę znieważać ciebie. Dziękuję. Wracaj do swoich. Tombak, nie ściągając butów, położył się w stajni na otawie przegrodzonej od konia tyczkami. - Jestem tu - wyszeptał do psa - nie bój się. Pies wsunął Tombakowi zimną mordę za ucho i polizał kark. - Zapomnijmy raz na zawsze. Kopnąłem ciebie, ale teraz podrapię trochę za uszami. Pies zwinął się w kłębek i sieknął. Koń przedmuchiwał pośny obrok w żłobie, za stajnią szumiał ściek. Tombak zwąchał dym. Wyszedł. W blasku stanęły domki, paliła się chałupa Bezkiszkiego. Stodoła była pusta. Na toku leżał zabity człowiek w kałuży, pełno śladów ludzkich w plewie. Na czole zabitego trząsał się blask od bliskiej łuny. Nikt nie wołał ratunku. 38

Drzwi były lekko przymknięte do sieni, w progu do izby stała Ksawera. - Gdzie ty się podziewasz całą noc? - spytała.

- Co się tam stało? - pokazał na pożar.

- Bezkiszkiego zabrali jacyś dwaj, a chałupę podpalili.

Wszedł do izby. Na podłodze siedziała kobieta w koszuli, głowę położyła na stolku, koło niej stało dziecko, zalek-nięte, zbryzgane błotem. Za piecem leżała bez pamięci żona Bezkiszkiego, wyciągnięta jak długa, z zamkniętymi oczyma. Podniosła się, kiedy wszedł

Tombak, skoczyła do ściany i poczęła krzyczeć jak do obcego: - Czego chcecie! Nie ma Chaskla!

Tombak, trzymając się ściany, zamierzał podejść do niej i uspokoić, ale nie mógł ustać na nogach. Powiedział słabym głosem: - Uspokój się. Pobadają i puszcza. Weź, Ksawera, dwa wiadra wody i postaw przed progiem. Ubierz się i patrz za watrą. Ale po chwili wstał, znalazł wiadra, przyniósł wody, wziął siekierę i stanął na progu. Jakiś obcy w kurtce i wysokich butach wszedł na podwórze od ogródka Szeruckiej. - Nikt tędy nie biegł? - spytał. Tombak przypomniał sobie, że gdzieś go już widział tej nocy, i żeby się pozbyć, powiedział: - Tak, pobiegł ktoś tam przed chwilą. Tam, na cmentarz.

- A co możesz powiedzieć o księdzu Bańczykim?

- Ksiądz Bańczycki jest gruby, ma ciężki platfus, lubi konie. - A Żydów lubi?

- Kto to może wiedzieć.

- Czy nie przejechałbyś się z nami do niego?

- To kawał drogi. Jakich dwadzieścia kilometrów.

39

- Nic nie szkodzi. Podfutrujesz konie i jakoś się dowlecziemy. Jak uważasz, można mu zaufać? Na przykład coś schować u niego? Zawiozłeś przecież kiedyś tych uciekinierów z Pragi. - Nie dowiozłem ich. Wąskopyski wysadził ich pod lasem i powiodł w pole. - Nie pamiętasz gdzie?

- Nie, nie. To było tak: Wąskopyski przyprowadził ich do mnie wieczorem. Wyglądali na braci. Pościeliłem im w alkierzu, ale nie spali do samego rana. Przyszedł potem Wąskopyski i powiedział: "Zdaje mi się, że Paliczkę przy-skrzynili. To rzeczywiście byłby pech." Potem przyszedł jeszcze raz i dał temu młodszemu zegarek, i nakazał: "Nie wolno wam później wyjechać jak o czwartej." O tej godzinie ruszyliśmy. Spojrzałem przed siebie. Nic, tylko ciemno na drodze. Jeszcze tylko wrony chodziły po ozimieniu. Na moście mógł ktoś stać ukryty za barierą i zamknąć drogę. Ci młodzi sapali ze zmęczenia... "To sosna złamana" - powiedziałem do nich, żeby uspokoić. Tak to było, jak to w tej chwili opowiadam. Ksiądz Bańczycki nic z tym nie miał wspólnego. Tam chyba nie ma pułapki na ludzi. To jest rozsądny człowiek. Mężczyzna w kurtce i wysokich butach poszedł w kierunku cmentarza. Siedziałem zgarbiony, z głową ukrytą w dłoniach. Wszystko stało się znowu jasne i wyraźne. Zegar stanął na godzinie dwunastej. Było pełne jasne południe. W pokoju Nadla zastałem starą służącą, która znużonym szeptem opowiedziała mi wszystko, co przed chwilą stało się z jej panem. Na wprost, za oknem, robotnicy żydowscy pod nadzorem uzbrojonych policajów budowali wysoki parkan. Zaryglowywali getto. Z drugiego pokoju dochodził chrapliwy oddech. Nadel siedział w łóżku, chuchał na okulary, na głowie miał tefilim. - Niech pan zerknie. Nienawidzę ich! - zawołał głośno, płonęły mu oczy, drętwo podnosił ręce. - Ciepło dziś - powiedziałem.

- Pewno, że tak. Jesień... to wspaniała pora.

- Grzyby są w lesie...

- Nic nie mów pan o lesie. Ja się nigdy nie poddam władzy strachu i wyjdę tylko w razie pożaru. Nie mam planów ani na las, ani na człowieka, ani na przestrzeń. - Teraz jest jeszcze czas w każdym razie. Emilka dobrze się czuje, chciałaby widzieć pana. - Emilka? Nie ma Emilki! - krzyknął i zaczął klepać ręką po ścianie. - Pan i ja będziemy sprawcami jej śmierci. Ciszka przyszedł i uderzył mnie w pierś kulkami pełnymi dolarów. Chcieli ją zabrać, ukryć. Spojrzałem na mnie przenikliwymi, strasznymi oczyma. Zdawało mi się, że stoję na uporczywym wietrze. 41

Tak było. Ramię w ramię z Emilką pod ulewnym deszczem, zataczając się, bieглиśmy strasznymi ścieżkami, byle prędzej w pole. Byle dalej od śmierci. Jeszcze długo dobiegał nas krzyk: "Emilką! Emilką!" Obwisłe policzki Nadla trzęsły się w śmiechu.

- Nie ma obawy, panie, ja jestem niezachwiany. Rozwinąwszy papier i ujrzawszy wielką złotą monetę, pogardliwie rzucił ją za okno. Zamierzał właśnie otworzyć usta, aby wypowiedzieć swoje życzenie, i ja musiałem odejść, bo właśnie zbliżał się tajniak. Wziął mnie do siebie i zaczął na nowo. - Widzisz, chcieliśmy z tobą pomówić o pewnej rzeczy. Czyś ty nie myślał o tym, żeby dobrze zarobić? Mógłbyś pomóc nam i odkuć się. Mam wrażenie, że starczyłoby ci na całe życie. Siedziałbyś do późna w łóżku z filiżanką prawdziwej kawy i nikt by ci nie przeszkadzał. Z drugiego pokoju dobiegał stuk maszyny do pisania. Z placu dochodził dźwięk i klekot ciesielskiej roboty. - Trzeba się trochę rozerwać - powiedział tajniak, przyglądził palcami baczki i wziął kapelusz. - Wypijesz piwo? Powiem ci, co zamierzam uczynić. Dam ci na razie prawo głośnego wymyślania na Szwabów i metr owsa. Tombak siedział, mocno zaplótłszy ręce, i kołysał się, nie wiadomo dlaczego. Oczy miał zamknięte. Tajniak szukał czegoś w szufladzie, otwierał szafę, wreszcie zbliżył się i położył rękę na ramieniu Tombaka. Nogi w bryczesach podrygiwały, wsparty lewą ręką na jego plecach, prawą odwinął i uderzył go w twarz. Tombakowi zęby zachrząsały, w oczach pobłkitniało i jakby drobne jajeczka nasiały. Za każdym głębokim tchnieniem coś w nim pęczniało, zaczął się czuć ogromny i zamglony. Ale to się wszystko zachwiało, coś pomyślał i zaczął obelżywie krzyczeć. Tajniak chlusnął mu trochę benzyny na twarz i zapalił. Musiał to dusić na sobie rękawami. 42

- Uważam zeznanie za wątpliwe - rzekł tajniak do wachmistrza. - Badanie odłożyć. Co ty masz zamiar zrobić z tym kutasem? Założywszy ręce na biodrach, wachmistrz łajał tajniaka. - Och, to okropne - bronił się tajniak.

- Co bubek nagada na bubka, to ty... by cię szlag trafił! - Uważam, że każdy szczegół jest ważny.

- Intensywność w robocie jest ważna. Wszystko inne to pozory i nudzenie. Czy on rzeczywiście zna Bańczyckiego? Żandarm wydobył gazetę z kieszeni swego zielonego płaszcza i zaczął coś tam wyliczać z szyfru ogłoszeniowego. Przyjechali po północy, zaraz wypręgli zmęczone konie i posłali w obszernej stajni Tombaka. Szerucki znalazł przy murłacie kosę, wyszedł do ogrodu i narąbał w ciemności dwa prześcieradła przestarzałej, świszczącej jak drut otawy. Zachodził księżyc, pachniały jabłka zwalone na kupę pod oknem warsztatu. Szerucki wszedł do otwartej stajni, wyciągnął ręce przed siebie. Pusty żłób, łańcuch zwisał, trzeszczał stary gnój pod nogami. Jak dwa uderzenia piekielnego dzwonu wybuchły dwa granaty w dzielnicy Foresta. Uwiązał tam krzyk. Słyszał było, jak Chuny Szaja dzwonił drobnutko paznokciami po szybie. Teść, Buchsbaum, wyszedł i coś tam długo naszep-tywał. I zanim rozjarzył się na wschodzie skraj ciemnego nieba - Bezkiszi, Tombak, Bemaszewski, Mechuten i Kweller już wiedzieli, że z Berezy uciekł Kuba Szerucki i Chuny Szaja i że przyprowadzili konie. Pierwszy przyszedł Tombak, w progu przeciągnął wierzchem dłoni siwy wąs i głośniejsze niż trzeba huknął: - No, Bogu dzięki! Wróciłeś! Ale wychudłeś jak pies na styczni! Szerucki siedział na pace pod piecem i moczył nogi w szafliku. 43

- Jak się macie, wujku - powiedział ochryple.

- Dobrze, żeś wrócił. Wyśpisz się i zaraz jutro zaczniemy coś pilnego robić. - Cóż tak pilnego?

Na kuchni piekły się placki, Szerucki odwrócił się i po-obrać je. - Siadajcie. - U Kanta w restauracji siedzi jakiś obcy i pali cygaro - powiedział Tombak. - Każę wozić siebie po Szabasowej i zagaduje o brylantach. A ja ci powiem, że ja w strachu. Tak prawdę powiedzieć - boję się tego człowieka. On ma zawsze kapelusz wciśnięty na oczy. Spogląda wielkimi oczyma i zdawałoby się, że nie widzi nic, a widzi, sukinsyn. Widzi brylanty wszędzie. A ten obcy, co to zabrał aptekę Kalira, wyczyściwszy skórka talerzyk wagi, pcha zapalną między

zęby i patrzy z progu za nami. Ten z cygarem przesyła mu ręką ukłony i my jedziemy na Blacharską, na Meiselsa, na Nową i on tam buszuje w mieszkaniach. Szerucki pogmerał w kieszeni i podał Tombakowi tytoń.

- To jest, wujku, zapluta robota. • - Tak?

- Dużo ze Szwabami najechało policji?

- Trudno coś powiedzieć. Tylko Bańczycki coś tam tłumaczył wczoraj Klarze Wasicińskiej, że ci obcy bruneci z baczkami i zaciekami pod oczyma to największa zaraza. Takich to jest trzech i jedna dziewczyna w delikatnych pończochach i z pieskiem pod pachą. No i coś ty teraz będziesz robił? - spytał Tombak, puszczając nosem niebieski dym. - Stelmaszkę musisz zarzucić, chyba trumny będziesz zbijał, bo na ten towar będziesz miał popyt. Wczoraj rozwalili na podwórzu magistrackim siedemnaścioro ludzi. To co ty myślisz, każdy chce pochować swego drogiego w bejcowanej trumnie. Co myślisz? Szerucki zdusił w palcach kawałek placka, położył czarne, mozoliste ręce na kolanach. - Trumien nie będę robił. 44

- Ha, to i racja. Młody człowiek nie powinien robić tego. Jakbym ja miał twoich trzydzieści lat - ha! - człowieku! Wszystko moje, co przede mną, aż by klekotało... A teraz jedna szpilka do krawata może ciebie postawić na nogi. - Nic nie rozumiem z waszego gadania.

- Myślę, że może by tak pofiakrować parą koni na dłuższy skok. Konia, widziałem, tęgiego przyprowadziłeś z drogi. - Ochwacił się w drodze, postać by mu trzeba ze dwa tygodnie. - To nie ochwat, Kuba. Ja patrzyłem. Jak ja kombinuję, to to jest zatrat, noga w koronce spuchła. Dwa, trzy dni, ropa wyjdzie z fistułą, i dobra. Stara Szerucka weszła do izby, szybko zdmuchując kocią sierść z mleka, postawiła je na rozpalonej do czerwoności płycie. - Wczoraj zabili Nadla, konia zabrali, dorożka leży na Kowalskiej. Dałbyś trochę jabłek wdowie, i załatwione. Jak myślisz? - Coś ja sobie pomyślałam. Ale wiecie, co się dzieje z Klarą? - Klarę zabrała policja kryminalna. Wczoraj spędzili dzieci z Zamkowej na Mały Rynek i ten szpicel tak delikatnie powiedział do nich: "No, dzieci, możecie się teraz trzymać za rączki, pójdziemy aż do samego końca." "Ależ proszę pana, my wcale nie chcemy iść." "Ale ja proszę - powiada ten sukinsyn. - Ja nie chcę się z wami ceregielić." Klary w Szabasowej nie ma. Nie powinieneś się tym martwić. Jej matka przybiegła tu z Hucisk dowiadywać się o nią, a Samiczka powiedział jej, że ona odcierpi, bo służyła u Żydów, i powiada: "Nie płacz, stara, bo to nic nie pomoże. Klara jakby chciała, toby się jej mogło dobrze powodzić."

- Co znaczy "dobrze powodzić"?! - krzyknął Szerucki.

45

- Nie rób hałasu.

Szerucki wstał, wytarł nogi wojskową koszulą, wsadziwszy bosc nogi w skarpetki podszedł do szyby. Na słonecznym podwórzu złościła się rosa. Wiedniejąca malwa pokryta była rudawym kurzem. - Pijcie mleko. Potem pójdziecie pochować tego zabitego Bemaszewskiego. Niech nie leży w obcym ogrodzie - powiedziała Szerucka. Była jakby zakłopotana, spojrzała na syna i na Tombaka drobiącego placek do mleka. - On był tego dnia jakiś dziwny i niespokojny. Na nic nie miał ochoty. - A Bernaszewska wie?

- Wie, wie. Przyszła i zawinęła go w prześcieradło.

- Żeby on był wyskoczył oknem - rzekł Tombak i zmarszczył czoło. - Ba! Zaraz za nim wyskoczył Bule i strzelił. Trafili go w same usta. - Krowę naszą kto zabrał? - spytał Szerucki.

- Pijcie już to mleko - prosiła Szerucka.

- Ten Bule ma wielki brzuch na cienkich nogach. Polska karmiła tych buldogów - Tombak spuścił głowę, prawą ręką dotknął cholewy, wyprostował się i wyciągnął dłoń do Szeruckiego. - Wszystko będzie w porządku, zobaczysz. Ja kiedyś tak mówiłem do twego nieboszczyka ojca o Bulcu: "Popatrz, Pietrek, jak ten gówniarz rozgniata pszczoły." Brał, wiecie - a był jeszcze taki mały smarkacz - brał i dusił pszczoły pudełeczkiem od zapalek. Pszczoła, jak zwyczajnie latem, siadała na desce i pocierała nóżkami skrzydełka. Czyściła się

z tego wszystkiego, co niepotrzebne w drodze, pocierała głowę i ciężko dęła bokami, zwyczajnie jak pszczoła robotnica. A on, cholera, brał pudełko i trzask. Pszczoła zagrała jak na bajorku i koniec. Przez długi czas to robił. Nieraz pokazywałem to twemu ojcu. A potem to się zabrał do psów. Zabić pałą psa to wielka rzecz. Raz, że 46 trzeba mieć siłę i trzeba być złym człowiekiem. Dopadał psa w kącie i zabijał na śmierć. Nie potrzebujesz mi odpowiadać na to. Widać to od razu, co sądzisz o tym. Ja ci powiem, kto zabija pszczoły, zabić może człowieka i zabija Żyda. Daj coś zapalić. I wiesz co, Kuba, zdejm z gzymsu ten karabin i zakop go. Posłuchaj mnie, ja jestem stary. Uważasz, że Chunya Szaja przetrzyma to wszystko, co się teraz dzieje? - Przeciągnął palcami wąsy, kosmyk włosów wyłazł mu spod czapki i zawisł nad prawym okiem. Ciasno i ubogo jest na Podcmentamej. Wrony siadają na płotach, wśród zdartej bielizny, przeczyszczają dzioby i przypatrują się dzieciom budującym pałace w uliczkach. Szpaki ze śmiechem przesypują się po wysokich topolach za cmentarz, a jeszcze wczoraj dzieci Chunya Szaji stały pod płotem i cieszyły się słońcem. Latem drzewa oplatają się wysoko, aż po korony, dzikim chmielem, gęsta jeżyna trzeszczy pod nogami. W krzakach kipiel ptaszków i wysoka, błękitna trawa zasłaniająca siwe macejły. Jesienią bywało cicho, w półmroku rosły tajemnicze i rzadkie kwiaty i częściej olbrzymie żuki i pająki opasłe wlażyły do chałupy. Dzwoniła łopata. A zimą gęsto i pusto. Majaczyły się tylko czerwono-no-niebieskie nagrobki z czapkami śniegu, zaciszne dla noclegów zajęczych. - Teraz idź - mówił do Tombaka tajniak, wachając rozplaszczony wielki palec, pozieleniały od nikotyny. Psy spoczywają w cieniu pustych domów, zwinawszy się w kłębek, leżą bez ruchu. Kwiaty słonecznika w chwastach. Lecz kiedy minąć rudery getta i ujrzeć się samotnym na pustej drodze do dworca, dotychczasowa pewność szlachetna opuszcza człowieka. Siadł na szkarpie i spojrzał przed siebie, nie widział jednak ani ładu falującego zboża, ani wiosek opasanych drzewami, ani chmur. Ale w tej samotności nikt też nie ujrzał i jego z oczyma 47

wzniesionymi do nieba. Postanowił odszukać dziecko Bem-steina. - Tak, pierwszym darem Boga i najpiękniejszym jego czynem jest życie. - Mówił tak to sobie, żeby nie upaść na pół drogi. Przy każdej katastrofie, o której wspomina najstarszy tekst, dziecko zanurza palec w szklanekę i puszcza na Biblię krople czerwonego wina świątecznego jako napój radości. Po zaspanym policzku, do połowy ukrytym w loczkach, które wydostają się spod czarnej jarmułeczki - przebiega uśmiech niedostrzegalny. O co pyta dziecko roztropne?

Co mówi prostak?

Największy brylant w Szabasowej miał Nudel. Był on wielkości wołowego oka. Tombak woził Nudla na wieczorki do "Gwiazdy". Brylant błyszczał do latami na Jurydyce i drogę oświecał na zakrętach. Ach! Tym brylantem przekupiłby najważniejszego Niemca razem z jego polityką! Ale Nudel nie żyje. Jedna kula rozwalila go na progu. Ach, Boże! A brylant myszy rozwlekły. Cisza jak makiem siał. Tombak wysunął rękę z kieszeni watowanej burnuski i pchnął w powietrze jak sztyletem, żeby zabić tego jakiegoś wroga. Wróble gziły się pod sakwami końskimi. Pociąg ciągle jeszcze nie nadchodził. Portier stał na progu i dłuhał w podocznym zębie, ślina ściekała do kułaka. Po pustej Kolejowej biegły dzieci za bezdomnym psem, przyczepiwszy mu do ogona dziurawy urynał. - A to powiadam ci, nic tak nie złości człowieka jak przestraszony towarzysz - mówi Tombak do Josie. - Ty mu tłumaczysz: tak i tak. Bo weźmy choćby taką sprawę: zdarzyło się tak, że wiozłem z dworca skarbowca i księdza Bańczyckiego. Ksiądz powiada tak do skarbowca: "Czy 48 nastąpi zanik twarzy ludzkiej?" - zapalił papierosa. Skarbowiec nic nie odpowiada, wreszcie pyta: "O co właściwie księdzu chodzi?" Ksiądz zapytał: "A dzieci nie wstydzą się pana?" Skarbowiec wyskoczył na Stolarskiej. Wtedy ksiądz powiedział do mnie: "To jest człowiek o obłym pysku. Jeszcze nikt w świecie nie napisał książki o człowieku z obłym pyskiem. Ty wiesz. Tombak, o kim ja mówię... tam pień stoi z wbitym siekierą, a głuchy anioł pilnuje

chałupy. Prawda?" Tombak wytoczył kilka rad: - Josie, gdyby zaczęli strzyłać, to ty się, bracie, nie lękaj... Nie skacz z kozła. Pamiętaj, katolik nie rzuca rękoma w rozmowie. I stary Tombak, dobroduszny fiakier, przemienił się w twardego, niepodatnego człowieka, bez łyzy i miłosierdzia, którego wychowała nędza. Kiedyś o Tombaku ktoś powiedział, że jakąś on tam matkę miał, która go wykarmiła jagodami w lesie, wyniańczyła na zgrzebnym podołku i dała mu serce dziwne, podobne do klina w młynie. A wiadomo, że klin jest najstarszą rzeczą i najważniejszą w młynie. Jaki klin - taka mąka. I życie Tombaka nie skapało nosem. A któż znał życie Josie Propsta? Do czterdziestego roku życia nosił wodę zamożnym na kąpiel, aż mu się potworzyły wielkie zażywa na ramionach od koromysła. Potem kupił konia, dorożkę. - Ciebie, Josie, tu nikt nie pamięta. Chyba Roth, ale on w Wiedniu. Stary Josie Propst, wysoki, z jastrzębim nosem przy szarych oczach, z rozwianą białą brodą - wyglądał na świętego z obrazu. Kiedyś staruszka, spotkawszy go za płotem tartaku Forestry, przeżegnała się i powiedziała jakieś miłe słowa. - To raz było w moim życiu. Ja mam rupturę, daleko ja chodzić nie mogę. Na święto Pejsach ona mnie tam widziała. 4 - Czarny potok

49

- Ho! - zaryczał Tombak. Jego straszliwe instynkty zastygły w nim, przetrwały młodość, wiek męski, poszły do starości. Znowu zwrócił się do Josie, klepiąc purzydłem cholewę. - Ja ci mówię... Krew, mać... a ja bagnietem. Tylko pamiętaj: katolik nie gada rękami. To nie jest mazeltof. - Gdzieś ty mnie widział. Tombak, jak ja byłem młody i ja szedłem ze swoją żoną - Josie opanowała nieśmiałość, zaczynał opowiadać z pewnym trudem. - Ja ciebie widziałem, Josie. Ciebie widział i austriacki tajniak w dziewięćset piątym, ho! Josie snuł dalej swoje wspomnienia. Szerucki i Chuny Szaja słuchali go z uwagą. Oczyma przeszukiwali łaskę Zawodzia, przez którą dwaj Niemcy wiedli jakąś niewiastę w kierunku szopy targowicy miejskiej. Kary koń pogryzał grzywę klaczy. Josie dwukrotnie wracał do szczegółów zabicia żandarma rosyjskiego za gwałt na jego matce. Josie nie nabijał beczki słowami. Po krótkim opisie zabójstwa żandarma Ałtanowa westchnął i powiedział: - Powołał mnie Stwórca na sierotę tej ziemi. Ale nic się nie odbolalo. To tylko życie przeszło biednego człowieka. - Ech! - potrząsnął ręką Tombak. - Wiatr wieje, a wdowa pszenicę sieje. Ty nie wiesz, Josie, życie biednego człowieka trwa wiecznie. Tak jak bydłeta, co żyją prawie wiecznie w biedzie. Szczęśliwe tylko są stworzenia zrodzone z podwójnego jajka. Echo leśne też jest z podwójnego jajka. A z ptaszków to... lelek, anderduczka, kurupietek i arpaniątko. Josie, ty się nie denerwuj. Gil, słuchaj, gil wyfruwa wysoko nad chmury wywiadywać się o pogodę. Na próg do portiera podszedł od magazynów ten cywil w zielonym frenczu i skórzanej pilotce na wielkiej głowie. Za nim krok w krok szedł mały syn Bernsteina, bosi i tylko w koszuli. 50 Pociąg nie nadchodził. Z Szabasowej leciał szum przejeżdżających taborów, daleko w lasach Bołdurki stukał karabin maszynowy. Człowiek w skórzanej pilotce był niski, z zaciekami pod oczyma, miał wąskie biodra, rzucał surowe spojrzenia. Nie wychodził poza obręb swego rejonu: dworca, placu postoju i dyżurki z telefonem. Mówił słodko do dorożkarzy, że ta jego gorliwość w służbie jest po prostu troską o porządek na dworcu i że ludzie powinni mu pomóc w jego ciężkiej robocie. - Mogę być czasem nieprzyjemny dla kogoś, ale przez to kogoś innego się ratuje. No nie? - mówił matowo i dużo, jak każdy człowiek o mętnej przeszłości. Wszystkie te pogwarki Tombaka ze szpiclem Szerucki uważał za hańbę. Zamierzał sprawę rozpocząć za kilka dni, wiedział o tym tylko Chuny Szaja. Brylant Bernsteina był sprytnym podstępem innej paczki, działającej w porozumieniu z jakimś tam hyclem od spraw ludzkich i powikłanych tak, że właściwie trudno dociec, kto sypał, a kto zabijał w piwnicy. Wszystko, co wynika z kłamliwych języków, cuchnie śmiercią i jest nudne jak zdechłe i wysypane muchy pod progiem. No nie? - Nikt nas nie powstrzyma, jasny szlag, nikt - mówił Szerucki do Chuny. Chuny miał rumieńce na twarzy, łypał oczyma wzdłuż Kolejowej. Ilekroć zamykał oczy, zaraz zjawiały się na czarnej tafli majaki rozmaicie

uciekających ludzi w zamieci kuł i jego dzieci zatratowano na krawężniku ulicy Korzeniowskiego. "Ja nie chcę, żebyś ty się pokazywała na światło dzienne z dziećmi. Piwnice przewietrzaj... człowiek musi mieć prawo do życia." - Moja ręka jest bardzo ciężka. Popatrz, jak żyły naciekły - podniósł kułak pod nos Szeruckiego. Ten patrzył w ziemię, niepewny dzisiejszej sprawy, ponury i zamknięty w sobie. 4.

51

Na dworcu gwizdał przetokowy, lokomotywa pchała wagony z sankami malowanymi na biało. Skądś z daleka leciała woń jesiennej przestrzeni, słodkich naci i tarcicznych oparów z tartaku. Wąskopyski, niewysoki, chudy, z głęboko osadzonymi, czarnymi oczyma, miał na sobie kurtkę ułańską. To był człowiek, jak kiedyś zameldowano policji, który umie, wie gdzie, kiedy i jak uciekać z powiatowych kryminalów. Miał ciężką żuchwę - pogryzł palce aresztującego. Zajął w oczy Chuni Szaji, podrapał się w kark. Tombak, udając przeogromne zadowolenie ze świata, krzyknął: - Habdiere!

- Ach, ja... dzień dobry - powiedział ten z progu, dotykając ręką skórzanej pilotki, lewą trzymał za rękaw dziecko Bernsteina. - Papieroska! - zawołał Tombak i pstryknął palcami, jak to się robi do kogoś miłego. - Dla pana, jako przyjaciela, nie?

Tombak zlął z kozła, coś tam poprawił w prawej pole, stanął blisko szpicla, poklepalili się po plecach. Tombak wytaczał papierosa w dłoniach jak kluskę. Josie trzymał się w ryzach cierpliwie i spokojnie, przyzwyczajony do rozmaitych podstępów. Spojrzał w niebo. - Ile spóźniony? - spytał Szerucki i zszedł też z kozła, udając przy tym zrezygnowanego człowieka ze ścierpiętymi nogami i postnym żołądkiem. - Ani ja górą nie będę, ani pan, panie szefie. - Tombak wziął prawą rękę szpicla, uderzył w dłoń i ścisnął jak kleszczami. Mańkutem zdzielił po głowie, futryna odpowiedziała. Podpuchnięte oczy ściągnęły się w szparę. Tajniak obejrzał się, szukając oczyma kogoś, ale po ciosie Szeruckiego zadrżał z bólu i posłał ślinę, jakby się starał ponad wszystko krzyknąć. Z nosa wyszła farba. Stary Tombak upadł, Chuni wyszarpał go spod nóg 52

tajniaka, który nie rozeznawał już nic, co się dzieje na świecie. Tombak skoczył z dzieckiem Bernsteina na tylne siedzenie, puścił konia. Podniósłszy lewce ołowianą ręką, Josie Propst ruszył ostatni spod dworca Szabasowej. Nad błękitnawym jesiennym krajobrazem leciały gdzieś ciężkie bombowce. Portier z przygotowanym do strzału pistoletem biegł uliczką jakby zaleknęty, że jego wzburzenie skończy się jakąś potworną harataniną. Josie Propst za tartakiem Foresty zatrzymał konia. Starał się zatamować upływającą krew. Całe ciało jego przeniknięte było miłym ciepłem, siadł, i ta miękkość granicząca z niepamięcią położyła go na spalonym podróżniku pod sztachetami. Koń porwał dorożkę i strasząc uciekających, pognął rwanym, nieskładnym galopem uliczkami Folwarków. Córka otarła mu łzy. Ona też odżyła, ruchliwa i energiczna. Ale rozejrzała się z niedowierzaniem po izbie. Z niezadowoleniem powiedziała do Josie: - Tak dłużej pozostać nie może. Dziecko nie ubrane na swą podróż z Szabasowej. Każdy się chce przysłużyć do niedawna znienawidzonemu dziecku. Dziecko jest gwiazdą. Na krańcach Szabasowej, w drobnych domkach nakrytych papą, mieszkali najbiedniejsi gałganiarze, szczotkarze i robotnicy tartaku. Wychodzili za chlebem na wieś, odrabiali dniówki. Chudziny ludzkie wracały późnym wieczorem do domu, napastowane strzałami w uliczkach. Wszelka ostrożność na nic się nie zdała, zawsze ktoś padł. W ślad za mężczyzną szedł strzał. Często na progu dzieci, poznawszy ojca po kroku, odsuwały w sieni skobel. Staruszki miały jeszcze pierścionki na palcach. Kiedy zapadała 53

noc, błyskając latarkami chodziła hołota żandarmsko-tajniacka od domku do domku. Skroś błysków i zaduszonych uderzeń leciał w noc pisk dziecięcy i dławione wołanie. Mrok padał ciężarem, zachłystywał się rabunek. Łaknące jak chleba i zdrowia, kobiety czekały dnia, brały dzieci, trochę szmat i uciekały przed siebie, w pole. Tam ginęły, zastygały na śmierć z głodu i wyczerpania. Nocowały na miedzach, we wnętrzu spalonych czołgów lub w budach leśnych.

Chuny Szaja, wyprowadziwszy nocą Cirlę i dzieci na ścieżkę do Sewerynki, wrócił na podwórze; chciał jeszcze wydostać z podsobitki swój kozuch i ciepłą bieliznę dla dzieci. Z uliczki ktoś wygarnął do niego dwa razy i chybił. Chuny wrócił do sadu i stanął za pnem orzecha. Przed pożarem zagrała na chwilę cisza, gdzieś z daleka zawyła lokomotywa. W trzech miejscach skoczyły ogniki. Wydawało mu się, że się zapaliły śmiecie na podwórzu Świętojańskiej, pożar jakby się dusił blisko podwalin. Ale w chwilę potem wybiegły dzieci, goniąc swe rude cienie przed sobą. Nawoływały się cichutko. I kiedy pożar zahuczał - wybiegli i starzy w sad, szeroko rzucając rękoma z zaciśniętymi kułakami. Wy płynęły z cieni sylwety drzew. Niskie chmury zrudziały. Bliżej ognia pistolet popruwał krótkimi seriami i zaraz tam ktoś milkł, krzyk ucinął się. Błyszczało jezioro w sadzie Trznadla, bielone wierzby tańczyły na granatowym tle kartoflisk. Wskoczył też stary blacharz Blum, dusząc rękoma tłący się watowaniec. Spojrzał na Szaję, oczy jego świeciły jak szkiełka. Spytał: - Dzieci pobiegły?

Poszedł w ciemność, jakby wiedziony drobnymi sylwetkami, pnącymi się w tunel czarnego krajobrazu. Szaja, jak w nic nie widzącej złości, wrócił na podwórze, spojrzał i pożegnał w myśli próg swego domu; otworzył stajnię, siadł na konia, przywarłszy do grzbietu wyleciał galopem do sadu. Dzieci w kartofliskach krzyczały. Jakaś 54

kobieta, stojąc za tyczkami do fasoli, nawoływała szeptem: - Cierpliwość, dzieci, cierpliwość! - A dalej, w polu, rozsądniejsi zarywali się w kupach suchego gnoju. Paliła się Szabasowa, a wszystko, co ją otaczało, wydawało się pogrążone w cierpkim jesiennym śnie. W ciemności świstała lokomotywa, straż na szlabanie biła świetlnymi pociskami w niebo. Śmierć przedmieścia Foresty wywalila drzwi. Następnej nocy paliła się Zamkowa. W łunie rozkrzyżowane ręce pochylały się nad dziećmi. Ze starożytnego muru karabiny siekły w gliniane ścianki Murarskiej i Rybiej. Ocalał koń dorożkarski z opalonymi kłębami. Widać go było jeszcze rano, szedł łąkami na Smólno, ale na przejeździe dopadły go psy. Rozbiegły się po polach dzieci, niektóre spotykał gabe Gudeł, mówił do nich: - Biegajmy po ciemnym niebie, aby pocieszać nieszczęśliwych, prowadzić podróżnych, bądźmy przewodnikiem błądzących, promieniem nadziei w więzieniach i w duszach zrozpaczonych. Powróćcie do mieszkania, na stole pozapalają świece i ustawiają ryby, bób i dobre ciastka, które się je w wieczór Przebaczenia i które się nazywa "plackami litości". - Co wam jest, Gudeł - krzyknęła Kalma - taki błady i przygnębiony?! - Biegnijcie poszukać Chuny Szaję - powiedział ktoś - on ma karabin, on was obroni! I poszedł gabe Gudeł ścieżkami do lasu, znalazł tam wysokie drzewo, siadł i zapalił świecę, drżała w jego ręce, oczy wzniósł ku niebu, usta szeptały modlitwę, lecz chwiejąc się, na próżno usiłował połączyć myśli swoje ze zgiełkiem rozpacz i natychmiast wesołe świece na stole sposepniały, a placek litości wydał się czarny i ziemią posypany. Prześlizgując się w myśli przez tłum oddany jękom, biegł, żeby wyjąć z szafki w synagodze zwój pergaminu, i jak kwestarz każdego z rozbiegłych Żydów prosił o ofiarę krótkiej modlitwy: 55

"Żeby Chuny Szaja zdrów wojował. Niech brzoza nie traci liści, jodła niech nie ugina się pod śniegiem! Niech chyżo mknie ptak, niech oswobodzony będzie z sieci ptasznika. Nieznani pątnicy z miast i wiosek!

Przestań ścigać znikomy cień, oddaj się świętej pracy;

jedno opuszczone zdanie lub źle napisana litera - mówił Gudeł - uczyni dzieło nieużytecznym dla innych, przez swój błąd przyczynisz się do zguby niezliczonych pokoleń." Po sierpniu trawa na szkarpach stała się ruda i sklęśnięta. Prosięta chodziły po zababczonym podwórzu szukając ogryzków. Z chrustów wróbla ciżba wybuchała na fasoliska i siadała znienacka jak plewa rzucona pod wiatr. Mętniało niebo. Rankami wychodziła nikła, zimna rosa. Lato stygło, las tylko jeszcze miał w suchym podszyciu ruchliwe, milczkiem buszujące szpaki. Szelest tych szpaków trwożył ludzi zbiegłych z Szabasowej. Szybki podwieczór zapadał płasko przy

ścierni w czerwieniący się promień, zamykając w jedną barwę pnie grabczaków obsypanych kaszą przejrzałego szałwieja. Późną jesienią wymarły cmentarze żydowskie. Zielone, mszyste macejły zaścieliły szosy. Na alefbajkach zgrzytały czołgi. Ludzie z hilfspolicji przetrząsali sklepy, szli za dziecięcymi skomleniami do kryjówek i rzucali granaty w krzyk. Ocaleni biegli na polskie cmentarze, ukryci wśród grobów czekali nocy. Na polu zasiadał zmierzch, schodziły z nieba ptaszki. W Szabasowej trzaskanie z pistoletów w pierzyny, w karczemne zatyłki i żywy drobiazg dziecięcy. Bili w siwe brody mełamedów, ległych na progu bóżnicy. Młodzi, kucając, biegli skroś poświstu i kłaskań ekrazytówek, biegli rozdziałami podorywki lub wadołami miedz do lasu i padali w spętanym podszyciu, zdyszani i niespokojni. 57

Trawa leśna w jesieni jest biała i pachnie rybą, zapajęczo-na i sprężysta. Cirla rwała trawę i pchała pod plecy dziecka, potem siadła i nakryła siebie i dziecko czarną harasową chustką. Przez szparkę patrzyła na pożar - rżesny, wysoki. Odległe pola z zaiglonymi sadami pomrugiwały czerwienią. W napięciu czerni krzyczały wrony. Potem wśród niepewnych dni upadł śnieg. Taka biała ponowa dla lisiej gonitwy z powłoką psich zakomyczań i szpicłów tropiących żydowskie bunkry w jarach i rozpęk-linach gruntu. W ściągniętych lodem porankach białało niejasno w oknie gonciami. Okrężnie i ostrożnie podchodziły dzieci Hyndy Glas. Patrzyły w dym bielszy od podszycia. Arbuzowski wyszedł zaraz do dzieci i podał butelkę gorącego mleka, pieczone kartofle i kociubę jęczmiennego podpłomyka. Na zrębach stukał karabin. Na samym szczycie brzości siedział kruk, dzwonił: ka-lon, ka-loń... Dzieci Hyndy nie wiedziały, co to znaczy. Arbuzowski powiedział, rozgartując zarost sprzed ust: - No, chwała Najwyższemu, ptak wiosnę zwiastuje. Dzwoniła osiedzielina, drzewa stały nieruchomo, tając i czerniejąc od środka. Sikory i trznadle nocowały w ciszy nawisów. Policjanci weszli do niewielkiej izby szamesa. Z sufitu zwisał mosiężny świecznik, ozdobiony słomką i papierkami. Pod ścianami stały dwa zwichrowane łóżka, nakryte kapami w jaskrawe bukiety. Zza pieca wychyliły się główki dziecięce z błyszczącymi oczami. Zsypały się pokrywki na blat. Szames nakryty kozuchem wylażł spod łóżka. - Czego w śmiech, trzeszczą zęby? Hynda miała rozczochrane włosy, szeroka w biodrach, złożywszy ręce, podeszła do policjantów. - Chunczke! - zawołała.

58

Strzał wysadził wszystkie garnki na piecu. Hynda upadła na Chunczke. Zagarnęła pod siebie popiół z żarem i pieczonymi kartoflami. Szames, nakryty kozuchem, stał w dymie na środku izby, dygotał. - Czego w śmiech?

Świeca przylepiona do stołu trzaskała i ogieniek zaczął gasnąć. - Wychodź do sieni!

- Nie wyjdę - głucho powiedział szames.

- A nu...

- Ty nie nukaj. Nie wyjdę.

Ten w progu zrozumiał, że w ciasnej izbie krępy szames jednym kułakiem rozłoży go, gdyby przyszło do właściwej rozprawy. Jeszcze raz krzyknął złamanym głosem: - Stać!

Drzwi od sieni skrzypnęły, wszedł Gail, uśmiechnięty przeszukał oczyma oczy policjantów i szamesa. - Szukam was. A wy tu, jak widać, w Żyda strach napędzacie. Gail wyszedł, błyskając w progu wyglansowanymi cholewami. Po drugim strzale jakby ktoś nieznajomy wstał i omac-kiem chciał przebrnąć czeluść. Szames podniósł się jeszcze, pchnął ręką przed siebie i upadł na pierzyny. Przysiadł raptownie, przewrócił stół. Zdażył jeszcze uciec w drugi kąt. Trochę w lewo od smugi. Wydobył zza cholewy walterka i strzelił w czarny pas. Skoczył w okno i wysadził je wraz z ramami. Z cmentarza szumiało drzewami. Szczęknięty karabiny w sieni. W bóżniczych ciemnych zaułkach szybkie kroki. Biją szyby w domku grabarza. W furcie ktoś stoi czarny. Latarka przeszukuje śnieg. W progu leży deska do rytualnego obmywania, garnki, rozwalony siennik, skrzynka do noszenia umarłych, koromysło, latarnia, puszki żałobne. 59

Noga odtrąca rozłożonego na progu Mojsze Chaskla. Dzieci odbiły się od czarnej zahaty i pobiegły przez puszysty śnieg ku bramie cmentarnej. Przemykają się między grobami, schylają się przed zwisającymi pod śniegiem gałęziami. Cirla stoi bez oddechu w kalinkach, czujnie nasłuchuje, wyteża wzrok - może czyjs szept, może iskra z papierosa. - Halt, tatele! - krzyknął ktoś za bramą. Po kolbie Cirla upadła twarzą w śnieg. Buty przebiegły po niej. Wydało jej się na moment, że jest świętą znalezioną w śmieciu. Po oczach, po szacie i milczeniu poznali, że to święta. Ni pary z ust, kiedy poczęli ją bić i targać niczym dzikie zwierzę. Rękaw koszuli urwał się, ale jej już nic nie groziło. Jacyś ludzie biegli do Heszelesa, śmiejąc się objaśniali dostatnio ubranym, że nic... że trochę śmieci było. Zgraja ruchliwych ptaków pocznie się na nowo mościć nad cmentarzem. Biedronki i żuki w ślad po piasku pośpieszą ku furcie. Z sieni stary Buchsbaum wyprowadzi dzieci na zielony skrawek z motylami. Nocą upadnie deszcz ciepły i słony. Tarło ślimacze.

Dzwony zagrzmiały ponuro, jakby ktoś zły poprzysłał serca pakułami. Kurzyła się jeszcze Szabasowa. Duszący dym wisiał przy ziemi. Dziecięce głosy dzwoniły rozpaczą koło kładki przy spalonej szkole. W małej, wąskiej uliczce stały trumny. Kilkoro ludzi z łopatami i rozglądający się dokoła ksiądz w brudnej komży. Na rowach leżały krowy z osmaloną sierścią, z wybałuszonymi oczyma, rzucając racicami przed siebie. Podwórza rozmokły od żaru. W błocie pościel, szkło z drobnych okien, blaturny i blachy kuchenne. Czad ze zrębu kuźni, podkopcone jesiony. Z tłącą się na sobie wełną biegły owce dzikim truchtem przez kostropate podwórza, pod majdan, a tam odbiwszy się od glinianego 60 wału w podjeździe - wracały pod nogi zajętych grzebaniem. Jesienny szkarłat czerwieni się za chałupami i na kieraci-skach. Przy dziewczęcych ścieżynach floksy. W pogodny wrzesień pszczoła przylatuje do floksów. W pogodny wrzesień klekocze rzeczotka. Tęchnie pokrzywa, kogut goni za kaczkami, pirga je po głowie z zapalem kochanka. Kaczki przysiadają, lubią tę poniewierkę. Cirla, przytuliwszy dziecko, biegła - jeszcze widziała dale w błocie, ropuchy zrudziały. Pies rwał za nią cwałem, wzruszony, język wywiesił na bok, uszy postawił. Biegli przez sianożęcie do lasu. Dziecko, jak królik zduszony w worku, prężyło się i krzyczało. Biegła ze ściśniętym sercem, spocona i gorąca. Nad fioletem leśnym krążyły wrony, wzbijały się wysoko i opadały pionowo, to znowu wznosiły się z krzykiem ponad rozpięte na zachodzie słońce. Na haławach leśnych zaścieliła się mokra pajęczyna. Jesienią pole patrzy, las słucha. Wyleniały krajobraz jest wrogiem tropionego człowieka. Cirla wbiegła do mrocznej sieni, skoczyła za kojec i siadła. Arbuzowska zaryglowała drzwi. Dziecko wniosła do izby, położyła na przypiecznej ławie i rozwinęła. Było mokre i z odciskami twardych pieluch na całym ciele. - Kiedy oglądam pieluchy twego dziecka, serce mi się bełta - mówiła Arbuzowska. - Jakbym widziała swoje, słyszała jego głos, patrzyła w jego oczy. - Ktoś stuka do drzwi - szepce Cirla. Arbuzowska odchyliła szparkę. Na progu stała wysoka kobieta. Wysunęła długie ręce zza pazuchy. - Wody dajcie - powiedziała.

- Napić się?

- A co, chyba nie kapać dziecko! Arbuzowska długo niezgrabnie szuka kwarty, potrąca garnki, hałasuje, klnie do siebie nieprzyzwoicie. Zagłada 61

w okno, czy jeszcze tam kogo nie ma prócz baby. Myśli biegły jak w powodzi. Widziała, nie widziała? Podpali, doniesie, skrzywdzi nienawistna baba. Kto ona? Czy była ona kiedyś dziewczyną, a stała się taka dziwna po śmierci? Ma kaprawe oczy i dużo palców u rąk. Jest luta dla nowo narodzonych dzieci. Podobna jest do wilczycy, tylko że brzuch ma nagi. Jest bezsiersćna. Ktoś opowiadał, że ona czasem jest podobna do zimowej łasicy. Niechętnie wchodzi do chałupy, w której mieszka narowisty, smagły człowiek z hałasem zamykający drzwi, bo może ją przydusić i zadać drugą śmierć. Nie lubi chałupy, w której radośnie hałasują i są gościnni dla każdego. Arbuzowska wzięła siekiere, stanęła za drzwiami i

krzyknęła: - Ty odejdz od progu, bo męża zbudzę. A on wieżmy żadnej nie lubi. - Męża ty swego nie zbudzisz - odpowiedziała baba.

- Cemu nie zbudzę?

- Otwórz, to ci powiem.

- Ot, ja ci łeb otworzę. Ty jędo przekłeta. Ty myślisz, że już ludzie zapomnieli, jak to w głuchą zimę ty żeś poszła do Hucisk i nadybała tam tyle nieszczęścia? - Arbuzowska wstrzymała oddech, aż wzdeła się jej pierś. - No, paplaj dalej - powiedziała baba za progiem.

- Ty suko kudłata. To ty, kiedy za lasem umierał stary Skwarczyński, a w izbie nie było nikogo, ty podałaś jemu niby to gromnicę. Wnuk sierota leżał w kołysce. Stary zapalił gromnicę, która potem wyleciała z jego martwych rąk. Zapaliła siennik. Siennik podpalił kołyskę. A ty zamiast zabrać dziecko z ognia - zabrałaś kozuch. - Bo kozuch był mój - a dziecka ja już sięgnąć nie mogłam. - Mogłaś.

- Nie.

- Widział Wąskopyski, że mogłaś.

62

- To czego on nie chwycił dziecka z pożaru?

- Bo on nie jest człowiek, on jest duch. Duch tylko widzi. - Nu, by ciebie z twoim duchem - zaśmiała się baba, uderzyła laską w drzwi. - Ty otwieraj, a to i bez twojego ducha wiem, że masz dziecko Cirli u siebie. Z zamazania wiatru i mgły wypłukał się patrol. Szedł na gonciarnię. Cirła dźwignęła plecak z dzieckiem, skoczyła tylnymi drzwiami w krzaki. Arbuzowska wyszła za stodołę i zawiesiła pieluchy na koźle. - Sława, babuniu - powiedział policjant.

- Sława - ukłoniła się Arbuzowska.

Na tyłku policjanta telepał się szturmowy mauzer. Przeszukali krzaki koło obory, przegarniali nogami trzaski na kupie koło warsztatu. Dwaj inni buszowali izbę. Arbuzowskiej pęczniały uszy, na czole jeżył się włos. - Kogoś gościła? - krzyknął któryś z otwartego okna.

- Chodź no tu, babo. Kogoś gościła?

- Wąskopyskiego - odrzekła Arbuzowska.

- A czegoś go gościła?

- Bojałam się. Przyszedł do świtu, najadł się, maszyn-gwera przeczyścił, pospał trochę i poszedł. - A co gadał?

- A gadał, że teraz to na was zasiadać będzie i wydusi was pojedynczo, każdego na zasiadkę. Powiedział, że się opłaci, bo każdy z was po kieszeniach kupę złota żydowskiego nosi. - Ty się, szmato jedna, dowojujesz z tym Wąskopyskim - powiedział Kurdiuk i pchnął pod nos Arbuzowskiej lufkę pistoletu. - Na, powąchaj! Zabrali z chałupy zegarek, dwa ćwiluchy, wełnę na motkach, strzelili kilka razy do ciemnej komory i poszli. Kiedy Arbuzowska wróciła do sieni, na progu od wejścia stała już ta obca baba i prosto powiedziała, jakby nic przed chwilą nie zaszło ważnego: 63

- Poszłaś do Szabasowej i sprzątnęła swego człowieka, niech się nie wala po błocie. - Odwał z moich oczu, bo już cierpliwości brak! - krzyknęła Arbuzowska, porwawszy siekiere. Podbiegła i dzieliła babę obuchem po plecach. Krzyk poleciał na las. - Ach, byś zdechła. - Arbuzowska przygniotła sobą drzwi i zaryglowała. Ciągłe z siekierą w garści, wyskoczyła przez okno na podwórze. Zrzuciła łańcuch z krowy i pognęła szybko przed sobą na zręby. Wiatr nagina wiotkie brzozy. Niesie trzy dymy znad rozstrzelwanej Szabasowej. Ryczy bydło i nawija się topielą wołanie kobiet: - Jeeeeeeeeeeezu! - Wybucha nowa palba, pomieszana z nawoływaniem, jakby tam ktoś rozsądny zwoływał niecierpliwych. Leci popielata mgła przyziemnymi kłopciami na skłonioną szparkę rudego nieba. Arbuzowska słyszy za sobą czyjeś szpertanie się w krzakach. Krowa rwie przed siebie, dopadła przysięki i drąc boki, narzuciwszy rogi skryła się w poszycie. Arbuzowska poszła szarym śladem.

Bańczycki nie szukał ani potęgi, ani bogactwa. Chciał złamać siłę przeznaczenia, zmusić do zmartwychwstania to, co było, ożywić - czego już nie ma. Tak samo Buchsbaum, po stracie wnuka, milion razy przez milion powtarzał rozpacz bezsilną: - Szukam ciebie od synagogi do synagogi, kawał drogi zrobiłem - i zaczynał odmawiać "Szema Izrael..." A potem: - Pozbądź się rzewności głosu, bo to są takie zużyte jedwabie, podobne do sztandarów, którymi się szczyłą barbarzyńcy. Samotność powoli zaludnia się, a cierpienie ulatnia na swoich czarnych skrzydłach. Rodzi się wrzawa wieczoru, krzyki, spory, strzały z bicia, stuk młotków, turkot wozów, z głębi cieniów powstaje wielkie miasto, zapach tabaki, zgorzkniałych fajek fornalskich, wichry jęczące pod drzwiami, mirty, luleby, tykanie starego zegara - ludzie sprawdzają uprząże przy świetle latami. Pod koniec lata ksiądz Bańczycki kupił parę łosząt od żołnierzy węgierskich i przyprowadził je na swoje gospodarstwo. Nie zwracając uwagi na drwinki gospodarzy z Hucisk, począł je intensywnie odżywiać, czyścić wiechciakami i umyślnie uszytą przez Kwellerę szczecianką. Łoszęta były chore, zagonione, pokaleczone, z fistułami i żółzowate. Ksiądz Bańczycki dwa razy w nocy łąził do stajni, zarzucał siano, podścielał suche, sprawdzał uwiązanie i macał tętniące żoły. W głuchą jesień obłożył

ścia-5 - Czarny potok

65

ny chlewów liściastą zahatą, podwoił obrok i dogadzał łoszczęciami jak zawodowy hodowca. Gdy tylko noc zapadała, Kweller wyłaził z jamy wykopanej pod psią budą, rznął sieczkę, kręcił wodę, wciągał cebry z parzanką do chlewa, szykował obroki na dzień następny lub rąbał w szopie patyki do pieca, przy blasku latarki. Upozowany był w sylwecie na babę, bo wiadomo było, że na plebanii przystała do roboty Klara Wasicińska. Wysoka, szczudłowata dziewczyna, a mocna i jurna, że mogła siedmiu chłopów zapalić na lodzie. Kiedy upadł pierwszy śnieg, łoszęta wybiegły ze stajni na oślepiającą biel - były czyste, gładkie i brykały po sadzie. A w progu ksiądz Bańczycki, chuchając w grabiejące z zimna ręce, uradowany wykrzykiwał: - Tioch! tioch! - Podbiegł do wrót, zamknął je i krzyknął: - Wasicińska! Trrr! Wasicińska! - Co jest?

- Patrzaj!

Klara, chowając pod pachę ręce czerwone od prania, mrugnęła z uznaniem. Jej młode, czarne jak spod węgla brwi podniosły się na gładkie różowe czoło. Ksiądz obejmował lubym spojrzeniem swawolące łoszęta, zadowolony z przychówku, odstawiwszy nogę, skręcał papierosa. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem, kopną ścieżką od wymarłej Szabasowej, wszedł na podwórze plebanii jakiś maleńki, garbaty człowieczek. Na tle nieogamiętych płaszczyzn śniegu i oszronionych drzew postać tego drobnego człowieka wydała się księdzu wróblim znoskiem. - Pochwalony - rzekł obcy i uniósł rudą czapkę.

- Pochw... - ledwo wydusił przez zęby ksiądz, pilnie śledząc każdy fragment przybysza. Obcy miał twarz spierzchniętą, na brodzie długie, rudawe kłaczki, nad zapadłymi wargami wisiał płaski, kaczy nos, podsmalony nikotyną. Oczy, tylko oczy garbuska były 66 niezwykłe, w ogóle jakby nie jego, lecz człowieka z zaklętym w sobie pięknem. Oczy duże, zajęcze, krwiste, żywe, ocienione długimi, kobiecymi rzęsami. Kabat zmięty, powycierany, łata na łacie, obydwie poły nabite zlodowaciałym śniegiem, zamiast guzików tkwiły w dziurkach kołki leszczynowe. Buty zdeptane, rozkiste, z osiadłymi cholewami na szytych zapiełkach. Człowieczek jeszcze raz uniósł baranią czapkę, zatapiając w sierść czarne paznokcie, rzekł cicho: - Na służbę chciałbym ja do księdza przystać.

- Ach, po co mi twoja służba, człowieku. Sam koło siebie robię. Z pięknych, kobiecych oczu garbuska wytoczyły się łzy. I te łzy zachwiały czujność księdza Bańczyckiego. Opuścił ręce, wszedł do kuchni. - Daj całuskę chleba - powiedział Wasicińskiej.

- Komu?

- Ot, przyszedł jakiś biedny. Ciekawa rzecz - dodał ksiądz - jakie piękne ma oczy. Chodź zobaczyć. I Wasicińska, wytarłszy ręce o zapaskę, ukroiła pajdę gęstego chleba, wyszła za księdzem do sieni, spojrzała. - Całkiem wróbelek - zaśmiała się. - Prawda? - Ksiądz podał chleb zmarznietemu gar-buskowi. Ten poprawił węzełek pod lewą pachą, zdusił garściami kromkę i łapczywie jak pies począł rwać i łykać. Ksiądz, pogrążony w jakichś radosnych, ckliwych planach, ciągle stał i patrzył na głodnego niepozornego garbuska, który jadł, dyszał ciężko i pociągał nosem jak dziecko. Z mieszanymi uczuciami wstydu, smutku i żalu, narzucającego się z nieodpartą siłą, zapytał: - Co chciałbyś za swoją służbę? He?

- Tak... aby żyć.

Na to oświadczenie ksiądz uznał się za pokonanego, ale jeszcze raz spojrzał w oczy przybysza i odsądzivszy wargę z przyklejonym do niej papierosem, rzekł gburowato: 5-

67

- No to zostań. Zobaczymy, co za żuk z ciebie. Co to masz w tym węzełku? - Co?

- Głuchy? Co masz w tym węzełku?

- Dwie koszule, koc i zgrzebło.

- To ty widać lubisz konie, jak ty nosisz zgrzebło?

- Nu pewnie, że ja lubię konie.

- A papiery jakie masz?

- Nie.

- Zostaniesz dwa dni na próbę. Jak żadnej pociechy z ciebie nie będzie, to wygonię. Bo nie można być nieprzydatnym na tym świecie. Zziębnięty garbusek zdjął czapkę, poczerwieniawszy na twarzy, podszedł do ręki księdza i pocałował głośnym mlaśnięciem. - Będiesz musiał, człowieku, spać na żłobach, koło łośząt. - Dobra - rzekł garbusek, drepcąc za księdzem. Za ryglami chrząkały niecierpliwie prosięta. - Tędy - Bańczycki pokazał ręką drabinę - tędy po tej drabinie wyjdiesz na strych. Tam jest otawa. Nadrzesz otawy łośzętom. To pierwsze, co zrobisz. Garbusek wszedł do stajni, spojrzał do góry, jego siny, pomarszczony kark zsunął się na zakładkę kołnierza. - Boisz się?

- Ale tam.

- No to jazda. Tylko uważaj na szczeble. Garbusek wszedł za przegrodę. Prosięta rzuciły się do kabata. Spod pachy wyleciał węzełek. Ryje prosięce odskoczyły z koszulami, ze szmat wytoczył się ucięty karabin i padł na płask w rzadki gnój. Ksiądz udał, że nic nie widzi, jeszcze zerwał ze strzechy poźółkły sopel i rozbił go o próg. Wreszcie chwycił widły, nadział na nie brudne koszule garbuska. - Na, zabieraj te koszule i wynoś się w diabły!

68

- Co?

- Zabieraj się w diabły!

Jakimś cudem ruda czapka zatrzymała się na głowie niedoszłego sługi, natomiast garb wysunął się spod kaca-bajki i w postaci nawiniętych onucek zapadł się w śnieg. Bańczycki uderzył w kark, doskoczył bliżej, czapka zsunęła mu się na czoło, odrzucił ją gorącą dłonią i znowu rznął dyszlowym między oczy. Ale obcy poczęstował księdza nożem, aż chrupło, zwalili się bokiem na lodowy nabój ścieżki. Bańczycki wyprowadził nogi z bezładnej kluczeki, podgarnął się w brzuchu, wyszamotał spod obcego, wstał. W biegu przetarł oczy, skoczywszy z przysiadu - kopnął w kolano, a kułakiem pod daszek nosa, ale zwałił się, pojechał na gumowych podeszwach. Teraz obcy począł kopać Bańczyckiego w potylicę. Jeden i drugi węszył śmierć. Drgali rozchełstani, resztkami sił parli na siebie, gryźli i podmacywali nożami. Zyb, zyb, szuch, puch. Krew zalała nagłą. Bańczycki upadł. Podniósł się jeszcze na łokciach, ręka poszła pod pas i zastygła, czoło osiadło na śniegu. Wasicińska zdążyła machnąć wróbelka koromysłem. Za-trzepał rękoma, upadł na wznak, szybko poderwał się i wybiegł za wrota, podciągnawszy poły kabata, znikł w sinawej zimowej pogodzie. Klara z Chaimem

zanieśli księdza do izby, ocucili i opatrzyli dwa przeprucia na karku. - Po diabła takie sztosy - powiedział Chaim - zapominasz, że już jesteś po pięćdziesiątce. - Aleja mam nosa, człowieku, co? Od razu zwąchałem, że to szpicielek. - A baczki miał?

- Ech, baczki! Nie zawsze i nie każdy szpicel baczki musi mieć. - Ja ci powiem. Wiesz, kto to był? - spytał Chaim.

- No?

- Znak...

69

- Diabli tam znak. Taki sobie ptak.

- Po co ptak?

- Przyszedł szukać perły w jęczmiennej plewie - odparł ksiądz. - Osobliwa filozofia. Ale pokaż no, bracie, tętno. Chaim przystawił kciuk do pulsus księdza. Plebania księdza Bańczyckiego stała pod lipami, na kamiennych szerokich podwalinach. Zmarznięty liść zsywał się na gonty, zatarasował kosze. Na podwórzu zwalony chrust z fasoliskiem i nacią. Pod fudrygarnią bryczka z narzuconymi na siebie dyszlami, koła nabrane błotem. Na przedłużeniu stodoły szopa na czterech słupach, a pod nią ule ustawione w budynek, oczkami do środka. We wrotach kilka prosiących śladów. Kiedy Kweller wszedł w obejście, zziąjany i mokry, ksiądz Bańczycki zamachnął ręką ku drzwiom ganku. Wszedł do stodoły. - Dziś ja widział Buchsbauma - powiedział parobek do księdza. - Żyje? No i co?

- Powiedział: Pochwalony.

- A ty co na to?

- Ja nic.

- Czego nic?

- Bo to nie wypada.

- Czego nie wypada? - ksiądz podniósł laskę, jakby chciał uderzyć, krzyknął: - Sypniesz tym gołębiom grochu czy nie? - A ni ma garnca. Ni ma czym nabrać.

- Ach, duszo mizerna. Ta już bym czapką nakarmił.

- Cholera z gołębiami - zasyczał parobek i wlaź za sieczkarnię. Ksiądz z progu stodoły spojrzał ku wrotom. Uderzył laską w dyle. Śnieg zsywał się z zaciosów. 70

- Gołębiczek nie pilnujesz, to znaczy, że jesteś człowiek bezduszny. - Nu, czort wie. Niczym już teraz dogodzić księdzu nie można. - Nie o to, bezduszniku, chodzi. Dogodzić, nie dogodzić. Ja stwierdzam z rozpaczą, że jesteś zły. - Czego zły?

- Do ptaków miłości nie masz, to znaczy, że do matki miłości też ci brak, jak zwyczajnie bezdusznemu! - krzyczał Bańczycki i groził kułakiem. Gołębie zsywały się mendlem pod nogi, gruchały iskając sieczkę. Ksiądz podszedł do rogu klepiska, nabrał w połę nie przebranego prosa, wyszedł z tym na podwórze i wysypał na nabój pod progiem, laską strzepał połę rewerendy. Wrócił, wysiąkał nos i powiedział spokojnie: - Ty od dzisiaj do kuchni nie wchodź za jadłem. Ja ci wyniosę do komory. Oparzyny dla bydła ja wyniosę. Za niczym do kuchni nie przychodź. A jak się to tobie nie podoba, zaplanuj sobie swoje życie inaczej. Gołębiczki to tylko próba. Spodziewaj się w swoim życiu gorszych rzeczy. Ja się też spodziewam. Bańczykiemu posiniał nos, policzki zbiegły się nienawistnie jak skórka zduszonej purchawki. Nie czekając odpowiedzi, poszedł spokojnie ku wrotom. Prosięta pobiegły za nim. Kweller stał u skrzydła wrót. Mały, w czarnym burnusie. Barania czapka wsunięta po żuchwy, ogon siwej brody w kołnierzu, w sinym przecięciu ostre, czarne oczy. - Jak to dobrze, że taki mały jesteś, Kweller. Skryć się możesz z powodzeniem nawet pod dzieżą chlebową. Ksiądz Bańczycki spojrzał za siebie. Parobek niósł w objęciu wiązkę koniczyny. Podszedł do drzwi stajennych, noskiem buta odrzucił skobel i skoczył za pręg. - Dziecko jest jeszcze mniejsze - zaświszczał chrypką Kweller. 71

- Tak. Dziecko jest jeszcze mniejsze. A kiedy je synowa urodziła? - Jeszcze przed Siewną. Dziś urodziła, a jutro ją zabili. Kweiler oderwał czarnym paznokciem trzaskę, przełamał na dwie części, pokazał księdzu. - Tyle żeby był skrzył lufę na lewo, byłaby żyła.

- O, Materdei! - zastękał Bańczycki.

- A jak się ono ma? - zapytał Kweiler, odrzucając trzaseczkę od siebie. - Niby dobrze. Brakuje mu...

- Mlika?

- Ale^ mleka. Krosta to straszna rzecz.

- A kula niestraszna?

- Głupstwa gadasz, Kweiler. Kula u nogi straszniejsza. Bańczycki położył laskę na ramieniu, kciukiem poskrobał czoło. Postali chwilę milcząc. Potem weszli obydwoj do letniej werandy, zasypanej polanami, wiązkami chrustu, paczkami i blaszanymi rupieciami. W fundamencie pod kuchnią była dziura królicza. Bańczycki jeszcze w śródleciu, w samą spiekotę słoneczną rozszerzył siekaczem tę czarną jamę o syrkich ścianach. Glinę wynosił w koszyczku na grządki i rozsiewał po łobodzie. - Na dnie jest słoma, możesz spać. A Gail ma jeszcze psa? - Gail? Pewnie! I Kurdiuk też już ma psa. Kweiler wsunął się tyłem do jamy. Bańczycki postawił wiązkę na wylocie, ocenił prawdopodobieństwo bałaganu na podłodze. Wyszedł. Z wygonu wprost na plebanię rwała żwawo stara baba, motając długą spódnicą.

- Sława - zasyczała baba. Przetarła wierzchem dłoni swoje obłe policzki. - Na wieki. - Ksiądz cofnął rękę. - Nie całuj, na co to się zdało komu. Co powiecie, babo? - Wilki Żyda "zadusiły na miedzy koło Przepastnej.

72

- Skąd wiecie, że wilki?

- A Kurdiuk mówił.

- Komu? Warn?

- Mnie mówił. Powiada, że przez zimę namnożą się i pozjadają. - A ty co za jedna?

- Ja Warwara, ja po prośbie chodzę.

- Aha - zastękał ksiądz i począł bezładnie mówić, pochylił się ku babie: - Wilki nie mnożą się, ale powstają z człowieka. Bywają tacy potępińcy, że całe wsie, wiele ludzi zamieniają w wilków. Wilki owe przeciekają do lasu, napadają Żydów. Świtem wracają do domu z majątkiem zabitych. Kto leży zabity na miedzy koło Przepastnej? - Stary blacharz, Kweiler.

- Bardzo go nadgryzły wilki?

- Jeszcze się trzyma, ale tej nocy to go już rozniosą - powiedziała pochmurnie baba. Poprosiła wody. Wypiła nie odrywając ust półlitrowy baniaczek. Jeszcze zmierzyła księdza Bańczyckiego od butów po łysinę i poszła przez wygon zamaszystym krokiem parobka. - Czarne dno wszelkiej możliwości - wyszeptał Bańczycki i począł rozgniatać kartofle w szafliku. Prosięta wleciały do sieni, kwicząc potrącały się ryjkami. Heindl odwraca kartki notatnika. Wydobywa z pamięci szczegóły czyjejś pięknej twarzy. I nakazuje: - A teraz zapomnijcie o mnie: jestem wierny pies włóczący się z dziećmi w pewnym zakątku ziemi. A ponieważ Pan świata zsyła nieszczęście jedynie tylko jako karę za grzechy, a niewinnych pragnie uchronić od śmierci w straszliwych cierpieniach, więc dzieci nie cierpiały bez przerwy. Podczas świąt Estery kwestarze przebiegają się w tancerzy i dla rozweselenia robią rozmaite sztuki, jak ongiś przed królem Ahaswerusem. Gabe Gudeł otoczony gromadką dzieci znika pod wysokimi czarnymi jodłami, gdzie przechowuje

73

się, jak w grobowcu, wszystko, co istniało kiedyś: widać plac pokryty śniegiem, dom, mogiły, oświetlone sale, głowy pochylone nad księgami, stodoły ogromne, dźwięki psalmów, ganek ze zmurszałych cegieł, kawałki potłuczonego fajansu, w kącie kij podróżny i mały tłumek - tu ktoś, jeszcze przed chwilą żywy, nakreślił: "O co pyta roztropne dziecko? Co mówi prostak? -

Co to jest? A co to jest?" Z ciemnej sieni weszli do izby zatęchłej octem. Pod ścianą leżała kupa brudnej bielizny, sienniki i komoda z wyduszonymi szufladami, w drzwiach zawiesiła się na ukos szafa, a w niej spódnica, dziecięce porteczki i zrudziałe książki. Na zardzewiałym piecyku stały flaszki, brudne słoiki, kwiat lipowy w gazecie, drut do bicia śmietany i świeca w lichtarzu. Zamiast - jak zapowiadał Miś Kunda - skórek z chleba znaleźli w komórce trupa. Grubą, napuchłą kobietę. Leżała z rozpuszczonymi włosami, prawa ręka na łyżce, lewą zdusiła na brzuchu czerwoną halkę. Po małej szybce łaziły muchy, osy i ćmy. A tam dalej ktoś się poruszał w słomie wywalonej z siennika. Miś podszedł do tej słomy i rozgrzebał nogą. Z podłogi podniosła się dziewczynka, była w brudnej koszuli, westchnęła i siadła. Dziewczynka ta była trochę podobna do Kalmy. - Chodź z nami - powiedział Miś.

Poszła za chłopcami, skulona, złożyłwszy ręce na piersi.

Weszli po zasypanych wapnem schodach na piętro. Tam, w olbrzymiej sali, na samym środku, stał fotel z wydartym siedzeniem. Ściany zadymione, z mnóstwem dziur od gwoździ i kuł. Nad wejściem do następnej sali wisiała czarna pluszowa makatka z wyszytym złotymi niemi lwem. Na gzymsie kominka stały filiżanki, pod piecem nie dopalone pończochy, kłębki bawełny, paczki igieł, guziki i dziecinne krzeselko. I poszli dalej, nie znajdując nigdzie nic, co by 75

się nadawało do jedzenia. Dudi zataczał się. Wszędzie widzieli to samo. Pobite lustra, papiery, krzesła, tynk, rozprute poduszki, kupy czarnego rozharu i trupy skłębnięte w łachmanach. Gdzieś tam siedziały trupy na parapetach. Przeciąg niósł papierki, mokre powietrze z pola. Po pustych izbach latały motyle, błyskając skrzydełkami, siadały zmęczone na brązowych lichtarzach. Nad spalonymi dachami stała liliowa odległość zmieszana z białymi chmurami i dźwięk lata niósł się od horyzontu do horyzontu. Tam, na zielonej murawie, wśród owiec, szła kłótnia dziecięca o piłkę ze świńskiego pęcherza. Tarzali się chłopcy, podmacywali sobie łobuzersko krocza i szła gonitwa po upstrzonym gęsim łajnem majdanie. Psy darły jamy, ziemia sypała się za ogonami. Szumiała rzeczka, prychały konie i czasu nie było końca. Daleko, daleko szły słupy telegraficzne - coraz mniejsze i mniejsze, i coraz mniejsze jaskółki siedzące na drutach. Kiedy Dudi silił się, żeby nadążyć za Misiem Kundą i nie upaść ze zmęczenia, cienie na podłodze dwoiły się, a krok zaplatał. I w piwnicach nie było skórek z chleba. Z beczki tylko pokazało się naprzód prześcieradło, a spod niego czarna głowa na cienkiej szyi. Dwoje czarnych oczu patrzyło na Kundę. Z beczki wylazła kobieta i pobiegła do pustej gruby, ciągnąc za sobą coś, co było podobne do zgniecionej stonogi. Skrzypnęły drzwi za nimi i zatrzeszczały czyjeś kroki. Dmuchał przeciąg. Dudi spojrzał za siebie. W świetle od okienka stała młoda kobieta nakryta zielonym szalem. Nim zobaczył jej twarz - przyszła na pamięć matka. Albo może to była ta kobieta, która dała mu przez druty garść malin? Albo może to była ta dziewczyna, która kocha Wąskopyskiego? Czarne, połyskujące brwi i oczy - usta w uśmiechu. Tak uśmiechała się matka: pełnymi ustami, a na policzkach siadały dołeczki. 76

Trudno było rozpoznać kolor i kontury stojącego pod bóżnicą człowieka. Ruszał się i trzymał coś w ręku. - Żandarm? - spytał Kunda.

- Tak.

Zbliżał się, rósł, zapatrzony w sień, przygotowywał broń. - Tam jest ich więcej - powiedział Dudi. Żandarmi stali pod parkanem, jakby czegoś oczekiwali. Chłopcy uciekli piwnicami do kotłowni browaru. Wyjrzeni przez okienko. Na prawo ciemniały lipy, zasłaniały dach. W cieniu pod drzewami leżeli zabici. Blisko okienka ktoś chodził po szkłe, skrzypiały drzwi. Na chodnik przed browar wyszedł stary człowiek, zwymiotował, obciągnął na sobie chałat, jakby mu było zimno. Kiedy żandarm podszedł do niego, ten człowiek podniósł rękę, powoli obejrzał się na cztery strony świata. Słyszał było, jak mówił: - Ja jestem szlifierz.

Żandarm położył lewą rękę na biodrze, podszedł i uderzył szlifierza pistoletem po głowie. Na ustach żandarma zaigrał cieniutki wężyk uśmiechu, patrzył prawym kącikiem oka na dach browaru, poświęcił dość dużo czasu na przypatrywanie się ścianom. Szlifierz siedział chwilę, a potem, rzuciwszy się na plecy, położył się na bok i widać było, że zapadły się jego oczy, łyse czoło zalało się krwią. Nocą Miś Kunda i Dudi przeleźli druty, biegli długo polem, znaleźli siano i zagrzebawszy się w nie, spali do rana. Kto wie, jak długo by tak spali, gdyby nie pies gospodarza, który ich wystraszył z legowiska. Opędzając się tyczką poszli łąką nad Styr. Widać było, jak obydwoj, nie poruszając nogami, pochylili głowy nad wodą. Nadęte policzki, ręce szeroko. Zaganiali kielbą pod kamień. I żeby kielbą wypłoszyć z mułu. Miś Kunda plasnął dłonią - bryznęła woda na plecy. Podnieśli się i otrzepali. Rozczarowani, wysoko 77

podniósłszy kolana, patrzyli - gdzie tam ten kielb znowu się pojawi. - Jest, jest - syknął Miś. Słońce piekło, gryzły muchy na deszcz. Jakaś baba przyszła od strony Pasiek z pełnym wiadrem łachów. Zebrawszy koszulę pod brzuch, kucnęła na brzegu. - Jest! Miś złapał w dłonie kielbą, podniósł się i balansując wyszedł na brzeg. Rybka, błyszcząc w słońcu, upadła na brudną koszulę. Dudi pogrzebywał palcami ił, coś tam kładł na lewą dłoń i pociągał nosem. - A czyje wy, chłopcy? - zawołała baba, krążając prześcieradło. - A tata i mamy - powiedział Miś, urwał trawkę i pchnął do ust. - Sssy, a to ładnie - zasyczała baba. Nad Szabasową krążyły dwa samoloty. . - Ładnie, ładnie. Ja miałam syna takiego jak ty. To gdzie by on tak odpowiedział - krzyczała baba i głos jej klekotał nad wodą. - Straszna rzecz. Śmierć przyszła drzwiami. Zamiast tego, żeby do mnie przyjść - ona do niego. Wyprostowała się, wycierając ręce patrzyła na gołe plecy chłopców, pokropkowane muchami, na zsiniałe pośladki. Chciała im opowiadać, co to się stało z jej synem. Chłopcy, wsparłszy łokcie na kolanach, patrzyli na brzeżek z kamyczkami - tam skoczył kielb. Czyżby się skrył w skorupie ślimaka, bielejącej na dnie? - A nu, dotknij palcem tego ślimaka. Nie bój się, ja cię potrzynam. Dudi zanurzył rękę, pochylił głowę, prawe ucho schowało się w wodzie. - Głęboko.

- Palcem dotknij. Palcem, pomału, pomału... nie kała-muć wody. - Co?

78

- Nie kałamuć, nogami kałamucisz.

- Tak?

- Zatkaj dziurkę.

- On śliski jest, przewraca się.

- Już nic nie widzę. Nie kałamuć.

- Co?

- Weź tę nogę, pomału, bo zasłonisz. No, chwyć całą dłonią. - To głęboko, to się wydaje blisko, to się odbija tak, że to jest blisko. - Nie kałamuć, tylko od razu, od razu, bo ucieknie. Żeby choć pięć złapać, toby była zupa. - Nie mogę, za głęboko - powiedział Dudi, otworzył usta jak do śmiechu, wargi mu drgały. - Ty trzymaj się mnie i pchnij się, ale od razu, no, ale od razu. Nie kałamuć nogami, Dudi, cholera! Dudi chwycił rękę Misia, zanurzył bok, szyję, pół głowy - puszczał nosem bańki. - Jest! - krzyknął i wypłuł wodę.

- Trzymaj palec na dziurce!

Miś Kunda też pchnął ręką w głębiny, pochyliła się trawka, namacał łydkę Dudi. - Trzymaj, trzymaj. To jest twoja noga?

- Nie pchaj się na mnie.

- Ściśnij. Trzymasz?

- Oooo - zajęczał Dudi.

- O, Jezu kochany. Już nic nie widać.

- Odpocznijmy trochę - powiedział Dudi.

- Siedź cichutko, on znowu wypłynie.
- Co wy tam? - spytała baba zmrużywszy oczy.
- Żłotego węża łapiemy.
- Nu, czyżby?

Dudi wyszedł na brzeg, zsiniały, z zapadniętym brzuchem - stał tak nieruchomo chwilę, odstawiając łokcie, jakby je zasiały czyraki. 79

- Nu, czyżby, czyżby - przedrzeźniał ją Kunda.
- To tak cały dzień wy się bałwanicie? A krowy kto pasie? Tsz! - zasyczała baba i zatupała nogą. Po chwili zaczęła ciszej, jakby do siebie: - Któż to im jeść daje, ciekaweż to by było wiedzieć. A węża nie wolno łapać. Co on wam zrobił? Czegóż jego zabijać? Wąż spokojne, nieme stworzenie. I człowiekowi lubi w biedzie być przydatnym. Chłopcy wdziali spodnie i siedli na murawniku, zgarbiwszy kościste łopatki. Do kielbisa, skręconego w łupinę, zakradał się wróbel. - A to - ciągnęła baba - jak przyszło nocować Matce Przenajświętszej w opuszczonym młynie. Zatrzymali ją tam i jak zwyczajnie święty Józef przy ośle na dworze nocował. A noc była ciemna i gwiazdy nie było, żeby jak szukał na niebie. A tu patrzajcie - światło zamajaczyło pod łotoka-mi. Co za przyczyna? Gdzie tam światłu być? Zbliżył się święty Józef do światła - ach, to, to, to - patrzy, a na dnie świeci się okno szerokie i izba karczemna. Na szynkwasio świeczka stoi, a na środku ludzi kompania wielka z nożami i pikami. Ach, pomyślał święty Józef - niewesoło - co tu robić? A wąż spod mostu wypływa i powiada: "Co ty taki markotny?" "Rozbójników kwatery pod młynem." "Czekaj - powiada wąż, zamienił się w młynarczyka i powiada: - ty się nie bój, módl się do Pana Boga." Puścił wodę z wszystkich łotoków i woda zalała zbójców, ino świeczka wypłynęła. A świeczka jak płynie rzeczką - to nie świeczka, to ten wąż święty. Akurat wam dziś węża przyszło łapać, chłopcy kochane. Małe, tęskne oczy Dudi patrzyły na babę, muchy niepokoiły się na jego policzku, sinym od liszaj. - Ciekaweż to, czyje wy chłopcy, co? - nudziła baba odkaszlując. - My nie mamy taty i mamy - powiedział Miś, pomyślał i dodał: - Bo my zgubili się w tłoku, jak Niemcy bili bombami. 80

- Ach, Jezu ty kochany. Ja zaraz wiedziała, że to tak. Krowę paśliby wy, co? Dałabym dobrze jeść, a ot zaraz barszcz stoi w piecu. Co? Obstałabym, co? Chodźcie, chłopcy - podniosła się, chwyciła wiadro. Chłopcy głodni i zmęczeni spiekotą słoneczną poszli za nią. Szli do przysiółka Pasieki. Na polu nie było nikogo, żar południa. Tylko skowronki dzwoniły wysoko, przy miedzach czerwienił się mak. - O Boże - zastękała kobieta, zatrzymała się, postawiła wiadro i plasnęła w dłonie. - Idźcie, chłopcy, prosto, prosto i tam, jak przejdziecie zrobione siano, to po prawej ręce będzie krzak. Posiadajcie w tym krzaku i czekajcie. Miś Kunda i Dudi znaleźli zrobione siano, skręcili w prawo i siedli w gęstwinie młodej iwiny. Potem przyszła młoda, gruba dziewczyna i poprowadziła ich miedzą między żywymi, pod las. W głębi, otoczona niskim sadem wiśniowym, stała chałupa pokryta czerwoną i białą dachówką, dalej szeroka i niska szopa, czarny bróg i pasieka. Na środku podwórza stała ta starsza kobieta i sypała kurczętom, a koło niej siedział pies, stary, wielki kundel. Siedział, patrzył spokojnie na kruszoną jajko i ślina ściekała mu z pyska błękitną nitką. - Daj im obiad - powiedziała stara i, popychając lekko za plecy, zaprowadziła chłopców do izby. Spytała cichutko: - Jak ty się nazywasz? - Miś Kunda.

- A ty?

- Dudi.

- Nu, co zrobić. A z weskami jak tam u was? Co? - mówiła stara, klękała, szukała czegoś pod łóżkiem, odstawiała wazoniki, za obrazami. - Nalewaj im, Klara, nalewaj. Ja szukam tego grzebienia, woszbijnika. 6 - Czarny potok

Klara podała biały barszcz w dużej glinianej misce, dwie łyżki aluminiowe i ukroiła cztery kromki chleba przez cały bochenek. - A byście się przeżegnali! - powiedziała stara. I Dudi, skroś łez zasłaniających oczy, patrząc na Misia Kundę, stulił palce, podniósł rękę do czoła i drgnął. Pies, sunąc mokrym nosem po łydce, obwąchiwał pilnie jego spodnie. Siorbali barszcz, rzucali do ust grudy chleba i brała senność, i coraz leniwiej zwisła łyżka w garści, i coraz spokojniej gospodarowały muchy na brzegu miski. Wszystko, co było przeżyte dotychczas, znikło jak dym i Dudi poczuł, że zrobi wszystko dla tej kobiety. Nawet byśmy się bili - chciał powiedzieć do Misia Kundy, ale ten, pochyliwszy głowę, zasypiał siedząc. I śniło się Misiowi, że przyszła Kalma i powiada: "Twój ojciec leży zabity na Meiselsa, idź do niego." I widać, jak ojciec posysa ustami, przywołuje ręką i dmucha, do ust wdziera się mucha i huczy, i spać nie daje. Uciekają ludzie do bram i żandarmi tam biegną, i mucha znika w ciemności. "Tato?" Nie ma odpowiedzi. Z sieni wysuwa głowę Szeru-cki, ręką daje znak: "Uciekaj! uciekaj!" Wstrząsają się i ptaszek powieszony na włosieniu końskim kołysze się na wprost słońca. "Trzymaj! - słychać krzyk. - On może udawać śmierć!" I dłoń chwytła drobne ciało, ciepłe, pulsujące - rzuca do worka. Ach, ty pieśni polna, jakaś ty miła, pieśni polna. Ktoś mówi basem. Ptak jeszcze mokry od rosy pada do worka. Pochylają się twarze. Słuchają: Czas Wielkanocy nadszedł, W lesie rozlega się gruchanie gołębia. Figa już wypuszcza pączki, Zakwita łodyga wina. Powstań, o mój ukochany! I dalej śni mu się, że jak zwykle przychodzi jak najwcześniej do szkoły i zawsze już zastaje starego mełameda, odmawiającego pod oknem modlitwy. Czy on nigdy nie śpi? Zapadnięte policzki, rzadkie włosy brody, które skubie i zwija, a kiedy jeden włos pozostanie mu w ręku, wkłada go między kartki księgi. Ojciec wśród sześciu królów, którymi są Buchsbaum, Laiba Szorr, Chaskiel Karawan, Kanczu-ker, Spojdyk i rzezak Kojfcie. Posiadali oni wśród czerwonych pierzyn - talerze ozdobione kwiatami, przed każdym talerz napełniony wodą, trzy chleby "azim", kubek napełniony słodką wódką, utarte migdały, imbir, szczypiorek, rzodkiew i jajko pieczone w popiele. Matka stawia na stole pachnącego karpia, płomień siedmiu świec chwieje się. Matka unosi go w ramionach. Czy ona wie, że sam prorok Eliasza opuścił na zawsze spalone miasto? I widzi Kunda proroka Eliasza, który znużony upałem dnia idzie miedzą przez łan zboża do lasu ogromnego; równiny, wysokie bezchmurne niebo, skrzypiące wozy i stogi napełnione pięknym ściętym zbożem, kobiety niosące w rękach chleby. Ludzie spieszą do miasteczek, gdyż wkrótce ukaże się błyszcząca gwiazda. 82

6*

Podwórza Szabasowej zarastały już bujną pokrzywą, pachniały mokre łopuchy na zgorzeliskach, rudział szkarłat pod zwalonymi płotami i wędły sponiewierane ogniem piwonie. Pusto było na garbatych uliczkach, tylko między żłobami z wypalonych podwalin stały czarne piece, obok nich siedziały milczące pliszki. Na ścieżkach wschodził owies. Zwęglone wiśnie zasnuła pajęczyna. Rankiem dzwoniła ptaszęca radość w połyskach rosy. Ze wschodu różowego wypłynęła na wysokie niebo ciepła rzeka. Zsypał się jaśmin na jezioro pod cmentarzem, miedziany pył zasiał zwierciadło - i nie widać było głębin, odbicia chmur ani zielonej, młodej porośli, ciągnącej się żabim planktonem. U wrót obejścia Szeruckiej trzęsa się tarnina, zapchana wróblim weselem, na kolcach dosychały chrząszcze. Wąskopyski skradając się wszedł do sadu i ostatni raz spojrzął na spaloną czereśnię. Wsparty kiedyś o nią całował gorące usta Emilki. Wrócił na podwórze i ukląkł na progu, na którym jeszcze w marcu stawiała jego matka i sypała kurom poślad. Potem wyciągnął z popiołu wypaloną siekierę i oglądając się na ciemną i głuchą chałupę Tombaka, poszedł długim krokiem na cmentarz. Szames Buchsbaum widział go ze swego ukrycia, chciał zawołać. 84

Ale z chałupy Hanczarki wyskoczył pies na trzech nogach, biegł i skomlał. A za nim żandarm, dociskając czapkę, wyciągnął z kabzy pistolet. Strzelił, aż zawarczało, i wrócił do Hanczarki. Pies leżał, drżał całym ciałem. Miś Kunda podszedł do psa, cmoktał i klepał ręką kolano. O pełnym świcie zaczęła się na Podcmentarnej ciesielska robota, za jabłoniami dzwoniła siekiera, piła-poprzeczka nacinała zamki. W cieniu na przyciosach stukał knypel. Za chałupą Buchsbauma robotnicy żydowscy, popędzani kolbami, budowali wysoki parkan. Zaryglowywali getto. Nad robotnikami kwitła topola, rzucała puch na drzewka, na miodunki, na kalinę roztrzęsioną w kwiatach i zaciągnęła to wszystko letnia pogoda. I zaraz rano uliczkami szli gdzieniegdzie ludzie, głodni, w obszarpanych chałatach. Odrzuciwszy kije przysłaniali oczy, padali na bruk. Uciekały dzieci i dziewczęta przez ogrodowiska - ale muszka karabinu szukała pleców. Cmoktał strzał za strzałem. Szumiał wiatr. W południe niebo zapchało się chmurami. Było cicho, ciepło i smutna popielista tęcza zajarzyła się na chwilę nad czarnym lasem. Wisiał deszcz. Cicho było na starym cmentarzu, ciepło, ptaki wyleciały w pole, chrzęściła tylko pod nogami spalona trawa. Czaiły się dzieci w gęstych zaroślach, chowały za macejlami, rzucały kamieniami w zmarszczone jezioro, w psy biegnące sznurkiem. Pod murem, w czarnej wodzie stały drzewa, wiatr liście podbierał, niósł w przestrzeń zapach i dym dopalających się zrębów Foresty. W krzakach rozmawiały dziewczynki: - A ty wiesz, że każdy kwiat pachnie nie sobą, tylko miodem? - Nie, jesienne kwiaty nie pachną miodem. Na przykład dalia. - Ty ją wąchałaś? Jeszcze na jesieni? - A małe ptaszki, myślisz, nie pachną?

85

- Już mówiliśmy o ptaszkach.
- W lesie wszystko pachnie.
- A grzyby?
- Tam jest grzyb. Chodźcie, powąchamy.
- Gdybyś się podniosła na palcach, tobyś widziała zaraz za murem bardzo duże pola, słupy telegraficzne i drogę, która idzie gdzieś daleko, daleko. W pogodny dzień widać tam na wzgórzu białe miasteczko, tam się urodził mój tatuś. Przypatrzysz się pilnie zabitemu pod murem, dzieci pogłodziły pień jarzębiny i poszły pod trupiarnię, na mu-rawnik. - Ja wiem. To jest zabity jego tatuś.
- Nie. To nie jest jego tatuś. Jego tatuś był wysoki.
- Właśnie. On był wysoki, ale upadł.
- Tak?
- Nie, to nie jest mój tatuś. Tatuś ma wrócić dziś w nocy. - Złoty ptaszek w czarnym lesie... - wołała dziewczynka.
- To ja jestem złoty ptaszek...
- Baba z bródką i wybałuszonymi oczyma!
- To ja jestem babą z bródką.
- Zabić babę z bródką.
- A ja wiem - powiedziała Kalma - ja wiem, kto to jest baba z bródką. - Kto? - pytają chłopcy.
- To ta, która przyszła do chałupy i rozdała wszystkim dzieciom łupiny z cebuli, a sama jadła chleb z masłem, jakby miała końskie zęby. Ale nitka się urwała i baba spadła z pieca na łeb. - Zabić babę cegłą!
- Zabierzemy babie chleb! - krzyczały dzieci. Dzieci na niby odebrały babie chleb, narwały trawy, kroili palcami pajdy i zjadały łykając ślinę. 86
- Uciekajcie, pies chce zjeść nasz chleb.
- Stójcie, ja jestem ranny.
Pod nagrobkiem siedział człowiek z pochyloną głową, zamiast oka miał krwawą plamę. Na ustach siedziały wiankiem muchy. - Chodźmy stąd.

- To jest złodziej, dzieci.
 - Ale, ale...
 - Czego tam biegniecie?
 - Co tam widzisz?
 - Człowiek jakiś idzie.
 - Gdzie ty jego widzisz? - dzieci wyciągnęły szyję, patrzyły na bramę. - O! widać go. Troszeczkę widać.
 - Pokaż palcem.
 Tam gdzie dzieci patrzyły, nie było nikogo.
 - Idzie aleją? - spytała Kalma.
 - Nie, między grobami. Tutaj idzie - powiedział Ber-naszewski. Dzieci ucichły, ktoś strzelił za domkiem grabarza.
 - A może to jest Wąskopyski?
 Wszystkie dzieci pochyliły się, patrzyły w aleję, a Kalma powiedziała:
 - Nie, to nie jest Wąskopyski, bo on chodzi w nocy. I znowu słysząc było czyjeś kroki, szeleściła trawa, pod nogami trzaskały patyczki, zadudniło blisko i ktoś zakaszał. Na aleję wyszedł Miś Kunda, zmięty i obdarty; powiedział do Dudi Tykiesa: - Chcesz chleba? Jak chcesz, to chodź ze mną. Miś Kunda był rudy, włosy kręciły mu się na głowie jak wełna na baranie. Kunda był chłopcem mocnym i giętkim jak rzemień, idąc rzucał szeroko ramionami. A mówił głośnie, niż trzeba, i śmiał się, aż dzwoniło. Pierwszy w bitce i popisach przed dziewczynkami. 87

Lubił Dudi, bo często widział, jak ojciec Dudi i jego ojciec siadali za murem cmentarza, palili papierosy z kułaka i naradzali się. A potem, kiedy rozstrzelali ojca Misia Kundy - to Aron Tykies zrobił trumnę i pomagał w domu we wszystkim. Potem matka umarła, a na drugi dzień po jej śmierci gdzieś się też podział Aron Tykies. Przepadł, nie wrócił z Meiselsa. Może przystał do bandy Wąskopyskiego? Któż to jest wreszcie ten Wąskopyski - myśleli chłopcy - ten nieuchwytny, tajemniczy, którego ludzie przezywali Sójką, bo miał długi nos i spiczastą brodę. Kto on jest i gdzie go można spotkać? - Siadali na wiosnę pod słoneczną ścianą i długo myśleli o tym człowieku. Nigdy go nie widzieli. Często słyszeli o nim i budowali w swojej wyobraźni jego postać. Wiedzieli, że Wąskopyski posiada tysiąc sposobów zabijania Niemców, ma dużo pistoletów, dużo pieniędzy i chleba. Zнали jego żyde z opowiadań Szeruckiej i Tombaka. Gdzieś tam krążył ciągle dokoła Szabasowej i ciągle go szukali tajniacy. - Chodź, Dudi - powiedział Miś i uśmiechnął się. Trudno było mu nie ufać. Dudi Tykies wstał i leniwie poszedł za Kundą.
 - Gdzie wy idziecie? - pytały dzieci.
 - Ja tobie chleba przyniosę - powiedział Miś i wskazał na Kalmę. - A mnie, a mnie, a mnie? - pytały dzieci.
 - Nie, Kalma lubi Wąskopyskiego, tylko ona dostanie chleb. Dzieci poszły szeroką aleją, zatrzymały się między drzewami, stanęły w kole. Kalma dotykała palcem piersi każdego i wyliczała: Jest tu jeden między nami, Co się zebździł słodzinami. Sucha rzepa, Suchy chrzan, To ten pan... 88
 - Nasiek biegnie pod kasztany. Tam, tam. Odwróć się! Wszystkie dzieci śpiewały: Suknianki, parcianki, piękna to bajkaaa?
 - Anielka wybiera!
 Siedzi baba na dachu, Kręci sobie tabakuuu. Przyjechali kozaki, Da-waj, babo, ta-baki... - Józia biegnie pod kasztany. Nie patrz się! Wszystkie dzieci śpiewały: Suknianki, parcianki, piękna to bajkaaa?
 - Knopf wybiera!

Idzie diabeł po drzewinie, Niesie dzieci w pęcherzy nie. Które jemu piśnie, Weźmie za łeb, świśnie... - Tonia, biegnij pod kasztany. Nie patrzcie się! Wszystkie dzieci śpiewały: Suknianki, parcianki, piękna to bajkaaa?

- Bemaszewski, wybieraj!

A ty panie ka-pi-ta-nie, Wygrywałeś na organie, Zło-te pyty pod ko-py-ty, Wojewoda wont! Poszła baba w kąt... - Elza ucieka. Tam uciekaj! 89

Wszystkie dzieci śpiewały:

Suknianki, parcianki, piękna to bajkaaa?

- Bezkiški wybiera!

Cień, cień, para

Idzie z samowara.

Szury, mury,

Każdy do swej dziury... marsz.

- Uciekajcie! Idą żandarmi - zaszeptła Kalma i dzieci, jak spłoszone kury, pochyliwszy się, uciekały w odległy kąt samobójców. Ściemniało się już, zaczął rosić deszcz. Klara weszła na cmentarz i dała znać dzieciom, że można wracać. Schowała twarz i płakała. - Co się z tobą dzieje?

Klara czuła, że wszystkie dzieci patrzą na nią.

- Opanujcie się. Teraz bądźcie cicho do samej piwnicy. Dzieci, głodne i zmęczone, przytuliwszy się do siebie zaraz zasnęły. A Klara, Cirla i Hynda Gideł usiadły na progu, czekały nowego dnia. Przed nimi majaczyło w ciemności łóżeczko po zmarłym rano dziecku Amsteinowej. Pod szopą na dorożce chrapał Josie Propst, stękał głodny koń. Josie Propst zajechał jeszcze do siebie na podwórze, udawał spokój, coś mamrotał, stojąc na koźle, patrzył gdzieś przed siebie. Lejce trzymał w spotniałej garści. Koń, padając, połamał dyszle. Josie też zachwiał się na nogach i tylko z wielkim wysiłkiem udało mu się zdjąć postronki z orczyków. Upadł potem na tylne siedzenie i zamknął oczy, nie chciał widzieć ziemi. Zaczął sobie zdawać sprawę z tego, co już zaszło i co jeszcze czeka pozostałe dzieci. Śmierć porastała dokoła. Kiedy wrócił, wnuka już nie było. Kobiety, siedząc na progu, nasłuchiwały. U grabarza bili szyby. Raz nocą zapukał ktoś do szyby, czyjeś kroki zachrupotały pod drzwiami.

- Kto? - Narzuciłem kozuch, stanąłem w sieni przygotowany na wszystko. - Tombak jestem - odkaszał za drzwiami.

- To wy?

- Ja, wiadoma rzecz. W drodze jestem. But nogę skaleczył, przewinąć by trzeba... A to, jakby pan pozwolił, wypocząłbym trochę i rano poszedł w swoją drogę. Ach, Boże!

Wtoczył się ciężki do izby i zaraz siadł na ziemi. Rozzuł mokre, zatratowane buty. Onuce powiesił na drzwiczkach od pieca.

- Ach, droga. Chwalić Boga, jest jakaś chałupa w lesie przy drodze.

- A mnie poznaliście? - spytałem.

- Nie, po głosie nie poznałem. Mało się ludzi zna. A wy mnie znacie?

- Znam - odparłem.

- A kto wy? - pyta Tombak.

- Ja jestem ten, który kupił u Szeruckiego karabin za kilogram tytoniu i pięć kilo mąki - wytłumaczyłem. - Tak, on miał karabin. To był człowiek niespokojny od maleńkiego, to już taka natura. W Szabasowej już wszystko inaczej. Znaku nie ma po mojej chałupie, ani 91

śladu z gospodarki Szeruckiego. Grób Szabasowej powoli zarasta pokrzywami. Z rozwalonego dworca widać tylko nadłamaną wieżę kościelną i dziurawy komin fabryczny. Na Kolejowej leży błoto. - A dom Josie Propsta? - spytałem.

- Nic. Ja tam chodzę popłakać nad tym wszystkim. Wczoraj byłem na Podcmentamej. Nic. Łasica zrobiła sobie ślad do piwnicy, a na cmentarzu ciągnęła pukanina. Takie ładne dziewczęta zabili... Rzędem leżały na śniegu. Ach! Drzewa zrabali - a to pomyśleć, te drzewa pamiętają naszych ojców i dziadów. Oni tam, kiedyś, jak przyszła wiosna, szeptali do swoich dziewcząt pod tymi drzewami. - Przyznacie, że ten Szerucki to dzielny chłop. To człowiek zrośnięty z prawdą, no nie? - Trudno powiedzieć. Powiadają ludzie, że fałszywe pieniądze drukuje, naszych przez to narywa. - Ale czy to prawda?

- Gail opowiada babom na targu: "Zabiłybyście widłami tego bandziora. Metryki Żydówkom podrabia." Ciągnęło mnie, żeby się dowiedzieć jeszcze o nim, ale jak to na targu. Tu już chłopów łapią na roboty, tu hyclują zabłąkane Żydziatko, gonią za nim jak za szczurem, pod wozy, po sklepach za lady. To ja sobie znowu myślę, co mnie to obchodzi, ja sam głodny, konie straciłem, na stare lata ni przytułku, ni ciepłego kąta. Ach, Boże! Miej tu mądre i czyste czoło w tych ciemnych czasach. Trudno. Ot, wczoraj, widzę, jakiś człowiek przygląda mi się. No, cóż ty chcesz, człowieku - myślę sobie. Przygląda się, idzie w moją stronę. Ktoś nie z naszych ludzi, obcy. Trzeba przyznać, miał wesołe oczy. Podszedł i pyta: "Chce pan zarobić?"

"Cóż - powiadam - czemu nie?"

"Jest jedna kobieta w pewnym miejscu, trzeba ją przetransportować w bezpieczny punkt. Może by ktoś był, kto 92

by odegrał rolę krewnej i wziął ją na swoją odpowiedzialność." "No, cóż ja - powiadam - biedny jestem. Jak pan myśli, co ja mogę pomóc?" "Mówił mi ktoś poważny w Szabasowej, że pan mógłby to załatwić. Ma pan stosunki z pewnymi ludźmi... Jest trochę pieniędzy na ten cel." "Tak, tak, tak, to się nie da na kolanie zrobić." - A tu sobie myślę, co to za człowiek. Wyglądał na trzydzieści lat, wesołe i uczciwe oko. "To byłoby nieszlachetne okazywać mi w takiej sytuacji swoją niechęć. Czuję, że pan mi to załatwi" - powiada on. "No dobrze, ale od czego zaczniemy, panie kochany, od czego?"

Wskazał mi oczyma młodą kobietę, która stała obok i patrzyła na mnie bardzo uważnie. Jak to się stało - pomyślałem - do jakiego sprytu ludzie już doszli? Pchnął mi ten obcy człowiek pieniądze w garść i poszedł na dworzec. Przeliczyłem: było piętnaście tysięcy. Dziewczyna stoi przy mnie. "Idziemy" - powiadam do niej. A ona:

"Cieszę się, że będę żyła." "Ach, Boże! Daleka droga, da pani radę?" "Tak. Siedziałam na miejscu sześć miesięcy." "Skąd ten pan nabrał do mnie zaufania? Któż to mnie tak dobrze przedstawił?" Ona popatrzyła na mnie, jakby chciała sprawdzić, czy kpin nie robię, i powiada: "Nie wiem, proszę pana, to jest ich sprawa." O piątej byliśmy na miejscu. Dziewczyna była zadowolona, szczęśliwa, że jest daleko od Szabasowej. Młoda, wierzyła, że szczęście nie przecieka między palcami. - Gdzie umieściliście tę dziewczynę? - spytałem.

- Trudno coś powiedzieć. Ktoś jeden tylko wie.

- Klara Wasicińska?

93

- Wy ją znacie?

- Od dawna już, dziesięć lat. Zjedlibyście co? Mam kartoflanke. - Nie. Mój żołądek jest trochę nie w porządku. Jak trudno uwolnić się od szpiclowskich oczu. - Co macie na myśli?

- Spotkałem Ciszkę na drodze. Udał, że mnie nie widzi, ale od razu zrozumiałem wszystko. Śmierć idzie za nami. Ciszka jeszcze raz przeszedł koło nas, znowu wrócił. Ty świeć oczyma - myślę sobie - kto co lubi, każdy coś lubi. Kiedyś wiosną prowadziłem takiego młodego

człowieka z Pragi. To coś dla niego było ważne? Ot, patrzył na zielone pola, na ruczaj, zadzierał głowę do nieba. On by tak bez końca chodził po zielonym świecie, patrzył i słuchał. Opowiadał mi o swoim kraju. Zatrzymał się na ścieżce, pokazał palcem: mała myszka biegła, zadyszana, drobnym oczkiem na nas rzuca. Każdy widzi co innego. Ciszka też swoje widzi. Umieściłem dziewczynę i wracam. Stoi on, już bez wstydu zagląda mi w oczy i powiada trzy słowa; jakby mi ktoś splunął i dmuchnął w ucho. - Cóż to za słowa?

- Trzy słowa: "Ręce do góry!" I pchnął ręce w moje kieszenie. Zabrał pieniądze. Zjawił się drugi tajniak. Wzięli mnie pod pachę i zaprowadzili do majstra żandarmerii. "Tombak Aleksander? - zaczyna żandarm. - Podejdź bliżej do stołu. Trzeba odpowiadać na moje pytania. Zatrzymali ciebie przy pewnej robocie, jak to było?" "Co?"

"Kobieta, którą prowadziłeś do Hucisk, to Żydówka?"

"Trudno coś powiedzieć, chyba nie Żydówka" - odpowiadam.

"Znamy się na tym. No dobrze. A dlaczego to zrobiłeś? Wyprowadziłeś ją z Szabasowej? Żydzi tyfus roznoszą, będziesz ukarany za sabotaż." "Co?"

94

"Ty to twoje cokanie zostaw. Znamy się na tym. Dlaczego wyprowadziłeś Żydówkę na wieś z tyfusem?" "Z tyfusem?"

"Nie udawaj idioty - mówi żandarm - cmokniemy w mordę, wszystko wyśpiewasz." Zbili mnie, najgorszy był Ciszka. Nauczył się już różnych sztuczek - umie bić. Zamknęli mnie i musiałem przez miesiąc rąbać drzewo dla całego posterunku, nosić wodę na kąpiel, brudy z wychodka i śnieg podmiatać. Tyle miałem. I zrobił się z tego taki ruch, że mnie już każdy tajniak z daleka poznawał. Dopóki zmrok nie zapadnie, ruszyć za niczym nie mogę. - A ten mały Bemstein, coście go odbili spod dworca? - spytałem. - Wszystko przyszło. Bemsteina Szerucki zawiózł do Hucisk. Ja wróciłem do domu. Noc przeszła spokojnie. Rano wylażłem na miasto posłuchać, co o tym ludzie mówić będą. Nikt nic nie wiedział, nikt się tym nie interesował. Ludzie mieli furę własnych kłopotów. Klarze Wasicińskiej opowiedziałem wszystko dokładnie, a ona mówi: "Ten, co to trzymał małego Bemsteina, już nie żyje, a żandarmi nie interesowali się więcej tym wypadkiem." - Co się dzieje w Szabasowej? Dawno tam byliście?

- Wczoraj byłem. Wywożą resztki Żydów na piaski i strzelają. Zapakowawszy pełny samochód ciężarowy, policjanci z żandarmami siadają na głowach tym ludziom i jadą na piaski. A Żydzi drą dolary na drobne kawałeczki i sieją po ulicy. Czy warto coś takie kawałeczki dolarów? Może by tak złożyć do kupy i skleić? - Nie wiem. Ale co się stało z małym Bernsteinem? Ocalał z pogromu Hucisk? - spytałem. - Nie, nie ocalał. Spalił się wraz z dziećmi Mańki Skwarczyńskiej, zabili tam Małecką, Żelazną, Suchcickiego z dziećmi, Katza, Omsteinową i jeszcze kogoś nie do rozpoznania. 95

- Chaim u Bańczyckiego?

- Musiał uciekać z plebanii - odrzekł Tombak - bo przyszedł tam większy patrol, obstawił podwórze. Klara opowiadała mi, że napadli ich po północy. Już w progu ten z granatami za pasem krzyczał: "Ty szmato księżowska, mów prawdę! Uzbrojenie na plebanii jest? Żydy są? Nie ma - no to poszukamy! A ten - pokazał tego w drzwiach - jak zbije ci mordę, to mamie swojej nie mów i spać się z nim nie próbuj kłaść, bo syfa ci zawali. A my tu poszukamy za uzbrojeniem, może gdzie jest i złoto żydowskie, księżulo wasz pewnie dużo kozuchów żydowskich naskładał w kuferku. On tam siedzi, chłopcy go trzymają. Czego ty nie powiesz, to on wypluje, rycerz Panny Niebieskiej!" Chodził po jadalni, wysuwał szuflady, przetrząsał szmatki. Ogromnymi krokami wlaźł trzeci, stanął przed obrazem, przeżegnał się i potem plunął w szkło, policzki miał grube i błyszczące, jakby je pogryzły pszczoły. Podeszedł do Klary i powiada: "Boże, wybac mi grzesznemu. Boże, uchron twoją między nogami! - Udawał, że płacze. - Post, post, a ja zachcianki mam na ciepłe nóżki." - Ten w drzwiach śmiał

się. "Tak ty nie dasz? - mówił do Klary ten napuchły. Klara westchnęła. - Nu, bładolica moja, mów: tak albo nie tak?" "Nie!" - krzyknęła Klara.

"Tak ja sam wezmę. Nie dasz?"

"Nie!" - krzyknęła jeszcze raz Klara.

"To stawaj pod ścianę, mać twoją w zad!"

Ale za chlewem ktoś strzelił, potem zielona rakietka rozświetliła podwórze, hilfspolicaje znosili na sanie zrabowane rzeczy. Furman stał przy końskich pyskach. Dwa strzały odpowiedziały za ogrodem. "No, w drogę" - mówił ten napuchły, ciągnąc baranicę księdza.

96

"Gdzie drzwi? gdzie drzwi?" - mówił drugi i chodził od ściany do ściany, nie trafiając do wyjścia. "A co będzie, jak to oni?" - niecierpliwił się napuchły.

"Odbezpiecz granat i trzymaj."

I zaczęło się. Wszystkie szyby od podwórza wyleciały od razu. Kulki cukaty po ścianach, Klara, na kolanach, w ciemności znalazła wieko od piwnicy i upadła na spód. W piwnicy była przekopana nora pod stajnię, ta nora uratowała Chaima kilka razy od śmierci. Klara znalazła go, leżał w głębi. "To ty, Klaruńciu?" - spytał.

"Ja" - odpowiedziała.

"Co się tam dzieje?"

"Niech pan będzie cicho, nie wiadomo, co z tego wyniknie." A Kweller spał w stajni, zbudziły go strzały; w narzuconej bundzie wybiegł na próg i poczołgał się wzdłuż zwałonego chrustu do tej jamy pod psią budą. Opowiadał mi, że słyszał dokładnie, co się działo na podwórzu plebanii. Policaje uciekli w ogrody, pozostawiając konie, sanie i zrabowane rzeczy. W chwilę później wlecieli z dwóch stron jacyś ludzie. Poznał głos Wąskopyskiego, który mówił głośno do kogoś: "Idź ty z tymi końmi na Helenkę, syp na przełaj." - A ten ktoś mówi: "Daj jeszcze ze dwa papierosy na drogę."

"Ja nie mam - mówi Wąskopyski - jak zaprowadzisz konie, to Orłowska nie poskąpi ci tytoniu." Ten z końmi odjechał, Kweller wylazł z jamy i poznał w grupie Chuny Szaję. Porozmawiali chwilę, ale znowu zaczęła się strzelanina, Kweller upadł, począł się czołgać na brzuchu do swojej kryjówki. W ogrodzie Chuny Szaja i Szerucki złapali policaję, podprowadzili do krzaków koło bramy i wypalił strzał. "No i co?" - odezwał się Wąskopyski z ciemności.

7 - Czarny potok

97

"Dobra jest" - odpowiedział Szerucki i odkaszał.

Kiedy Kweller wylazł, widział jeszcze, jak ten, którego cuknęli w krzakach, podniósł się i począł uciekać. Padał i biegł, ale Szerucki położył mu światło latarki na skulonych plecach i stuknął nowy strzał. "Co wy się bawicie?" - wołał Wąskopyski z progu plebanii. Zadudniło kilka kroków w sieni i słyszać było:

"Chaim, wszystko w porządku."

Szerucki mówił do kogoś:

"Idź, obmacaj jego, może on ma jakieś papierosy w kieszeni, zabierz dokumenty. Jakby miał scyzoryk, to też zabierz." - Gdzie był ksiądz Bańczycki tej nocy?

- On pojechał pierwszy raz tymi młodymi łoszętami do Szabasowej. Spodziewał się, że tam kupi trochę leków. Załatwił, co trzeba. Wyjechał z Szabasowej dość późno. W Lipkach jakby spod ziemi wyskoczyło do niego trzech ludzi. Dwóch trzymało łoszęta, a jeden przyłożył księdzu lufę do czoła. "Złaż z sani!" - krzyknął.

Bańczycki milcząc podniósł się. Ciągłe jeszcze nie wiedział, co to za ludzie. Pchnął ręce w kieszenie i zapytał: "O co chodzi?"

"Ręce z kieszeni, ty nie pytaj! Ręce na tył i biegiem marsz do Szabasowej! A nie oglądaj się!" - Ci sami rabusie pojechali na sankach księdza do Hucisk i obrabowali plebanie - mówił Tombak. - Spodziewali się, że nakryją tam Chaima, bo ktoś już doniósł Gailowi, że on się ukrywa na plebanii. Na drugi dzień rano przyszedł Bańczycki do siebie na podwórze. Głucha cisza, na śniegu stratowanym licznymi śladami leżała kołdra, pod progiem para berlaczy, poszewka, bliżej studni baranica i tłumok bielizny. Podłoga w sieni 98 zasypana tynkiem, w kuchni poprzewracane stołki, wysypana mąka. Wieko do piwnicy było nie domknięte. Podniósł je i zawołał: "Klara!" Nic. Przeszedł wszystkie izby, żywego ducha nigdzie nie było. - Powiedziałeś, że Klara z Chaimem siedzieli w norze pod stajnią? - Siedzieli - odrzekł Tombak - ale znalazł ich tam Wąskopyski i pyta: "Ty tu, Chaim?" "No i co? Tu jestem."

"Możesz wyłazić, już wszystko załatwione. Trzeba, żebyś zabrał narzędzia, Chaim." "Po co narzędzia?"

"Pójdiesz z nami. Przyszedł jeden człowiek z Szabasowej, jest ciężko ranny. A przy tej okazji dowiesz się od niego kupę rzeczy. On się Knopf nazywa. Powiada, że na starym cmentarzu w grobowcu Bałabana siedzi ukryta rodzina Libermanów." "Gdzie jest ten Knopf?" - spytał Chaim.

"Na Helence u Orłowskiej. Musimy dobrnąć tam przed świtem, żeby nas nikt nie widział." Klara Wasicińska poszła z nimi, bała się zostać sama na plebanii. - A kury? prosięta? Kto to miał doglądać?

- Został stary, wiemy Kweller - wyjaśnił mi Tombak i mówił dalej: - Chuny Szaja, Wąskopyski, Szerucki, Klara, Chaim i jeszcze jacyś trzej uzbrojeni ludzie poszli polami na Helenkę. Byli już na Pasiekach. I raptem zobaczyli przed sobą szeroki pożar. Pomrugiwała i kołysała się czerwona mna pod niskim niebem. Paliło się obejście Orłowskiej. Widać było z daleka jak na dłoni, że to Orłowskiej. Trochę z boku, w ciemnym dołku, ktoś strzelał. Ktoś inny odszczekiwał się strzałami i wybuchł granat. Stamtąd też wyleciała para spłoszonych koni, orczyki dzwoniły po zmarzniętej grudzie. 7.

99

"Widzisz? - powiedział Szerucki. - Toż to łoszęta księdza Bańczyckiego!" "Uwaga, chłopcy" - wyszeptał Chuny. On pierwszy zauważył grupę zbliżających się ludzi, którzy wyszli z bruzdy polnej drogi. "Stać!" - krzyknął Wąskopyski i ta grupa zatrzymała się. "Kto?" - ale nikt nie odpowiedział. Słychać było szept, jakby się porozumiewali, kilku upadło na ziemię. "Latadywan?" - zapytał męski głos.

"Gadaj od razu. Czaczkiess?"

"Ja."

"Co się tam stało?" - Wąskopyski z Szeruckim poszli w kierunku Czaczkiessa. "Orłowską podpalili."

"Knopf tam został?"

"Leżał w stodole. Pewnie się spalił."

"Można podejść do pożaru?"

"Nam się to nie udało. Biją z dwóch maszynek."

"Kto z tobą jest?"

"Siedmioro nas. Jest Swistun, Ozieg, Kin, Bacewicz. Jest z nami też Kalma i Elza." Jeszcze tej samej nocy przebili się przez las i znalazłszy wygodną piwnicę na pogorzelisku Hucisk przesiedzieli tam do rana. Chuny Szaja z Szeruckim wrócili na plebanie. Postanowili w drodze, że prosięta trzeba zabić na żarcie. Ale zdziwili się spostrzegłszy księdza przy robocie. Ciągnął wodę, a Kweller przycinał w szopie deski na oszalowanie okien. W kuchni gotowały się dwa duże baniaki kartofli dla świń, w mniejszej rynce jaglana kasza. Ksiądz, w bundzie i głęboko nasuniętej na uszy czapce, odwrócił się do Chuny Szaji, był jakby trochę

podchmielony, zaśmiał się i powiedział: "Co wy, chłopcy, pozwoliliście mój majątek rozszarpać? Przychodzi mi ochota zaśpiewać wam: graj, muzyko, graj 100 mi lepiej, bo cię za łeb wytelepię! Co się stało z Chaimem! A Klara gdzie jest?" "Są z naszymi w Huciskach. Długo ksiądz nie wracał z Szabasowej, można było myśleć, że coś złego spotkało w drodze." "Łoszęta mi zabrali, ledwo wróciłem, kopna droga." Opowiedział im Bańczycki wszystko ze szczegółami, stali tak w kuchni nad baniakiem, wyciągali ugotowane kartofle i jedli z ogromnym apetytem. Szerucki, chuchając w parujący kartofel, mówił: "Knopf spalił się u Orłowskiej." "Gdzie się spalił? Dlaczego się spalił? Mówiła mi wczoraj kucharka z apteki Arnolda, że on ranny niegroźnie, wyszedł wieczorem z Szabasowej." "Trafił na noc do Orłowskiej i tam spotkała go śmierć. Byliśmy w drodze do niego, Chaim miał zobaczyć jego ranę." "On dużo wiedział, ten Knopf. Ja wam powiem, on miał radio przy sobie. Bardzo by się przydało radio. Niemcy oberwali pod Stalingradem i już teraz, ja wam powiem, wszystko inaczej się przedstawia. Powiedźcie Chaimowi o tym, on się bardzo ucieszy. Gdybyście wieczorem widzieli, że droga będzie bezpieczna, to przyjdźcie, bo mi na samo-tniaka będzie bardzo głupio." Ksiądz Bańczycki popił wodą kartofle, a skręciwszy papierosa tak jeszcze powiedział do Chuny: "Tu jest trochę rzeczy po nieboszczyku Buchsbaumie, twoim teściu. Ty go nie lubiłeś, ja nie wiem dlaczego, to nie moja sprawa, ale jest trochę rzeczy po nim. Prosił mnie, żeby po jego śmierci, gdybyś ty ocalał i dochował się syna, to żebyś to po starym Buchsbaumie przekazał jego nowemu wnukowi na Bożym świecie." Jeszcze Chuny Szaja chciał coś Bańczyckiemu odpowiedzieć, ale gdzieś, jakby koło Hucisk, zaklekotał karabin. Ciągnął długo, jakby odpychał tyralierkę. Szerucki zdążył 101

wypchać kieszenie kurtki ciepłymi kartoflami, wybiegł do sadu, patrzył chwilę i zaraz wrócił z krzykiem. "Konni tu leć! Kweller, chodu do dziury!"

Ksiądz skoczył do piwnicy,

"Ile ich?" - spytał Chuny.

Schowali się za cembrowinę studni. Trzej konni już byli na podwórzu. Jeden żandarm, dwóch policjantów. Stary Kweller, jak na swoje nieszczęście, wyszedł z szopy, kucnął, żeby między chrustem dostać się do dziury. Podjechał żandarm i tak z rozmachu wygarnął do blacharza trzy razy. Dostał pewnie w plecy, bo zapacał nogami, pacał coraz wolniej, zdawało się pewnie biednemu Kwellerowi, że gdzieś tam dobiegł w bezpieczny kąt. Chuny Szaja podniósł się trochę zza cembrowiny i strzelił w tego najbliższego, spod którego koń, nie obyty widocznie z hałasami, wyskoczył dębem do wrót, a policjant spadł na śnieg i jeszcze próbował chwilę robić łokciami. - Powiadasz, że koło Hucisk zaklekotał karabin? Co się tam działo? - spytałem. - Tam było strasznie - odparł Tombak. - Opowie ci to wszystko Szerucki. Ocalał on, Chaim, Wąskopyski i Kal-ma, reszta zginęła. - Otóż zgadza się, Buchsbaum zostawił jakieś rzeczy u księdza Bańczyckiego - powiedziałem. - Tak - rzekł Tombak - ale nikt nie wie, co i ile. Chuny Szaja nie mówił już więcej z Bańczyckim na ten temat. Coraz ciaśniej robiło się w polu i lesie. Pacyfikacyjne oddziały niemieckie i ukraińskich hilfspolicajów tropiły ludzi w rewirze Trójnoga. Spaliły Małeckich, Podlaski i Hallerczyn za żydokomunę. Łuna za mną chwiała się na niebie. Zapadła na tyfus Kalma, a z Chaima obleciały buty. Berlacze Bańczyckiego były za małe dla niego. Chaim musiał siedzieć cały tydzień beczynn timerze za Przepastną, aż mu któregoś dnia Wąskopyski przyniósł parę dobrych butów zabitego żandarma. Na zimę Wąskopyski umieścił Misia Kundę i Dudi w Podlaskach, u Mazurka. Chłopcy nie mieli butów. Miś owijał nogi szmatami, wychodził na mroźne podwórze pomagać Mazurkowi w gospodarstwie. Rąbał drzewo, sieczkę rznął. Jednej zimowej nocy, przed samym Bożym Narodzeniem, szupowcy podpalili Podlaski. Stanęła też w ogniu chałupa Mazurka. To było po północy. Cała wieś objęta była czerwonym, trzęsącym się światłem. Po śniegu biegały czarne cienie, dusił gorzki zapach. Było strasznie. Zewsząd

trzaskał ogień. Ludzie uciekali zadyszani, nie mówili słowa do siebie, biegli nie wiadomo dokąd, bo na skrajach i ścieżkach karabiny maszynowe podcinały nogi biegnącym. Stare kobiety, nie rozumiejąc wielu spraw, powynosiły święte obrazy i żegnały nimi ogień. Gdzieś ktoś próbował wypuścić z chlewa bydło, konie, prosięta lub odwiązać psa. Nad chałupą Mazurka latały w czerwonym dymie gołębie. Tuląc się do nóg piszczał i wiercił się pies. Mazurek, Miś Kunda i Dudi wybiegli w pole, siedli za kupą gnoju. Obok leżała zabita kobieta, przebiegał jakiś niziutki staruszek z dzieckiem na ręku, a spod figury na rozdrożu karabin maszynowy siekł po ludziach i słysząc było drobniutko i podniesionym głosem: - "Halt! halt! halt!" Chłopcy już niejedno mieli za sobą, dużo widzieli i przeżyli. Biegły obok nich zadyszane kobiety, za nimi owce. Słysząc było, jak się zapadały sufity z głuchym buchnięciem, skwierczały 103

krokwie i zdawało się, że cały świat dookoła pokrył się iskrami, zadymił różową mgłą. Mazurek nie wytrzymał, zerwał się skulony i pobiegł za owcami, ale zaraz upadł i już się nie podniósł. Miś Kunda i Dudi zaryli się głęboko w kupę gnoju i tak przesiedzieli do świtu. Odeszli szupowcy, śmiejąc się i pogwizdując. Zeszło się trochę ocalałych ludzi, popatrzyli na pogorzelisko, pozbierali zabitych. Mazurkowa jak zakłęta stała nad mężem, potrząsała głową i mięła w rękach fartuszek. Po południu przyszedł Wąskopyski, zebrał te dzieci sieroty do kupy, poubierał w nie dopalone łachy i poprowadził na plebanie. Bo ona, jak wyspa, stała nie tknięta jeszcze pożarami. Chuny Szaja z Szeruckim zabili prosięta, Wasicińska rozebrała je. Ugotowali w dużym baniaku od bielizny jadło dla dzieci i położyli spać w zaścielonej słomą jadalni. Czujka z dwóch ludzi stała dniem i nocą w krzakach przy drodze do Szabasowej. Przez dwa dni i prawie dwie noce było spokojnie, ale przybiegł o świcie Szerucki, zbudził Wąskopyskiego: - Wstawaj!

- Co się stało?

- Ktoś podchodzi większą siłą.

- Znaczy się nic nowego. Trzeba dzieci wyprowadzić do Trójnoga. Budź dzieci. I

Bańczykiem powiedz, jak sprawa stoi. Klara wyprowadziła dzieci. Został tylko Miś Kunda z Wąskopyskim. Klara opowiadała, że kiedy przechodziła koło gajówki, ciągle się jej zdawało, że słyszy, jak Tykies hebluje, stuka młotkiem - ale z gajówki pozostał tylko kamienny zrąb. We wnętrzu leżał pagórkiem nawiany śnieg, tylko w mokrych ścianach tkwiły spalone gwoździe, wisiała stalowa, nadwątłona już rdzą kątownica. Na wieczór zaszli do skały pod Trójnogiem. - Posiedzimy tu trochę - mówiła Klara połykając łzy. Sama była w rozpacz, wyczerpana do reszty, zaczęła nie-104

nawidzieć świata i ludzi, zdawało się jej, że nikt nie chciał czy nie umiał zaradzić temu, co się działo dookoła. Cały dzień do późnej nocy padał gęsty śnieg. Wieczorem, tak jak się umówili, miał przyjść Szerucki do Trójnoga z wiadomością, czy mogą wrócić na nocleg. Dziewięcioro dzieci siedziało w szczelinie skały, a koło nich Klara. Czekali. Przeszła noc, pierwsza noc bez łuny i strzałów. Nad ranem Klara zasnęła drętwą. Drzemały dzieci, nakryte kołdrą Bańczykiego, tylko Dudi nie zmrużył oka. Każdy szmer w lesie podrywał go na nogi, słuchał i patrzył swymi czarnymi oczyma. Aron Tykies nie odnalazł już swego Dudi. Jeszcze latem ktoś mu doniósł, że syn jego nocuje u Arbuzowskiej. Zaraz wybrał się tam, ale musiał wrócić. Droga była obstawiona, bo tego samego dnia dużo dzieci uciekło z getta w Szabasowej. Tak się jakoś szczęśliwie złożyło, że przechodziła straszna burza z piorunami. Wartownicy spod parkanu przy Podcmentamej skryli się przed piorunami w opuszczonej chacie grabarza. Wykorzystali ten moment młodzi i uciekli. Troje padło. Jak zginął Tykies, nikt nie wie. Przepadł bez śladu. Weiss, ten, który uciekł z kamieniołomów sasowskich, opowiadał, że widział kogoś zabitego w rowie przy szosie do Hucisk. Szerucki widział tego trupa, obstaje przy tym, że to nie Tykies, że to na pewno Brodzki. Poznał go po bliźnie. Początkowo ocalała Klara i troje dzieci. Troje tych, które były najmocniejsze i szybciej uciekły po głębokim

śniegu w debnę za Podlaski. Byli to: Kalma, Dudi i Janicka. Kilka dni później Wąskopyski spotkał Kalmę w lesie. Była już sama na świecie. Zawszona i wyczerpana do ostatka. Wynika z jej opowiadania, że Klara miała najstraszniejszą śmierć. Znaleźli ciało Klary. Kalma zaprowadziła na miejsce. Wąskopyski z Szeruckim pogrzebali ją w polu, na miedzy. 105

Chuny Szaji nie było z nimi, położył się obłożnie na tyfus. Ciężko chorował. Wąskopyski już nie wierzył, że Chuny wyzdrowieje. A choroba zaczęła się tak: po długim nocnym marszu wleźli do chałupy za Podlaskami. Był ranek. Chuny stanął pod piecem i tak, milcząc, przestał godzinę. Trzęsła nim gorączka, musiał się trzymać pieca. Nie tknął jedzenia. Opowiadał potem, że czepiała się go duma i uparta myśl, liczył dni. Myślał, że będzie pierwszy dzień, potem drugi, a na trzeci on umrze. Upadnie gdzieś w polu, przyjdzie Wąskopyski, Szerucki, Chaim, zmierzą karabinem, jak długi trzeba będzie zrobić grób... Stał godzinę pod piecem, oddech przyspieszył się jak po biegu, osłabły nogi. Wypił dużo wody. - Co ci jest, Chuny? - spytał Szerucki.

- Ja się położę tu na ziemi, nie gniewajcie się. Ale siły nie mam iść dalej. - No, cóż - powiedział Szerucki - to ty pewnie chory.

- Właśnie, coś się ze mną stało, nie wiem, co to jest.

- Zawołam Chaima, on cię pomoca.

I poszli. Ale Chaima nie znaleźli w umówionym miejscu, było tylko dużo śladów na śniegu, nic więcej. Jeden ślad butów z gwoździami w podeszwie prowadził do rzeki, na drugi brzeg i na pogorzelisko Hucisk. Przeszukali tam wszystkie piwniczki i lochy na kartofle, ale z Chaima ani śladu. To był ich najstraszniejszy dzień. A tymczasem Chuny całkiem osłabł.

Jeszcze się rozzuł, w bucie było pełno wody, onucki czarne. Splótł ręce na brzuchu, przymknął oczy, bo go kłuło, a po godzinie otworzył znowu oczy i zawołał: - Dajcie mi wstać! W izbie nie było nikogo. Gospodyni z dziećmi wyszła na noc do lasu. Już ludzie obawiali się pozostawać na noc u siebie w domu, woleli być w lesie, nauczeni pogromami Hucisk i Podlasków. Chuny leżał sam w ciemności. Opowiadał, że całą noc czuł przy sobie zapach koni, przypominała mu się stajnia w Szabasowej, jak razem bili 106

z Szeruckim Bulca, jak go potem dźwigali do dom latryny. A potem ktoś podprowadził mu troje gniadych. Długo przypatrywał się grzbietom i wreszcie wsiadł na swoją klacz arabkę, zdjął pęto, uzdę i nawinał dookoła klamry, a potem dookoła swojej ręki. I myślał, że w razie czego rąbać można uzdą po bokach końskich i uciec raz wreszcie daleko, i wydostać się za pogorzelisko, byle łąka była sucha. Wąskopyski przyszedł w nocy. Napoił go i okrył dwoma brudnymi prześcieradłami, bo nic lepszego nie było w tej biednej chałupie. Mała wioska zagubiona między równinami i górami. Wiosną na zielonkawych drzewach odpoczywają ptaki. Żerujący na kuropatwy i zające orzeł buja nad okolicą. Lasy, stawy, malutkie krzaki. Widać twarze wszystkich dzieci siedzących przy ognisku - lecz nikt nie odnajdzie drogiego, zaginionego dziecka. - Idź ty z tym człowiekiem - powiedział Wąskopyski, szturchnąwszy starego Rafała w pierś. - Sypcie na przełaj na Gontową. Zatrzymajcie się u Skwarczyńskiego na Helence. - Daj jeszcze ze dwa cygara na drogę - poprosił Znajda.

Wtedy podszedł do niego ten obcy i wetknął mu w garść pudełko papierosów. Potem zaczęła się strzelanina. Rafał począł się kręcić i czołgać na brzuchu, potem zabrali tego obcego, podprowadzili do krzaków i wypalił strzał. Rafał podszedł, zapalił zapalnik i zobaczył, że ma płamę na czole. Obcy poderwał się jeszcze i począł uciekać. Padał i biegł. Latarka pobłykiwała przed nim, jakby tam ktoś czekał, aż ten podbiegnie i nadzieje się na świński majcher. Podbiegli w stronę lasu. Jakaś kobieta zakryła twarz rękami, potykała się na brzdach. Ktoś jeszcze raz strzelił 107

z krzaków. Biegli po bagnistym, rozmokłym zaoraniu. Pod powiekami goniły iskry, dusiło się serce. Zwolnili w krzakach. Zaplątując się i gubiąc, kobieta upadła. - Ty biegnij - wyszeptała do syna.

Nieprzytomna, ze zwidzeniami Kurdiuka, legła w zimnej czeluści krzaków. Gdzieś dalej na przedzie ktoś krzyknął: - Stój, stój, stój!! - I buchnął strzał - w lesie od-klaskało. Życie trwało nieprzerwanie; wyrwawszy się z luki niepamięci - kobieta podparła się i wstała. Całą noc na plecach pękaty tobół. Pod nogami chrzęściła stara i bujna trawa. Zaczął padać śnieg. Pole było gliniaste, przy lesie wisiała cienka mgła, w brzdach i pod miedzami układał się śnieg. Wiatr uderzał w czoło, zimny i kłujący. Kiedy szeszła noc, za rozległymi polami na północy wylazło pokurzysto Boldurki - nasyp grobowy wsi. Chuny Szaja chciał przeskoczyć szosę, ale grupa chłopów w kożuchach ukazała się pod latarnią od strony toru. Przysiadł za krzakiem. Grupa zniknęła w ciemności. Przełaził płot pastwiska, wyciągnął krok za kręgiem światła latarni szlabanu. Rosił drobny deszcz ze śniegiem, nogi grzęzły w chlupkiej glinie, buty ciążyły jak kłody. W północnej części Starej Szabasowej psy kogoś zwąchały, rozlegało się zajadłe szczekanie. Za mostkiem Chuny natknął się na kogoś, ten ktoś odskoczył i widać było na tle nieba, jak uniosła się na moment lufa i stuknął bezpiecznik. - Dobry wieczór - wyszeptał Chuny.

- Kto? - Zadzwoniła cisza. Ten obcy odstąpił tyłem.

- To ja. - Chuny wypłatał pistolet z kieszeni. Kto pierwszy, ten pan. - Co za ja?

- Jak tobie się głos zmienił, niech cię krew zaleje. - Chuny podszedł, objęli się i pocałowali. - Jezu - szeptał Wąskopyski - byłbym ciebie zabił. Czego się nie odezwałeś od razu. Co? - Miałeś stać na rogatce.

108

- Na rogatce ktoś czatuje. Trudno rozeznąć. Ruszyli miedzą na południe, doszli do lasu i, zostawivszy roгатkę na prawo, usiedli w zrębie na pniaku. - Ty masz jakie centy? - zapytał Wąskopyski, oskro-bując but z naboјów ziemi. - Cirla zostawiła u Sitwy pięć dolarów. Ona miała sprzedać. Trzeba zabrać po drodze, jak sprzedawała. Ciekawe, czy kochanek tej szmaty będzie u niej w chałupie. Co myślisz? - No, ja myślę, że tak. W taki ciemny i mokry czas to ciągnie do kobiety. Jak buty namokły! Potrzymaj karabin. Ja te, cholera, spodnie muszę poprawić. Dwa pociągi przeleciały na Semperkę, tarachkając ciężarem na stykach. Koło rogatki ktoś strzelił, raz i drugi. Zaszarpało się coś w krzakach. Kilka postaci bieгло błyskając latarkami pod nogami. W błyskach widać było, że biegnie chuda dziewczyna, a za nią jacyś z karabinami. Kolbą można było dostać tę dziewczynę. Ten biegnący najbliżej krzyczał: - Stój! A to strzelać będziemy. Przebiegli i coraz cieńsze placuszki światła mrugały na ciemnej ziemi. - Rózia - powiedział Szaja.

Pobiegli za tą zgrają, narywając się co krok na pniaki. Ostry krzyk dziewczyny poplątał się ze strzałami. Wąskopyski oddychał ciężko, przyklęknął i strzelił. Światło skoczyło w bok i ktoś tam z tej grupy upadł. Szaja wypłatał się z kręgu światła. - Halt! halt! halt! - krzyczał ktoś basem. Chuny strzelił ze swego walterka trzy razy. Smuga reflektora znalazła go, podrgała i zgasła. Po chwili znowu zabłyśły światelka na roli, ale już dalej, uciekali na tor kolejowy. Wąskopyski pobiegł brzegiem lasu, obok coś zaszeleściło. 109

- Rózia! - zawołał. Posłyszał za sobą kroki, przysiadłszy w krzakach znowu wyszeptał: -

Rózia! - Ale zbliżył się Chuny, ciągle pochylony, przeszukiwał dokładnie grunt. A potem legł przy Wąskopyskim, oddychając ciężko. Widać było, jak daleko, za torem, wysypały się iskierki ku północy, a z lasu bukoweckiego zielona tasiemka pocisków szła z maszynki na szlaban Boldurki. Wskoczyły na plan czarne kupy gnoju pod światłem rakiety. I już do rana w lesie było cicho. Czarne chmury nie zeszły z nieba. Nad torem leciał "Gigant". Rózię znaleźli na drugi dzień w przysiece, miała przestrzał lewej ręki. Z tego zabitego banderowca ściągnęli płaszcz i buty. Po miesiącu Rózia wyzdrowiała. Na nowo świeżą pełnią nalewało się

jej ciało. Pomagała Arbuzowskiemu w gospodarce. Łuskała fasolę, mełła na zamach, narobiła kilkanaście kop przewróseł, czyściła wełnę lub plotła słomę w warkocz, na koszyczki. Czasem przychodził Szerucki, siadali na ławie pod oknem. Arbuzowski plótł bajki, próbował strugać gonty, ale każdy skowyt podrywał go ze stołka, wychodził na próg i węszył. Tej nocy Szerucka też nie spała. Opierając się łokciem o zimną poduszkę słuchała, co ten postrzelony opowiada synowi. Kuba przywiózł go wieczorem i ta rana jego na lewym boku rozczuchła się w cieplej chacie do niemożliwości. Kuba Szerucki siedział na sienniku. Ćmił papierosa za papierosem, aż go mdliło. - Brat mój niecierpliwie szukał biletu - ciągnął opowiadanie obcy - pchnął ręce do kieszeni spodni i na chwilę znieruchomiał. Jednak gdzieś powinien być ten bilet. Przeszukał kamizelkę... namacał go wreszcie pod paskiem w małej kieszonce. Pokazał żandarmowi i to zmieniło obraz. Ale nie na lepsze... jak by można sądzić. "Czego rzucałeś w ostatniej chwili broń?"

"Ja nie rzucałem broni - powiada brat - bo jej nie miałem przy sobie. Jestem taki wolny człowiek." - Skupił się i poza potokiem słów zeznania na temat, co robił, gdzie był, walcząc ze wzruszeniem dyktował sobie, że trzeba nie dać się zjeść. Zaczynał na nowo i dokładnie to samo: "Wyjechałem z Bełżca. Matka moja żyje w Sem-perce." "Ty bydlę! - przerwał mu żandarm. - Jeśli ty nie przestaniesz kłamać, to mordę skuję na błoto. - Zarzuciwszy ręce na tył, podszedł do mego brata, wytoczył wargami ślinę i plunął w twarz. Powiedział: - Pokaż no fujarecz-111

T

kę, kochanku." - Wydobył broń, podszedł jeszcze bliżej i dźgnął mego brata lufą w nos.

"Dajcie spokój" - poprosił brat.

"Matkę swoją kochasz?"

"Tak jest."

"Fujarka na stół!"

Z rozmachu uderzył w ucho. Mój brat jeszcze coś szepnął i upadł bez pamięci, głową w próg.

"A twego boga mać?" - spytał mnie. Ja nic, przyznasz, że trudno jest odpowiedzieć na coś takiego. Uderzył mnie, ale ja to wytrzymałem. Mogę powiedzieć, że po uderzeniu poczułem, a może się to wydawało, jakby dźwięk usiadł posłusznie we wszystkich zagłębieniach mojej głowy, tak od razu, a pisk przy słowie wypowiedzianym - był wirem, który unosił wszystko gdzieś daleko, jak jesienny wiatr na polnej drodze. - To cię dobrze pomacał - wtrącił Szerucki. Chory odwrócił się do ściany. Szerucki otworzył okno, posłuchał. Deszcz z wiatrem przedmuchiwał las i ciemna jesienna roztocz porzuciła siebie swej własnej pieśni - jak mawiała stara. - Ale ja to wytrzymałem. Poszukałem oczyma brata, usłyszałem tylko ciężkie potknięcie w korytarzu obok dyżurki. "Co tam?" - zawołał żandarm.

"Upadł" - odpowiedziano.

"Podnieść nie potraficie? - wyszedł do nich. - Kto to był?" - spytał po powrocie. -

Powiedziałem, że to mój brat. Jak myślisz, dobrze powiedziałem, Szerucki? - Cholera wie, co chcesz przez to się dowiedzieć. Nie wiem. - Ja ci powiem, Szerucki. Człowiek musi chwilę czekać na dobrą odpowiedź. Nawet żeby sobie odpowiedzieć, trzeba wyczekać. Myśl o uciekających gdzieś moich najbliższych, co to pełzną cichaczem wskroś pustych uliczek - zapierała mi dech. Tobie też by się to zdarzyło, gdybyś był żonaty i miał dzieci. Dziecko twoje idzie samotne polem i każdy tam napada je, każdy kopie i obdziera. Co myślisz o tym? - Ja uważam, że zgrywasz się. Dziecka twego nikt nie tknie, jest w dobrym miejscu. Będzie to kosztowało. Cóż innego można zrobić? - odpowiedział mruklawie Kuba. - Szerucki, skryjesz mnie w razie czego, co?

- W porządku, w porządku. Zaśnij trochę.

- To mi się nie uda. Powiedz, Szerucki, kto do mnie strzelał? Chciałbym to wiedzieć przed śmiercią. - Ja nie byłem przy tym. Spodziewali się, że masz przy sobie brylant Bernsteina. No

nie? - Żebym zdechł jak pies, że nie. Szerucki, wierzysz chyba. Ja nic z nimi nie miałem. Mieszkalem tam tylko. I bardzo się cieszę, że się pomylili. To ich fałszywy kąt widzenia. Kiedy Bemsteinowa wyszła z domu, to już był dobry zmierzch. Przysięgam, że nie zdołałem zauważyć, gdzie poszła. Jedno z dwojga - Judenrat albo Samiczka. Potem wróciła i Bemstein zapytał. "Jak tam?" - zapalił zapalniczkę i przyjrzał się żonie. "Zdecydowałam - powiedziała i wskazała na mnie - myśmy sobie wszystko ślicznie obmyślili." Ale to nie ma nic wspólnego z brylantem. Chodziło o miejsce dla starszego dziecka. To był wybieg przed służącą. A potem słysząc było, jak Bemstein brodził w ogródku, furtka się otworzyła i weszli ci z kripo - Bule i Ciszka. Bernstein siadł w progu i oparł się plecami o drzwi. Oni go nie ruszyli. Zabrali służącą. Ja powiedziałem tylko tyle do Wasicińskiej: "Zachowuj się, Klaruńku." No i potem nikt już nie był, uważali widocznie, że brylant przepadł wraz z Bemsteinem. Gdybym miał zdrowie, tobym się wydobył z tego galimatiasu. Prędzej czy później. 112

8 - Czarny potok

113

r

- Nie ma się nad czym zastanawiać. Chodzi o to, żeby cię tu nie wymacali. A ja amunicji nie mam do mauzera, całego majątku jeden magazynek. - Tak. To by było bardzo przykro - powiedział chory i westchnął głęboko. - A jak ty się czujesz? Popij trochę tego herbatolu, on już zimny, ale zawsze. - Myślisz, że może być zakażenie?

- Nie wiem - odparł Szerucki. - Weź w obie ręce garnuszek. Tak, powinien cię zobaczyć jakiś konował. - Chciałbym, żebyś zrozumiał, Szerucki, o co rzecz poszła. Istnieje ciągle podejrzenie, że ja mam ten brylant. A ja już mam tego dosyć. Wszyscy, nawet ksiądz Bańczycki uważa to samo. Ja to czuję. Nikt mnie nie chce znać. Można to udowodnić. - Ale - rzekł Szerucki - gadasz bez pamięci i rozdrażniasz się. A weź na przykład taką sprawę: ja nie mam amunicji, jak już wziąłem cię na swoje plecy - to już do jakiegoś końca. Trop w trop za tym brylantem lubią chodzić, ty wiesz. - Ja wiem. Możesz mówić swobodnie o pewnych rzeczach.

- Różia odstąpiła ci to miejsce w mojej chałupie, leżysz w ciepłym. Ona jest w stajni na stryszku. Nie chodzi o żadne dokuczanie, po prostu powiadam ci, jak jest. Różia jest bez butów, bez ciepłego łacha. - Ja sobie nie przypominam, co to za Różia?

- Córka Spojdyka, wodonosza.

- Ach, racja - przypomniał sobie ten obcy - była jeszcze Różia Arnstein. - Tak.

- Przepraszam, właśnie. To jest poważna sprawa. Szerucki namacał w ciemności drzwi. - Coś ja rozważam w środku - powiedział obcy.

- Tak?

- To by mogło być w ten sposób. Wychodzisz, Szerucki?

- Nie wymyślaj sztuczek. Wał prosto.

- Gdzie idziesz?

- To wszystko zipnąć mi nie daje - powiedział z troską Szerucki. - Boję się, żeby cię nie wytropili. To by była dziwna melodia. Połóż się, nie wstawaj. Już od paru chwil słysząc było, jak ktoś przewlókł się po błocie blisko okien. Pod piecem chrapała stara Szerucka, mamrocząc przy tym jak w mękach gorączki. - Weź to, Szerucki - powiedział obcy.

Na dworze była okropna, mokra ciemność, buty grzęzły jak w dziegciu. Szerucki wszedł do stajni, podsypał koniowi obroku. Postał chwilę w progu, posłuchał. Co nocy był pożar. Łada zmierzch i czarne niebo szczelnie zatkało ziemię - nad Szabasową i nad Tałęśnią zakwitły czerwone łuny. Często do białego dnia wisały rude chmury, a pod nimi dym. Często daleki pożar wydawał się wschodem księżyca lub świtem. Często wybuchał tak blisko, że ściany chat Zalesia wśród jesiennejących drzew były jakby siną krwią zbryzgane. Leciała od pożaru wysoka watra, pojęki ludzkie, kwik zwierząt i dziecięce zawodzenia. Gdzieś daleko na

wschodzie reflektor szukał czegoś na niebie. Samochody wyły na szosie pod Szabasową. Wiatr niósł zapach bagna. Szerucki zatkał workiem okno w spiżarni i zapalił świecę. W przesyconym zapachami fryzjerskim portfelu był oprócz dowodu osobistego na nazwisko Julian Brodzki i siedmiu banknotów tysiąc złotych - list, ciasno zapisane cztery strony. "Drogi i Jedyne - pisała kobieta - ktoś zastukał wczoraj leciutko do pokrywy. Przeszły czyjeś kroki i cofnęły się, bym mogła rękoma wypchać korek słomiany nade mną. Tak też zrobiłam. Zobaczyłam Twego posłańca, wyszedł z ciemnego miejsca i podał mi list. Twój list, kochany. Żebyś mógł zobaczyć, co się ze mną działo... A Jureczek śpi obok, 114

8-

115

pod moimi nogami. Oplata rączką butelkę z mlekiem, którą przysłała nam Arbuzowska. Dałam jej to, o czym była mowa jeszcze w domu i ty się zgodziłeś. Nie chodzę po tej piwnicy, żeby nie stuknąć czymś o kamień, ale gdyby ktoś podsłuchiwał, mógłby słyszeć, jak szeptamy z Jureczkiem. Nad nami jest stajnia, często przychodzą tam jacyś ludzie, a w nocy klacz niecierpliwie wali kopytem w ziemię, widocznie już się ożrebiła, a łoszę za mocno ciągnie. Czy wiesz, w której się zatrzymałeś, jest opustoszała? Jak daleko jesteś od nas? Jakaż to straszna noc, pełna bólu i troski beznadziejnej. Na ziemi jest dużo natłuczonego szkła z butelek. Nawet dobrze, że jest tu tyle szkła. Zatykam nim szczury, ale to nic nie pomaga. Jak zaradzić? Obawiam się, że kiedyś pogryzą Jureczka. On śpi i wcale się nie obudził, chciałam, żeby ucałował ten list do Ciebie." Drzwi Szerucki zaryglował i podparł łomem. Postanowił ściągnąć buty i zdrzemnąć się trochę przed drogą. Wrócił do izby i rzucił na stół portfel Brodzkiego. Każdy biedny mógł łatwo u Szeruckiego wyprosić, co chciał. Świadomość cudzej nędzy mąciła jego spokój do dna. - Ty się przekonasz do mnie - zaczął Brodzki. - Słuchaj, mówmy poważnie. Staraj się zasnąć trochę. Ja do świtu pojedę, zatrzymam się u księdza Bańczyckiego, on ci tu przyśle lekarza. On to zobaczy. Mama moja poradzi, jakby co do czego. Jednak staraj się zasnąć, będziesz mniej cierpieć. Ale ci wybrali nazwisko - Brodzki. - Myślisz, że to złe nazwisko? Dałem za to nazwisko dwadzieścia dolarów! - Złodziejskie to wszystko, niech to jasny gwint spali - powiedział Szerucki i skulił się na sienniku koło matki. Szybkie ręce staruszki zagłębiły się w jego włosach. W nocy upadł śnieg i rano zapachniał zmarzniętym prześcieradłem. Czas przeplatał się raz śniegiem, raz słońcem. Płynęły po niebie ciepłe rzeki, po ziemi biegł cień za cieniem. 116

Szerucki skoczył z murku cmentarnego i wszedł zmęczonym, zacierkowym krokiem na podwórze Szaji. Wiatr rzucał ślepymi ramami okna. Od furtki szły świeże ślady do stajni. Dorożka bez lewego przedniego koła pod dyszlem leżała na boku. Kura stała na jednej nodze. W kącie podwórka leżały porąbane polana, rzucona końska derka. Uliczką od Zawodzia sunął pogrzeb. Kołysząc się, ludzie szli za trumnami i ciągnęli smutną pieśń niezgodnym i rozbitym na wietrze zawodzeniem. Na garbatej uliczce do dworca nie było nikogo. Wszedł do sieni. Dzieci Szaji siedziały pod żarnami i jadły nie dopieczone kartofle. Pies siedział przy dzieciach i czekał na łupiny, a koło niego leżała hreczana miotła i szypułki z grochu. Izba była ciemna i głucha jak grób. Ktoś stał w ciemnym kącie i ćmił papierosa w kułaku. Stary Kweller zbliżył się i powiedział: - Oni są w stajni. Kobyłę chcą zabrać. - Jak to... kobyłę? - Szerucki przystawił rękę do kieszeni kurtki wypchanej czymś podobnym do kopyta. - A gdzie Chuny? - spytał. - On tu gdzieś jest. Ty bądź spokojny. Zawsze trzeba być spokojnym. - Nu, cholera, spokojny - powiedział Szerucki i wyszedł na podwórze. Zobaczył za wywalonym dylem w kącie stajni przebierające nogi Chuny Szaji. Pochylił się i wlaź za dyle, wsparł rękę na belce. Chuny ścisnął rękę Szeruckiego. Od czarnego toku szedł szmer, jakby ktoś tam snopy wiązał. Szerucki, który zawsze za wcześnie strzelał, nie pchnął nawet ręki do kieszeni. - Moment porodu u klaczy jest często trudny do odgadnięcia - mówił ktoś basem, na toku. - Ty pomacaj wymiono. Nu, jest siara na wymieniu?

- Zaraz... trrr. Niech go jasny... trrr. Niech go jasny grom spali. Nie ma siary. - A zad? Pomacaj zad.

117

- Wyrzuci kopytem.

- Nie wyrzuci. Nigdy, gałancki ty, wysokożrebna kobyła nie wyrzuca. - Trrr... by ciebie szlag.

- Zakrzeszał zapalną. W świetle Szerucki zobaczył Bulca. - Zapadnięcie zadu jest znakiem tego, że poród lada godzina. - Zad normalny.

- Jak normalny? Puzdro, gałancki ty, odwalone. I siara jest na pewno. Świeć! Trrr... Świeć na palce. A co to jest, jak nie siara? Arabka jest delikatna. - Ty pewnie podoił za wymiono - zaśmiał się ten w olimpijskiej kurtce i podszedł do drzwi. Pierwszy Szerucki strzelił w ciemność, mniej więcej w kierunku tego w olimpijce. Zadzwoiła cisza i zaraz odpowiedzieli trzy strzały. Szerucki poczuł w łydce pieczenie, przewrócił się na ciasno związanym snopku. Na toku tupotały nogi. Z zatrzymanego wdechu Bule krzyknął: - Nagła cię zaleje! Kto?

- Daj mu w duszę - powiedział ten w kurtce, wysadził drzwi i wybiegł, ciągnąc za sobą lejce. - Co ty tu robisz? - zapytał Szerucki.

- A co? - Bule stał z wyciągniętym do zapola pistoletem.

- Odejdź, bo nakryjesz się nogami.

- Powtórz, coś powiedział.

- Zostaw kobyłę i idź - powiedział Szerucki i przesunął lewe ramię w ciemność. - A ja was! Ty!

Szaja wyszedł na dyle. Na podwórzu cmoknął strzał i ktoś głośno krzyknął. Kroki pobiegły za stajnię i ucichło. Zachlapała woda pod progiem. Chuny wleciał na tok i od razu obuchem siekiery uderzył. Bule potarł dłonią czoło, czapka zleciała, a dłoń powoli zsunęła się na kark po krótko 118

strzyżonej czuprynie. Nogi załamały się, padł na słomę i jeszcze wyciągnął rękę, jakby chciał kogoś powitać i powiedzieć kupę rzeczy. Chuny Szaja mruczał odrzucając siekiere. Policzki miał czerwone, pogryzał wargę. Bule chwycił ustami powietrze, jakby chciał jeszcze raz głęboko odetchnąć. Na tok wszedł Szerucki i kopnął go. Stał na paczce blisko trupa i obmacywał przestrzeloną skosem łydke. Nogawica zrudziła od krwi. Szaja położył dłoń na grzbiecie klaczy.

- Poci się - powiedział i splunął za siebie. - Dziwny smak człowiek ma w gębie. Ty wiesz, niech go jasny gwint spali! - Pociesz się, Szaja, bo może rzeczywiście będzie się żrebić. Co? Otarł usta wierzchem dłoni zakrwawionej. Chmura chyżo przeleciała cieniem przez podwórze i posypała się śnieżna kasza. - Czego ty stękasz. Nakryj go słomą. Kogoś ty cmoknął za stodołą? - To on cmoknął, Ciszka.

- Kogo?

- Spojdyka, no.

- Ty, co to będzie z moją nogą? Co?... Niech jasny. Nakryj go, Chuny. - Cirla zaszła, Kuba, powiedziała mi dzisiaj w nocy, że zaszła. - Szaja naciągnął końcem buta trochę mierzwy na twarz Bulca, zachwiał się. - Ale żeby to się gdzieś rozjaśniło na tym świecie. - Powtórzył: - Rozjaśniło - i wyszedł za próg. - Czego ty stękasz, Chuny... To się robi. Szerucki podwiązał sznurkiem kolano, wstał. - To się robi.

Na podwórze zleciały dwie sroki, nastroszywszy ogonki zajrzały do stajni. Szaja wydał usta, pociągnął nosem, splu-119

nał i począł wywlekać Bulca na próg. Kobyła zawierciła się ze strachem. Szerucki pomógł mu i zaraz wyszedł, objął rękoma lepki śnieg, zdusił na grudkę i wytarł nią palce. - Trzeba kobyłę wyprowadzić i szczepać - powiedział.

- Dawaj nosiłki.

Zatrzeszczały stawy, Szerucki całym ciężarem swego ciała przydusił kilka wideł gnoju na piersi Bulca. Pijąc całymi haustami powietrze, ponieśli trupa za latrynę targowicy. Martwe palce Bulca wpiły się w ziemię, ale ziemia była zmurszała i posypała się za ręką do dom. Obok sroczych śladów szły zakołysane ślady ludzkie za stajnię. Tam leżał ten biedny wodonosz Spojdyk. Leżał twarzą do ziemi, jakby chciał popływać w tej glinie zaprawionej śniegiem. I jeszcze jeden samotny ślad szedł za dziurawy płot i na Kolejową. Stały tam dwie kobiety z opaskami. Szerucki wszedł do izby.

- Ty bądź spokojny, stary. Napił się wody i wypluł piasek. - Ach, Jezu, jak noga boli.

Kweller, ty słyszysz? Przyjdzie mi teraz długo leżeć na dupie. Ty słyszysz, Kweller? Bądź spokojny, warto tak było zrobić. Ty słyszysz, Kweller? - Gdzie dzieci? - zapytał Szaja. Śnieg sypał, pociemniało w izbie, jakby wóz z sianem zajechał na podwórze. - Jak nas zabiją teraz, to to wszystko jedno. Jeszcze by się trochę pożyło... Jak wróciłem wczoraj w nocy z Podlasków, to się jeszcze nie rozzuwałem. Ty słyszysz, stary. A przychodzi do mnie mama, bo zaglądała do ciasta, i powiada: "Ty się nie rozdziwaj, bo trzeba do Szabasowej." O, Jezu! Jakby mi pasy z nogi darli! - Nachumcie - zawołał Szaja w sieni.

- Dzieci czekają na cmentarzu - powiedziała Mańka Kurpińska, wychodząc z alkierza obładowana pierzyną 120

i koszykiem. W jej ciemnych oczach siadła jasna smuga od drzwi. Grube wargi zsiniały od wiatru. - Kochana ty moja, kobyła rodzić będzie. Jak się to stanie, to my was poszukamy. - Mocne palce Szeruckiego chwyciły ciepłą dłoń Mańki, przytulił kolana do jej uda. Przez nią przepłynął taki żar, jakby stanęła naga przy piecu. Szaja stał jak skamieniały, ręka zwisała, była czarna od ziemi i gnoju. Syrena tartaku Foresty zawyła południe. Droga od dworca szli robotnicy żydowscy otoczeni sześcioro konnymi policjantami. Tam wiatr był większy, zamiętał ślady za nimi, mgła śnieżna sypała się nad drogowskazem. Na zakręcie coś się stało, jeden robotnik upadł, kilku odbiegło, potem doleciał strzał, nikły, jakby ktoś pochyłony i nieprzytomny uderzył głową w pusty ul. Pociąg z cysternami wytoczył się na wschód. Mańka poszła z pierzynami za cmentarz. Szerucki usiadł w sieni na odwróconym wiadrze, obmacał skorupiejącą nogawkę, łydka trochę napuchła. Zapalił. Kolana zaczęły drżeć, wsadził ręce w kieszenie. Posłyszał, że Szaja wydał przez zaciśnięte zęby jakiś świst, i trzeba było uciekać, bez certolenia. Zdawało się, że z obu stron chałupy wyszła pajęcza, gryząca śmierć. Starał się wylawirować z tą chorą nogą, odbił się lewą i skoczył za murek. Ten, który wszedł pierwszy na podwórze, to był Samiczka. Grubawy, z kobiecą twarzą, mrugał oczyma, jakby chciał odwrócić uwagę od swej zajęcej wargi. Za cmentarzem wytarli nogi i spokojnie ruszyli szosą do Stocka. Przy okratowanych drzwiach szynku stał niski, krzywonogi chłop z batogiem w ręku, zaśmiał się do Szaji. - Co się ciebie faramuszkę czepiają. Kto tam jest?

- Zobacz, to powąchasz.

Szerucki przetarł wystrzępionym rękawem zroszone policzki, wszedł, zamknął za sobą drzwi i poczuł, że jest niedobrze. Ostry niepokój zawiął głowę, oczy jego spotkały 121

dwa karabiny oparte w rogu futryny, a ulicę zapełniła nagła bieganina. Ktoś bez tchu krzyknął: - Ruuh!

Powinien się był położyć, upaść pod nogi nadbiegającemu. Cofnąć się do drzwi nie było czasu. Z przysiadu uderzył pierwszego głową w dołek i skoczył w korytarz. Na podwórzu stał duży wychodek, na parkanie składana drabina i bosak. Pośród wolnej przestrzeni zawirował śnieg i dym zarzucał płachcie cuchnące płonącymi szmatami. - To jest twoja sprawka, ty skurwysynie - posłyszał za sobą i nogi mu od razu złodowaciały. Ale odwrócił się i zaczął torować sobie drogę strzałami. Jakiś baudienst skrył się za deski. W czarnej sieni Szerucki widział jeszcze błyski ze swego mauzera. Czasem jest dziwnie latem. Już o świcie na spotkanie słońca leci chmura z grzmotami, ciepły wiatr goni po polu słomę, wznosi nad ścieżkami niebieskawy pył. Jeszcze nie zdążył zrobić się dzień, a już nad Szabasową biją

pioruny. Gabe Gudeł, Miś Kunda i Dudi spali w polu na pokosach koniczyny. Kiedy wiatr począł szarpać z pleców zwiędłą nać, zbudził się Dudi, trącił nogą Misia. - Wstawaj, deszcz pada!

Zbliżał się szum. Pierwsze wielkie krople upadły Dudi na czoło i na gołe kolana. Nagarnął koniczynę i położył sobie na plecy. Chciał okryć kolana, ale gdzieś blisko uderzył piorun. Zaczął sieć gęsty, ukośny deszcz i Miś Kunda podniósł się na kolana, tak pochylony jak do modlitwy, nie rozeznając, co się dzieje, a już zimna wilgoć rozlewająca się po plecach rozbudziła go. Nakrył koniczyną głowę i plecy. Ręce zmokły. Za pazuchę, po plecach, na brzuch ciekła woda. Kłuło w łopatkach. Postanowili nie ruszać się. Stwierdzili, że kiedy się człowiek nie rusza, to woda nie tak ziębi, spływa sobie wzdłuż grzbietu pod siedzenie. Jest trochę cieplej, jak się człowiek nie rusza. Gabe Gudeł leżał obok, ani drgnął. Deszcz zalewał mu twarz, zapełniły się wodą oczodoły. - Może Gudeł został zabity albo ranny? - powiedział Dudi. - Byśmy słyszeli, że został zabity.

123

I znowu piorun nad samą głową grzmotnął, aż zdawało się, że niebo rozleciało się w kawałki. Chłopcy pochylili się do ziemi i zaparli oddechy, oczekując, kiedy na ich plecy zwali się jakaś straszna góra. Dudi coś mówił, ale Miś nie słyszał zupełnie co. Zalewał ich równy, ciężki deszcz. Zamokły oczy, ciekło do ust. Wreszcie Miś Kunda skoczył na równe nogi i począł biec na oślep, a nad ziemią zabłysło oślepiającym ogniem i rozszarpał się nowy grzmot, obejmujący hałasem całe niebo. Bach, bach, bach - postękiwała ziemia i daleko z tym przeciągało się echem i szumem, jakby łamał się las. Dudi pobiegł za Kundą. Biegli na Smólno. Można tam było skryć się w jakimś nie dopalonym chlewku. Dudi zamykał oczy, ale iskry piorunów przenikały przez zamknięte powieki, zimny deszcz obejmował całe ciało. Miś Kunda zakrył lewą dłonią oczy i biegł, ledwo go Dudi odróżniał od smug siwej wody. Wiatr uderzył w pierś, Dudi wypluwał deszczówkę z ust, przecierał oczy kułakami, spodnie kleiły się do ciała. Miś był już za szosą; Dudi spostrzegł nowe niebezpieczeństwo: na szosie stał wóz zapchany jakimiś ludźmi, a koło wozu sylwety kilku policjantów z długimi karabinami. Znowu gęściej i ponuro zaszumiała woda, zasłoniła wóz i długie karabiny. Dudi przebiegł szosę, skoczył na szkarpe. Jeszcze obejrzał się. Widać było, że ci ludzie z wozu rozbiegli się, ktoś tam głośno zawołał i padł strzał. Dogonił Dudi Kundę, krzyknął do niego: - Gdzie tak biegniemy?! - A ten, jakby ogłuchł, nic nie słyszał, dalej biegł, wysoko podnosząc kolana. Dudi słał się zadyszany i kiedy Miś Kunda znikł mu na chwilę z oczu, rozpacz go brała, zdawało mu się, że piorun Kundę zabił - otworzy oczy i zostanie już sam na świecie. Gdzieś dalej zatrząsał grzmot krótko i matowo. - Dudi! - posłyszał za sobą.

Miś Kunda siedział pod drewnianym mostkiem na prze-

124

jeździe do Sewarynki. Leżała tam ciągle jeszcze nie pogrzebana Ceigierowa, a obok niej dziecko. W południe deszcz ustał, wiatr odprowadził chmury na północ. Z pól i łąk podnosił się biały, cienki obłoczek i szezł przekroczywszy wysokość lasu. Rozpłynął się na tle nieba. Ścieżki polne dymiły się pod słońcem, podnosiła się trawa, po żdźbłach żyta ściekały krople. Na drutach telefonicznych do Szabasowej wisiały krople, zlewały się na łuku i spadały. Po błocie szła mała dziewczynka, mokra, blada, rozszerzonymi oczyma patrzyła pod nogi, usta jej drżały. Słysząc było świsty i strzały. Dziewczynka zmarszczyła czoło, podniosła ręce i pobiegła ślizgając się bosymi nogami na rozkistej drodze. Widać było za żytem trzech policjantów, schodzili ze szkarpy przydrożnej, patrzyli na pola. Oczy ich szukały kogoś, rozmawiali głośno. Miś Kunda widział ich, śledził każdy ruch, słuchał, co mówią. Razem wyskoczyli spod mostku i nie oglądając się biegli polami bez końca, do lasu. Za nimi zdyszani, ciężko dudniąc po miedzy biegli policjanci. - Wąskopyski z Chuny Szają pozabijają ich na Przepastnej - powiedział Miś. - Zasiądą i pozabijają. Ten karabin, z którym poszedł

dzisiaj Chaim do porodu, wczoraj nosił Kurdiuk. Wąskopyski spotkał chłopców na brzegu lasu. Siedzieli nadzy, suszyli swoje łachy. Chuny Szaja pchnął rękę do kieszeni i wydobył kawał mokrego chleba. Chleb rozsypał się w kaszę. Podzielił tę kaszę na dwie garście i dał chłopcom. - Chcielibyście przystać do bandy? - spytał Chuny Szaja.

- Chcielibyśmy - powiedział Miś - ale do bandy Wąskopyskiego. - Dobrze. Weźcie te swoje porteczki i idziemy. Trzeba będzie im jakieś łachy poszyć - powiedział Chuny do Wąskopyskiego. 125

Zaprowadzili chłopców na gajówkę, nakarmili, a wieczorem Wąskopyski przyniósł na plebanię płaszcz zabitego Kurdiuka i poprosił Klarę, żeby wykroiła dwoje małych spodni. Rózi nie było na gajówce. Postawiła na swoim. Tak jak pragnęła, tak też zrobiła. Ojciec jej ciężko mordował się w kamieniołomach, chciała być przy nim. Poszła tam któreś nocy i przepadła. Ktoś opowiadał o trupie dziewczyny pod drutami obozu sasowskiego. Poszedł Wąskopyski zobaczyć; wrócił nad ranem, milczał. Kilka dni później opowiadał Chuny Szaja: - Nagle posłyszałem wyostrzonym słuchem jakiś szmer w sąsiedniej kupie żwiru. Wszystko jedno, pomyślałem, skoczyłem i oświeciłem pod drutami. Świeciłem lewą ręką, prawa ręka wyciągnięta w prawo i palec na cynglu. Przy drutach rozlewała się powoli, szeroko mała rzeczulka, bo bieg jej został zatrzymany kamieniami i przewróconym wagonikiem kolejki. Woda bulgotała w wyrwach toru. Nogi Rózi zamoczone były po łydki w wodzie. Leżała szeroko na plecach. Musiałem odskoczyć i przygarbić się za kupą żwiru, gdyż wartownik bił tu w moje miejsce, aż pluskało. Ja się uparłem, że przesiedzę i jeszcze raz spojrzę na Rózię. Chciałem przykleknąć i wszystko dokładnie zobaczyć, żeby zapamiętać na długo. Czy ty myślisz, że gdyby się było udało mi drugi raz dostać pod druty, myślisz, że bym nie pocałował jej w czoło? Tak myślałem, jak ci to opowiadam. Tymczasem krzyk koło wartowni: "Halt! halt!" Z sąsiedniej kupy też ktoś wyskoczył, strzeliłem tam i posłyszałem: "Swoj!" Biegliśmy obok siebie. Ktoś zawołał: "Wąskopyski?"

A ja:

"Szerucki?"

"Można zwolnić - powiedział Szerucki - oni nie ruszą się za nami." 126

Po zabójstwie Arbuzowskiego Cirla ukrywała się u matki Klary Wasicińskiej. Stara Wasicińska zrobiła schowek w sąsieku, Cirla tam siedziała cały dzień, a na noc przychodziła do izby. Kobiety przy świetle od pieca skubały pióra, szczyniały buraki lub splotały w wianki cebulę. Chuny Szaja przyszedł późno. Oskrobawszy buty o próg, obejrzał przygarbione w rogu kobiety. - Ciemno tu.

Wszedł na środek izby i odsapnął.

- Wszystko w porządku? - spytał. Cirla położyła rękę na jego ramieniu. - Gdzie Nachumcie? - spytała.

Chuny chwycił jej drżące ręce i poprowadził do ławki.

- Co będę ukrywał, wcześniej czy później trzeba powiedzieć. Cirla, Cirla, nie trzeba... Nie ma już, nie ma go już z nami, zabili... Głos Chuny ochrypl, jakby mu coś ugrzęzło w gardle.

- Chuny - wyszeptała Cirla i upadła pod ławkę.

Chuny Szaja już nic nie powiedział, nie pocieszał Cirlę. Milcząc siedział w kącie pod piecem i patrzył na cień Wasicińskiej, tańczący wysoko na ścianie. Cirla płakała, cicho siedziała Wasicińska zapatrzona w ogień, po jej czole spokojnie łaziła mucha. Szerucki zapukał do szyby. Chuny wybiegł szybko, na progu odbezpieczył karabin. - Jest całkiem źle - powiedział Szerucki.

- Co znaczy źle?

Szerucki ścisnął mu kufak, ze wsi słyszać było klekotanie bryczki. - Przed chwilą był Wąskopyski, powiedział, że trzeba wiać, i poszedł z chłopcami za plebanie. Powiada, że na przyczółkach tłuką się szupowcy, ustawiają na wylotach erkaemy.

O świcie Buchsbaum zdrzemnął się, wnuk, przytuliwszy się do brzucha dziadka, spał głęboko, nakryty połą chałata. Buchsbaum był znużony całonocną ucieczką i podniecony strzałami. Od wczesnego świtu za sianozęciem Hucisk i po przysiółku Helenki buszowali żandarmi, łapali chłopców do baidienstu. Znalazł się tam ktoś uzbrojony i wygarnął do żandarma z automatu. Rumor, dziki krzyk, wybuchły trzy granaty. Za chwilę widać było, jak w kierunku Buchsbauma uciekali ludzie. A niedługo potem na łąkę wjechało kilku konnych, przejechali rzekę w bród i kłusem ruszyli na krzaki. - Uciekajcie! - ktoś krzyknął.

Buchsbaum drgnął, podniósł wnuka, obok przebiegli dwaj chłopcy, potem jeszcze jakaś dziewczyna. Zdążył szepnąć wnukowi: - Uciekamy. Porwał go na ręce i z miejsca począł biec. Zrąb był bardzo rzadki, poszycie niziutkie. Zgarbiwszy się Buchsbaum biegł ciężkim, resztkami sił wyrzucanym krokiem. Było kilka sekund ciszy i nagle wypalił strzał.

Zaświszczało i słyszeli krzyk: - Halt!

Buchsbaum był już blisko gęstwiny, spadła resztką sił, zadławiło się serce, upuścił wnuka na ziemię. - Za mną - wyszeptał.

Żandarm podjechał, wygarnął w ich stronę krótką serię, ściągnął konia i poskakał za dziewczyną. 128

- Halt! halt! halt! - wołał za nią czystym tenorkiem, jakby jej chciał coś miłego powiedzieć. Buchsbaum upadł natychmiast, a wnuk pobiegł jeszcze kilka długich metrów i jakby się potknął na kolanach. Głowa spadła na pierś. Buchsbaum podniósł się, chwycił konającego, z ust wnuka połała się krew, ciekła policzkami, pod włosy. Jeszcze dziecko coś pobulgotało ustami. Sztywniejąc w rozpacz Buchsbaum pojął, że to koniec, że wszystko już skończone. Wszystko, co najstraszniejsze, już jest za nim. Bez obawy, trzymając wnuka na ręku, patrzył za siebie: tam z krzaków wyprowadzali Ciperową z dziećmi. Po krętej ścieżce Buchsbaum zaniósł ciało wnuka do czarnego lasu i cichuteńko, ostrożnie ułożył na mchu. W ślad za nim po godzinie przyszedł Chuny Szaja. Pochowali Na-chumcie pod klonem. Buchsbaum już się nie niecierpliwił. Siedział w krzakach i pilnował grobu, żeby go lisy nie rozszarpały. Czasem Chuny Szaja posłał mu kawałek chleba i butelkę mleka. Szames nie oddalał się od grobu wnuka, zastała go tam śmierć. Arbuzowska... Musiałem zmrużyć oczy, podszedłem bliżej. Musiałem podejść bliżej. Coś leżało pod wypaloną ścianą. - Arbuzowska - powiada Szerucki, pokazał ręką. Leżało tam serce i wątroba Arbuzowskiej. Dłuższy czas patrzyłem na to. A Szerucki powiada: - Ty pierwszy raz to widzisz? Prosta rzecz, człowieku. - Potem, jakby przypomniał sobie coś ważnego, poszedł na pogorzelsko stodoły. Na toku spalonego spichlerza leżały kupy tłącego się żyta. Rozgartywaliśmy je, chcąc dostać się do spodu. Była nikła nadzieja, że coś może ocalało, z czego można by było ukręcić jakiś placek na zamach. Wśród czarnych głowni leżały popieczone prosięta. Na podwórzu rozwleczone losze, kury i kaczki 9 - Czarny potok

129

spaliły się doszczętnie, został z nich tylko popiół. Orłowska leżała zastrzelona koło studni. Córka jej miała poodrąby-wane dłonie, była bez palców. Ocalał z całej gospodarki tylko kot. Siedział nieruchomo koło zabitej, spuściwszy pysk do śniegu. Nic go nie interesowało, co my robimy na podwórzu.

Nagle podbiegł do mnie Szerucki i powiada:

- Pięciu ludzi idzie w naszą stronę.

Popatrzyłem tam. Rzeczywiście szli w naszą stronę uzbrojeni, z psami. Powłócząc nogami wybiegliśmy z podwórza Orłowskiej. Serce i wątroba Arbuzowskiej zostały nie pochowane, lisy przewlokły to wszystko za kilka nocy. Byliśmy tam po tygodniu. Ponowa śnieżna nakryła pokurzynsko, tylko sikory siedziały na wiśni i leżał stołek do dojenia krów z nogami zadartymi do chmurnego nieba. Tego zapłakanego poetę, co był z nami w Szabasowej, ukrywała Sitwa,

ale pewnej nocy przyszli do niej trzej faceci, jak opowiadała, z hrabiowskimi manierami i mówią: "Sądzimy, że pozwoli pani zobaczyć się z nim."

"Z kim? Co się właściwie dzieje? Nie powiedzieli mi panowie, o co chodzi" - mówi ona.

"Możemy dostać teraz kilku dobrych świadków. Oto ci dwaj panowie, pani pozwoli, poświadczą, że Tolek nie jest Żydem."

"On jest teraz na badaniu w policji, bardzo dobrze się składa. Może panowie pofatygują się teraz do Szabasowej, na kripo i zaświadczą. To ślicznie się składa!" I ten smagły, o ponurym spojrzeniu - jak mówiła Sitwa- zrobił krok i uderzył ją w twarz. Drugi, udając, że broni, obmacał ją. Przeszukali strych, piwnicę i zbili ją do kości.

Znaleźli Tolka. Zdradziła go woda kolońska. Sitwa dbała o Tolka, odżywiała go. On wypoczął, wyspał się i włosy 130

skropił wodą kolońska. To go zgubiło. Prosta rzecz: na strychu była przy bantach zastawka z desek, tam leżał Tolek. Już szpicle złazili, nie znalazłszy kryjówki, ale jeden powąchał i powiada: "Coś tu pachnie. Hola!"

Trafili po zapachu do kryjówki i wyciągnęli Tolka. Powiada Sitwa, że go przynieśli do izby, bo był drętwy. Nic nie mówił. Upadł na podłogę. Raz Buchsbaum śmierdział wiatrem, drugi raz śniegiem. Codziennie wykręcał się śmierci. Żarły go wszy i krosta, głód i zimno. Wiatr wichrzył siwą brodę, bił deszcz, gnębiły pioruny, tropił szpicel. Spotkałem go latem. W nieogar-niętym krajobrazie i poździe słońca świstały ptaki. Buchsbaum szedł za

Latadywanem. Był już bez wnuka. Szli wysoką miedzą, wykłoszone żyto trzepało się im pod pachami. Na wyklonie poprzecznej ścieżki było dużo nadeptanych śladów, leżały jakieś fotografie zduszone butem. A dalej stratowane żyto i ktoś tam leżał zabity. Leżał twarzą do nieba. Na kamizelce tego zabitego była ruda plama i natkana zieleń przy ustach. Latadywan przeszukał zabitego. W kieszonce kamizelki było kilka ciuków zamoczonych krwią, pod koszulą na piersi szkaplerz z rtęcią, jakie nosili ludzie z kamieniołomów sasowskich.

Schodząc w dolinę patrzyli jeszcze na dym z Szabasowej, pod Lipkami czerniała się koniczyna w kopach. Na lewo i prawo od Szabasowej rozciągnięty był fiolet na niebie i widać było wyraźnie na horyzoncie podjazd koło Stocka. Na zasłonce z fioletu pobłyskiwała pożarem chałupa Szeru-ckiego. Dopalała się ostatnia na Podcmentarnej, dym leciał prosto i bardzo wysoko. Poszli miedzą w dół, na Mogiłę. To była niedziela na podjesieni. W Mogile wozy z nowymi drabkami stały na podwórzach, wisiała pod szopami na kółkach uprząż, siew-9*

131

ne krupki i sakwy. Krowy mełły żwaczkę, konie na zabo-czach przeczesywały grzywy, łoszęta brykały z poddartymi ogonami po majdanie. A tam dalej za brzo-zowym gaikiem dogorywało Hucisko. Ludzie, jęcząc, kopali groby dla swoich. Wieś spaliła się do cna. Gdzieniegdzie tylko ocalały ule wśród zakopconych sadów. Stary, brodaty koń Czacz-kiesa przyszedł na spalone obejście swoich gospodarzy, wsparł chrapy na cembrowinie, zwiesił siwy ogon. Tam zobaczyłem księdza Bańczyckiego. - Koń jest czystym stworzeniem - mówiła baba do księdza, trzymała w garści przedziwo, spódnice miała podziurawioną ogniem, oczy nieprzytomne. - Trzeba, żeby zabili już tego konia - ksiądz łaską wskazał na wypalony koński bok - materia nabrała, otrzewna zapali się lada moment. Czacz-kies nie pogniewałby się. A na co ty, kobieto, trzymasz to przedziwo? Kobieta nie odpowiedziała, potraçała chudą, szpiczastą nogą nie dopalone krokiewki, blaszane pokrywki, natopio-ne szkło i talerzyki do karmienia pszczoł. Kopcił się jeszcze zrąb chałupy Czacz-kiesa, sterczał do nieba bez futryny, z rozdartą mezużą. Na marzannie w ogródku czerniała się gęsto watra, przy zwalisku stodoły leżał pies ze wzdętą skórą jak na salcesonie. Bańczycki poznał Buchsbauma. Ani słowa nie powiedział jeden do drugiego, podali sobie ręce i Bańczycki poprowadził go w pole. Poszli łąkami gdzieś tam, jakby na Przepastną. A na pogorzelisko przyszedł syn Czacz-kiesa, postarzał się za noc, był w wysokich butach, wlaźł do żaru i coś tam przegartywał

tyczką. Zdaje się, że szukał ciała matki. Miała chleb wybrać z pieca, wrzucić do worka i wynieść nad ranem do lasu. Krowę zabrał wieczorem Kurdiuk, gdyż wiedział już dobrze, co będzie działo się tej nocy w Huciskach. 132

Szerucki przyjechał potem. Był już późny dzień. Przyjechał z jakimś człowiekiem, napoili konie w deberce, spętali i puscili na nowy owies. I zaraz koło końskich ogonów zaczęła się uwijać zgraja bąków. Podścieliwszy worki siedli na miedzy. Przed nimi była hreczka - w listkach dopiero, a za plecami szarym brusem stało wykłoszone żyto. Kto będzie żał to żyto?

Robił się wieczór, o takiej porze było zawsze wracało z pastwiska. I kiedy uciszyło się w Huciskach, resztką ocalałych ludzi poszła szukać gdzieś miejsca dla siebie i zaraz nagle nad polami stanęła znowu ogromna góra dymu, masna, oturbaniona iskrami. Paliło się Smólno. Leciał stamtąd krzyk kobiet, lamentowały dzieci, dzwoniły wiadra. Na zachodzie położyła się mna, na północy za lasami granatowało niebo polewane błyskami, jakby za tymi lasami były nieme armaty. Wyszła też na niebo smutna gwiazda pastusza.

- Co to za gwiazda? - zapytał Szerucki swego towarzysza.

- Ta? - wysunął palce ku niebu. - Co można powiedzieć o gwieździe. Jest wieczorna gwiazda, jest wieczorna pieśń i wieczorny dzwon. - Ona musi być zawsze, od początku świata, no nie?

- Tak - odpowiedział i zaczął opowiadać Szeruckiemu swoje przejścia z ojcem i bratem. - To było na wiosnę. Sen mój rozszarpał się i coś tam po nim zostało, jak ślad po pieśni weselnej. Jeszcze skroś pukania, zdawało się, przebiegała wartka rzeczulka, kobiety były pralnikami chusty, za oknem stało głębokie przedwiosenne niebo. Bystro szedł świt. Ale sad był jeszcze czarny. Ktoś stał na progu naszego domu i pukał. O pełnym świetle wrócił mój brat. Poszedł do wozowni i wygrzebał tego obcego człowieka. Weszli do izby 134

i siedli. Ten obcy patrzył na mego ojca ściągniętymi oczyma. "Coś trzeba zjeść" - powiedział mój brat.

"No trzeba" - rzekł ojciec, ale nie ruszył się z miejsca. Po chwili milczenia, kręcąc papierosa w listku, brat napomknął, że spotkał Wąskopyskiego, że robota w końcowej fazie, brak tylko amunicji do erkaemu. Ale obiecał wystarać się gdzieś tam jakiś znajomy, który przed kilku dniami uciekł z Bełzca. "Jaki znajomy?" - zapytał ojciec.

"Co ja wam będę łopatą do głowy pchał!"

"Ty darmozjadzie, nie bałamuć mi tu życia jakimś Wą-skopyskim i strzelaniną, masz tobie!"

"Nie paplajcie, do cholery!" - z chłodną złością powiedział brat i podniósł się ze stołka. "Kto cholera?"

"No..." - podszedł ku staremu, w szerokich piersiach zaskrzypiało, splunął pod nogi i wyszedł na dwór. Stał chwilę na progu, serce, opowiadał, jakby napuchło takim młodym, narowistym żalem. Wrócił do chałupy i wydobył z kuferka tytoń. Ojciec milcząc wziął kożuch i wyszedł. Za nim wyszedł mój brat. "Gdzie idziecie?"

"Moja rzecz - powiedział stary - ale chodź no ze mną do wozowni." - Znacząco mrugnął i powlókł się pierwszy, zły i ściągnięty. "To jest tropiony człowiek" - powiedział brat.

"A ty co, nie tropiony?" - Ojciec pchnął kułakiem w spodnie i coś szeptał jak nieprzytomny. Wróciłem do izby. Ten obcy ciągle siedział nieruchomo, patrzył bez przerwy w okno i nic go nie obchodziło. "Jeszcze trochę wieczornego mleka zostało, może pan głodny?" - spytałem.

"Ojciec wasz coś słyszał o mnie?"

"Nie, chyba nic."

135

"Ja Brodzki jestem. Uciekłem z Bełzca, moja żona jest tu w okolicy ukryta. Brat wasz zna tę całą sprawę. Chodzi o to tylko jeszcze, żeby się wasz ojciec przekonał do mnie." A tu tymczasem na podwórzu zajechał konno żandarm i coś tam krzyczał. Za wrotami stali dwaj konni z hilfs-policji. Brodzki spojrzał w okno, jego szeroko rozwarte oczy zatrzymały się

przez chwilę na krzyczącym żandarmie, wybiegł do sieni i po drabinie na strych. W ciągu całego dnia żandarmi i policjanci kręcili się po naszej wsi, szukając ukrytych Żydów. - A ja wiem, gdzie była ukryta żona tego Brodzkiego - w psiej budzie. Siedziała mocno skulona, cały dzień. W nocy, jak podnieśliśmy tę budę, to ona była prawie nieżywa. Dziecko długo nie chciało otworzyć oczu. Ona, nieprzytomna, nie rozeznawała, kto my jesteśmy. Miała nas za agentów i znowu musiała wybiec w ciemne pole, bo zjawił się patrol i wystrzelił trzy rakietę. Trzeba było i nam brykać ze wsi. Ten marsz mnie zmęczył. Miałem kilka nocy nie przespanych, grunt był wiosenny, lepki i dokuczał świerzb na całym ciele. We wszystkich krzakach ktoś ruszał się, trudno było rozeznąć, kto ucieka, kto goni. Tej nocy spotkałem pierwszy raz Cirię. Siedziała na miedzy, pochylona, ręce miała wsunięte w rękawy postrzępionego na frędzle płaszcza. Zaprowadziłem ją tej nocy do Arbuzowskiej, pościeliła sobie słomę w kącie izby. Nad ranem wróciła z Hucisk Arbuzowska i spytała: "Cirla, czy ty masz jeszcze mleko w piersi? Bo jakbyś miała, tobyś poszła dać possać wnukowi Kwellera. On jest na plebanii u księdza Bańczyckiego." "Dałabyś..." - powiedziała Cirla i przytknęła ręce do piersi płaskich jak deska. Następnego dnia Szerucki znalazł Chaima w gajówce pod lasem Trójnoga. Wdowa po Turkociu rodziła, a Chaim siedział pod piecem i czekał na noworodka. Szerucki został przy Chaimie na noc. Siedział na szewskim stołku, pociągając papierosa tarł bez myśli rękawem zamek karabinu. Kobieta krzyczała w bólach. Chaim podchodził do chorej, kładł dłoń na jej spocone czoło i mówił łagodnie: - No, no, no, to zaraz przejdzie.

- Jezu kochany - zgrzytała zębami położnica. Dwoje drobnych dzieci siedziało pod łóżkiem i żadną prośbą nie można ich było stamtąd wyprowadzić. - A ja wam coś pokażę ładnego - mówił Szerucki. - Po co tam siedzicie i mamie przeszkadzacie? Ona biedna, chora i gniewać się będzie. A dzieci jeszcze głębiej zapychały się w ciemną szparę.

- Widzisz go? - zwrócił się Chaim do Szeruckiego i pokazał ręką. Wielki, czarny kot siedział na piecu, patrzył na wijącą się w bólach gospodynię. - Musisz coś z tym kotem zrobić, Szerucki, bo on rzuci się na flaki. Ja czuję, że on się rzuci. - Myślisz, że kot to potrafi?

- Nie wiem, czy na pewno, ale obawiam się, że potrafi. Nie podoba mi się ten kot. - On pewno czuje, że gospodyni cierpi.

137

- To nieważne, co on czuje. Ja założę się z tobą, Szerucki, że on się rzuci na flaki. - To ty jego w łeb w razie czego.

- Wolę, żebyś posłuchał mnie. Wynieś tę cholere za próg.

- A jak ukąsi?

- Ale... ukąsi. Pogłaskaj go, a potem chwyć za skórę na karku, ale odstaw karabin. -

Głupstwa gadasz, Chaim. Niech se siedzi kot na piecu.

- Co znaczy: głupstwa gadasz?

- Niech siedzi, powiadam, przewrażliwiony jesteś. To nie szkodzi, że on siedzi. Ja w życiu nie słyszałem, żeby kto lubił ludzkie flaki. - Ty tchórz jesteś, Szerucki, kota się boisz.

- No masz tobie! Ja kota się boję!

- Jeszcze jak.

- A przysięgam ci, że się nie boję.

Chaim milcząc podszedł do chorej, a Szerucki wyszedł z chałupy i stanął na progu. Stał tak z pół godziny i słuchał. Niebo było z gwiazdami, ściszał mróz, gdzieś daleko czekały psy. Kiedy wrócił do izby - Chaim pochylony, w rozkroku coś tam majstrował w wielkim napięciu koło chorej i powiedział przez zęby: - Wywal kota do jasnej cholery i rozpal w piecu.

- Co ci znowu kot winien? Siedzi se spokojnie bydlę - niech siedzi. - Szerucki! - krzyknął Chaim, odwrócił się i pogroził zakrwawionym kułakiem. - A gdzie on teraz? - spojrzał na piec, kota tam już nie było. - Nie rób bałwana z siebie i zapal w piecu. Szerucki porąbał

siekaczem sosnową stolnicę, potem kucnąwszy przy piecu zakrzesał zapalniczkę. A kobieta wyła, aż dzwoniło w uszach. Dzieci pod łóżkiem płakały. 138

Szerucki dmuchał w palenisko, świeczka kończyła się, jeszcze machnęła kilka razy wysokim płomieniem i światło skurczyło się do garstki. - Rozпалиłeś? - spytał Chaim zmienionym głosem, jakby mu coś włochatego ugrzęzło w krtani. Szerucki dmuchał. Na jego grubych wargach, nosie i zmarszczonym czole pomiała się obszerny blask, a kiedy łykał wdech, podając się na plecy, twarz jego stawała się smągła i zielona. Dmuchał, dmuchał coraz szybciej, aż pojaśniało i zatrzęszczał wesoły płomień. Wielki cień głowy Szeruckiego zatańczył na ścianie. - Postaw wodę w jakimś naczyniu, trzeba, żeby się przegotowała - rzekł Chaim z ciemnego kąta. Wyszedł Szerucki do sieni, szukał wody, gruchotał tam i kłął, wrócił i powiada: - Nie ma wody.

- A studnia jest na podwórzu?

- Zobaczę.

Wyszedł, wziął wiadro i karabin. Słysząc było jego kroki pod oknem. Po chwili ktoś wszedł do sieni, czyjaś ręka szukała klamki. Chaim zawołał: - Kuba!

Nic. Chaim otworzył drzwi, poświecił latarką, nikogo nie było. Na dworze robił się świt.

Szerucki już nie wrócił. Dopiero na wiosnę Latadywan spotkał Szeruckiego. Szerucki leżał pod lasem, wypoczywał po morderczym marszu, chudy, z zapadniętymi oczyma, prawie nieprzytomny ze zmęczenia. - Gdzieżeś ty był, sól ci w oko? - spytał Latadywan.

- Awo - odparł Szerucki - wylazłem z chałupy po wodę dla tej położnicy, źródło było w dole jakieś trzysta metrów. Wracam z pełnym wiadrem, już byłem we wrotach, a tu z sieni ktoś ucieka. Ty wiesz, jak to jest. Ja za karabin, ale myślę sobie: dziewczyna jakaś. Wyskoczyła ona z sieni 139

i biegiem za chlew. Ja za nią. Jeszcze dziś mogę dać głowę, że to była Tońka. Ona do lasu pobieгла i ja, i tak już biegłem i wołałem. - Pewny jesteś, że to Tońka?

- Pewny.

- Zwidziało się tobie. Często ktoś się zwidzi człowiekowi. Gabe Gudeł też miał zwidzenia. Ile razy razy przeszedł koło mnie w lesie, plótł bez pamięci, jemu przede wszystkim zawsze zwidziała się Szabasowa. Nie był głupi człowiek, ale zwidzenia miał. Chwytał mnie za rękę i pokazywał w cieniu pod drzewami jakieś miasto. "Słuchaj ty, człowieku - szeptał gabe - tam miasto. Panuje w nim najczystsza gwardyjska zachłanność, panuje połączony geniusz ulicznych sprzedawców z geniuszem twórców poplątanych bluźnierstw. Ostatnie kwadransy odczytywania kodeksu karnego, władze umysłowe mieszkańców, uśmiechy na ustach, obracające się kapelusze na wystawach, nowi chlebobdawcy, szyby sklepowe oblepione paskami papieru i czarny deszcz dla rozpoznania tych, którzy uprzedzeni przez policję nie wychodzą na miasto, a ci, którzy wyszli w czarny deszcz, prócz nauki dla miasta, będą otaczani zawsze tą samą pogardą. Miasto! Nauka tych nakropionych czarnym deszczem dała policji papier, na którym w każdej chwili mieszkańcom obwieszczają obraz kary śmierci. Ja znam policję! - krzyczał gabe. - Ona zachowała wszystko dla siebie. Szczególnie szef oddziału Wielkiej Tajemnicy zawsze nocą oddziela charakterystyczne części dotyczące naszego miasta, jego ulic, kobiet, dzieci i żywności." "Uspokój się, człowieku" - mówiłem. "I ty jesteś taki" - groził gabe.

"Nie jestem taki, uspokój się" - prosiłem.

"Kochasz swoje miasto?" - gabe patrzył w oczy.

"Kocham."

140

"Dachy, kominy i wyniosłości naszego miasta najeżone są harpunami zarzucanymi na ptaki, gdyż policja obawia się, że jaje zniesione w obrębie naszego miasta obali powagę i zacznie odżywać wszystko na nowo. Nawet nasze księgi, które uważają za już niepotrzebne. A kto nie

plugawił ksiąg i nie rzucał pod nogi tym, którzy odchodzą?" - Nie całkowicie bez sensu było to wszystko, co mówił gabe Gudeł. Chaim na przykład bardzo chętnie go słuchał. Tak jak chętnie słuchało się bajki opowiadanej przez starego Polityńskiego. O echu leśnym, na przykład. Stary zwiesiwszy nogi z pieca opowiadał. Ciemno było w chałupie, dziecko jego synowej posysało pierś aż do czkawki, a stary mówił o echu leśnym: "Szedł człowiek i zobaczył, zatrzymawszy się na moście, dużo kaczek pływających po wodzie i złotych rybek, i kaczki te poczęły uciekać, i rybki, bo ludzie zwykli strzelać im we łby albo kamieniami rzucać. To ten człowiek zaczął rzucać kruszynki chleba, co był dostał od niedźwiedzia, i poszedł dalej, bo po drodze buty ludziom łatał i tak żył. Ot, zatrzymał się on w takim gęstym lesie, że ino kawałeczek nieba było widać. Zatrzymał się, żeby nadrzeć łyka. I tam pokazała się jemu postać biała w szacie niebieskiej na stóp dwanaście długiej i tymi słowami do niego: "Na świętego Błażeja poświęcisz jabłka i dwie świece na krzyż złożone i ludziom będziesz sprzedawał przeciw boleniu gardła.»" - Schodzimy z tematu. Myślisz, że rzeczywiście mogła to być Tońka? - Mogła. A co się z nią stało, mogła wiedzieć ta położnica, bo nie jest wykluczone, że Tońka tam bywała częściej. Skąd na przykład Chaim wiedział, że Turkociowa rodzić będzie? Nigdy jej przedtem w życiu nie widział, ona męża już nie miała, dzieci były za drobne na posyłki. Nikogo z rodziny dokoła.

Ksiądz Bańczycki został zupełnie sam na plebanii. Uczepiła się go jakaś choroba, polegiwał lub nakryty dwoma kocami łaził bez sensu po wyiębionych izbach. Śnieg na podwórzu leżał nie tknięty ludzkim śladem. Któregoś dnia przyszła na plebanie na pół przytomna kobieta, rozpałała w piecu, ugotowała katoflanek i na noc wróciła do lasu. W przeddzień Trzech Króli, późnym wieczorem, Chaim z Latadywanem poszli na plebanie. W oknie kuchennym majaczyło słabe światło. Kiedy Latadywan zbliżył się i zajrzał do środka przez nie zamrażającą szparę, zobaczył część twarzy Bańczyckiego. Ksiądz był w czapce barankowej, kaszlał jak ochrypli pies, twarz mu nabrzmiała od wysiłku. Był tam także ktoś drugi, słysząc było, jak kończy długi śmiech. Chaim twierdzi, że był to Gail - ten tajniak z kripo. Rozmowa musiała już mieć za sobą kumet drogi, bo Gail chichotał. Słysząc było, jak stuka palcem w blat. Chwila bez słowa, a potem tajniak tak zaczął: - No, no - wszystkie te idee dla cywilizowanych ludzi mają lepsze pomieszczenie w żołądku. Żle ksiądz myśli o tym wszystkim. - Co z tobą, człowieku, ty nie masz twarzy - mówi ksiądz. - O, to właśnie, odkrył ksiądz swój groszowy rozum.

- No dajmy pokój. Sił mi brak. Nazywa pan ludzi złoczyńcami, ale nazywa ich pan po to, żeby postępować 142

z nimi jak złoczyńca. Zarobiłeś pan sobie u kogoś podłego na prawo pogardzania innymi. Należy więc dążyć do zupełnego zapomnienia o samym sobie, należy unicestwić w sobie żądzę istnienia. Tak? - Spokojne słowa.

- Och, jest pan niewzruszony jak bezmulista głębia.

- Też do luftu.

- Suma naszych przeszłych czynów decyduje o naszym dalszym życiu i dalszych czynach. Przed skutkiem naszych dotychczasowych złych czynów ująć nie możemy. - Nie ma, księżulku, filozofii, metafizyki, etyki. Nie ma nic - krom ruchu i przemiany, krom tego kołowrotu śmierci i życia, co jest jedno i to samo. Bo niech ksiądz pomyśli: kto jest - albo i był - powiernikiem i świadkiem miłości? Jawor. A ruta jest godłem cnoty dziewczęcej. A nie jakaś tam etyka. Coś powymyślali, chyba żeby zgadnąć było trudniej. - Może racja - powiedział Bańczycki.

- Tak. Bo albo niech ksiądz pomyśli: aby się dobrze ogórki udały, trzeba je dwadzieścia cztery godziny przed wysianiem moczyć w mleku! - Może racja, panie Gail. Bo na przykład takie boże poszycie. - Co boże poszycie?

- Chyba po prostu. Czupryna na przykład - to też by miała jakiś sens. - Jo.

- Wianeczek weszek za pazuchą. No nie?
- Jo.
- Ech, panie Gail, ruszyli z kopyta...
- Co?
- Ruszyli z kopyta. Czas chwycić szturmaka i strzelić siekańcami.
- A wie ksiądz co? Przydałoby się na księdza taka poskramiaczka. Takie ryms w mordę. 143

- Nu, krew, odwal.
- Co, wariat! Czy można taką okazję rzucać? - Gail rozłożył ręce, przywarł piersią do piersi Bańczyckiego. - Panie Gail - ksiądz odsunął gościa kułakiem - co się składa na szpicla? Co jest ekranem szpicla? Czy dudławy ząb? - Aha, tędy księżulo podjeżdża.
- Co? Historia powszechna, biologia, socjologia, dziedzictwo, kryminał czy wreszcie wychowanie? - Konstrukcja świata. Przydałoby się tobie, księżulku, tęgie mordopranie w jakimś kryminale, tobyśmy dopiero wiedzieli. - A ja ci powiem teraz, ty mój szpicelku - ksiądz pchnął ręką do kieszeni i czymś tam poruszał - ja ci powiem. Konstrukcja tego świata to hołodrygi, gestapusie, niedoskrobki i tak dalej, niech już nie powiem, bo mnie krew zalewa! - Ja sam wiem. Ja sam siebie uważam za nic niewartego. Do niczego, jak rozebrany piec... Niech ksiądz zrozumie, że życie nie może przebiegać tu nam w nieustannej walce przez tego jewreja. Trzeba trochę spokojnie pożyć. - To znaczy co? Czy żeby idąc na przykład przez Szabasową był pan pewien, że widok zabitych tam ludzi nie wzruszy pana do głębi, a z kolei nie wpłynie niekorzystnie na sekretne działanie Umfy czy jak to się tam nazywa? - Ha! Ksiądz ma dziwny sposób wygłupiania się i spytywania człowieka z rozumu.
- Jak pan widzi, tak pan sądzi.
- Nie. Tylko dziwię się. Niech ksiądz rzuci do diabła to wszystko. - Ach, panie Gail! - krzyknął Bańczycki. - Urodził się pan chyba wczoraj. Nie był ani godziny w gimnazjum, ani chwili na uniwersytecie. - Przepraszam. Fakultet prawniczy mam. A zresztą... Wojna się przeciąga i jest już tak nudna jak nieudane 144 małżeństwo. Ciągnie się. Strzelają, wytryskuje z organizmów kupa krwi. - Walczycie.
- Pozwoli ksiądz, że usiądę jeszcze. Inflacja kłamstwa i bujdy w papierowych workach. Tak jakby nic. Wieczorami w radiu Bach wydzwania swoje tematy. Na piąterkach żołnierskie burdele, a gdzieniegdzie zza krat wyzierają oczy więźniów. - Kryminały nie mogą być puste!
- zastękał Bańczycki i spojrzał Gailowi w oczy. - O!
- Co - o?!
- Plebania księdza jest pusta. A zdałoby się w tym czasie coś sobie przyjednać. Tyle ładnych Żydówek włóczy się po lesie. - Chciałby pan mieć tu taki rabelebazjel. Co?
- No nie. Ale jest różnica. Nie wydzielamy księdzu jeszcze cukru w pudełeczku od zapalek. A parasza nie stoi w kącie. - Czy ja wiem.
- Są takie, wyobrażam sobie, uśmiechają się. Wiedzą, czego się spodziewać od rozporka w spodniach. - Och, jakiś ty mądry. Złodziej uczy psa tropicielstwa. Ja jestem jak pies, mam wszystko w nosie. - To mniej więcej trzeba tak rozumieć: nie ma dla księdza obczyzny w duchowym i przestrzennym znaczeniu. Czy tak? - To domyślaj się. Po co od razu wartościujesz. Pal go sześć. - Ja rozumiem. Ludzie dziś muszą tłumić swe namiętności. Ich kłopoty nie są już prywatne. Chytrze słuchają opowieści nieprawdopodobnych, kończących się wściekłą katastrofą. Każdy człowiek chce przeżyć swój los w tajemnicy. Ludzie wreszcie są tym, czego pragną potajemnie. 10 - Czarny potok
145

- Ja się nie wywnętrzam. Gdyby przyszło do strzału, to to właśnie gdzieś ktoś nazwałby wściekłą katastrofą na plebanii w Huciskach. Zastanawiam się właśnie, gdzie pana powiesimy. - Dlaczego będziecie mnie wieszać?

- Dla ciekawości. Zapytam pana: jak długo może biec kobieta z dwojgiem dzieci na rękę? - Po co biec?

- Uciekać przed śmiercią. A za kobietą gonią zdrowi parobcy w mazepinkach. Przystają i spod pachy pluja kulami w plecy. Błysk strzału i kobieta pada z dziećmi na zaskrudloną ziemię. - Ksiądz jest człowiekiem, ze mną tak nie postąpi.

- Co ty wiesz o człowieku. Nikt nic nie wie o człowieku. Każdy puszcza z gęby banialuki, które mogłyby go uchronić. Powiedzmy sobie otwarcie: ty jesteś szpicel. I już. Chaotyczny moralnie, rzeszotowaty w sumieniu. Gail jeszcze coś tam napomknął o bombach w Londynie i podszedł do drzwi na tych jakby nigdy nie smarowanych nogach, zdawało się, że skwierczą, zapalone w podeszwach. Bańczycki mógł strzelić. Nawet jakby się przyglądał śmierci szpicla. Głucha zima. Radośnie, kiedy między zasypane śniegiem drzewa na słonecznych patyczkach siadają ptaszki. A tu ślad powłózonego... - Słuchaj pan! - zaryczał Bańczycki. - Kiedy oglądasz przedmioty twego dziecka, ściska ci się serce. Oto widzisz je, słyszysz głos, wpatrujesz się w jego czarne, połyskliwe oczy. Cirla też miała syna. Nie wiem, czy to ty, ale na pewno ktoś z tego waszego kripo biegł za jej kilkuletnim synem. Gonił przez zamrożone sady. Dogonił i zdarł czerwony kożuszek. Doprowadził pod krzaki. Dziecko przysłoniło rączkami oczy. Strzał rozerwał głowę. Dziecko jeszcze biegło tyłem, jakby je ktoś zderzył mocno po czole. I upadło, takie malutkie, że 146

na śniegu już nic nie widać. Ja wiem... On, ten człowiek dorosły, wszedł z tym kożuskiem do Hanczarki i patefonem zagłuszał sumienie. Paliło go światło dzienne, dlatego wdział potem na łeb stalowy hełm ze swastyką i czarne okulary. - I właśnie, niechby księżulko wysunął kula, żeby mu pogrozić, wsadziłby bez wahania ołowiankę pod płuca. Płułby ksiądz krwią, szukał ciężkimi rękami płotu i rybimi oczyma straszylby najbliższych. - Jezusie Nazareński! Kto rządzi tym światem?

- Stukanina.

- Powiada pan.

- Stukanina. Sam ksiądz chce mnie stuknąć jak psa.

- Tak. Tobie się trza zastanowić. Która godzina? Powiedz pan jeszcze, która godzina. Zależy mi na tym. Chciałoby się jeszcze z kimś naradzić. Bo to podobno, jak się kogoś zabije - to tak jakby się siebie już zabiło. - Dobrze. Zobaczymy, kto mocniejszy - członek kripo czy dobrodziej z Hucisk. - Ach, panie szpicelku. A chyba pan widział starego Buchsbauma, jak leżał goły pod chmurnym niebem, wąsami do ziemi. Wiatr szarpał resztkami koszuli na wydolkowa-nych plecach, w nieckowatym zagłębieniu stała krwawica. Obok dwie pajdy żarnowego chleba, cebula i kij wyglansowany twardą skulą. - Tak, widziałem. Robota Kurdiuka.

- A na grudach zmarzłej oziminy rozwalona dziewczyna. Ona u was służyła. Jeden warkocz na ustach wydętych przestrzałem, studzieninowate oko. Podszyte na stopach pończochy, w garściach ziemia mimo mrozu. A na lewo mama rodzicielka, naga, ze strzępem odzienia na jednej nodze. - Przypominam. Teitelbaum wówczas, korzystając ze spokoju na szosie, zmykał przysiadłym truchtem w pole. i o*

147

Patrol go zlometował i palił do niego pojedynczymi strzałami. Kucał kosiasto, dopadł lasu i zniknął w czerni. Bańczycki podszedł do okna, otworzył je i krzyknął w ciemność: - Wąskopyski!!!

O ciemnym już zmierzchu, w kupie słomy za piecem, umierała dziewczyna postrzelona w wątrobę. Słyszał było bulgot z jej gardła, ręka czepiała się pustego wiadra, skwierczały

paznokcie, jakby ktoś plewę z blachy wybierał. Kierasiński, ten świeżo przybyły do bandy Chuny Szaji uciekinier z obozu w Bełżcu, postękiwał na środku izby. - Co ty tam robisz? - spytał Szerucki.

- Znalazłem tu knot z rozbitej lampy.

- No i co?

- To ja tym knotem smaruję przyszwę, nie będą piły wilgoci. - Ona jednak umiera - powiedział Szerucki z ciemności.

- Ale by tam?

- Ano posłuchaj, jak ona oddycha. No posłuchaj...

- Ty zrób jej sztuczne oddychanie, to czasem bardzo skutkuje. Tylko nie rozduś śledziony. Słychać było, jak Szerucki przesypuje słomę, a chora pyta cichym szeptem: - Wo bin ich?

- Co? - pyta Kierasiński.

- Wo bin ich?

- Masz ty, Szerucki, zapałki? - spytałem.

- Zamokły moje zapałki, do gaci na mnie wszystko zamokło. 149

- Też jołopa z ciebie kawałek. Dałeś zapałkom zamoknąć.

- Nach Hause will ich.

- Co ona mówi? - spytał Kierasiński.

- Ty nie cokaj nad chorą - mówił Szerucki - kucnij tu, bliżej, i pomacaj suchą ręką jej czoła. Zachręściła słomą, stuknęły kolana i nastała cisza, jakby wszystko zostało zabite obuchem siekiery. Przed chałupą zachlapały kroki, ktoś niecierpliwie szukał klamki. Kierasiński podszedł do progu.

- Kto tam?

- Dudi.

- Puść go - powiedział Szerucki - to nasz, jego Hitler do szczęścia potrzebuje. Kierasiński uderzył rygielek, drzwi odskoczyły.

- Co tam się stało, że ty sam, Dudi? Co?

- Latadywan posłał mnie tu.

- I co powiedział?

- Żeby uciekać.

- A Latadywan gdzie jest teraz?

- On leży.

- Gdzie?

- U Sitwy, bo on dostał dwie kulki.

- Przypadkowo czy jak?

- Strzelali, to on dostał.

- Za mało jest ostrożny ten kutas marynowany. Zostaniesz z nami, gorzej ci nie będzie. - Ty spytaj jego, kto strzelał i ilu ich było - powiada Kierasiński. - Gdzie to was nakryli w taki deszcz?

- Co?

- Gdzie wyście byli, Dudi?

- W krzakach za Podlaskami.

- To jest całkiem w porządku, to ja już wiem, dlaczego was tam nakryli. Latadywan nie widział Hocha przez długi 150

czas, bo przedtem córka jego przynosiła jemu codziennie wiadomości, że jest bardzo kiepsko, bo i zachorował, i coraz bardziej jakaś banda nastawała na jego dolary zaszyte w rudej bekieszy. Ty coś wiesz o Hochu, on coś tobie mówił, Dudi? - Nie.

- Pewnie, ta ty dziecko jesteś. Och, by go krew zalała z takim światem. - Głodny musisz być, Dudi, a my też dziś nic nie jedli, aż głowa boli. Tymczasem chora podniosła się jeszcze,

przebiegła do okna, za którym widać było dogasający w zakisie deszczowym daleki pożar. Zamajaczona głowa przesunęła się na szybie i dziewczyna upadła ciężko jak worek rozdęty mokrymi polanami. Wiatr rzucał drzwiami pustego chlewa, a one, wracając na swoje miejsce, piszczwały w zawiasach jak studnia przy ruchliwej drodze. - Zaświeć, Szerucki, bo ona teraz już na pewno umarła, a to tak po omacku rozpoznać się nam nie uda. Zostawić ją tu żywą, taką na pół? - Dwie zapalki są w pudełku i to wielkie ryzyko, czy się która zapali. - A gdzie ty je trzymasz?

- Pod pazuchą.

- Wilgotno musi być pod pazuchą, bo ty się denerwujesz.

- Nic ja się nie denerwuję. Pomóż mi, przeniesiemy ją na słomę, niech nie stygnie na tej glinie. Tak powoli, podasz mi rękę pod jej nogami. - Tak, to ona już umarła.

- Czyżby?

- No tak, to się czuje. Ty nie graj wariata, Szerucki. Bardzo widać żałujesz za nią, jakby ona twoja była. - Ani moja, ani twoja. Ona nasza była.

- Ciekawe by wiedzieć, co to za dziewczyna. Przesiedzieliby my tu do rana, obmacali jej łachy, może jakieś 151

dokumenty ma zaszyte. Na pewno coś koło siebie ma, może szkaplerz albo coś takiego do rozpoznania. - Szkaplerza ona nie ma, bo ona Żydówka.

- Co z tego, że ona Żydówka. Mogła udawać katoliczkę ze szkaplerzem, bo krzyżyk to gorzej, jeszcze złoty. Łubudu Żydówkę w łeb, a złoty krzyżyk do kieszeni. A co szkaplerz szmaciany, czuć go śmiertelnymi potami tropionego człowieka. - Nie zostaniemy tu do rana. Ruszyć trzeba zaraz. Chałupę podpalimy, ona też się spali, lepsze to, jakby ją psy miały rozwłóczyć po leśnych ścieżkach. - Szerucki!

- Co?

- A pierścionek ona ma na ręce?

- Ahaaaa - powiedział Szerucki - to już ja jestem w domu. Już ja wiem, co ty za jeden. - A co ty myślisz, Szerucki, że za oknem gołębie gruchają i słońce na przedpołudniu? Pierścionek dałbyś temu małemu Dudi i on by go od śmierci oddalił. - Ty mnie nie nabieraj, Kierasiński. Niech ona ze swoim pierścionkiem zostanie. Umarły to już prawie święty. Dokumentów można poszukać, odczytać, co ona za jedna i z jakiego kraju. Latadywan zapisuje takie wypadki. - Dokumenty, powiadam tobie, nikomu nie zwrócą uśmiechu na twarzy. Pomacaj, powiadam, jak jest, to ściągnij. Pierścionek przyda się Dudi, on wyszedł na ten czarny świat bez pieniędzy i doświadczenia. A o święto-ściach to ty zwracaj komu innemu głowę. - Szanuj sam siebie, Kierasiński. Ty mi się nie podobasz, chyba przybyłeś do Chuny Szaji na prowokatora. Żaden twój interes mieszać się do naszej roboty. Można ciebie uważać od dziś za prowokatora. Ja to powiem Chunie Szaji, a Wąskopyski strzeli ci w łeb, że ci oczy wyskoczą. - Uspokój się, Szerucki. Nie przystawiaj mi lufy do piersi. Ja ci udowodnię swoją śmiercią, że ja nie jestem 152

prowokator. Zabierz umarłej pierścionek, czyli uratuj życie tego małego Żydka. On nie da rady biegać po błocie i zgubi się któreś czarnej nocy. Sam mówiłeś, że Sitwa chętnie za pierścionek przetrzyma go u siebie tydzień, dwa. Może Hitler skręci łeb za ten czas.

Tajniaków ubędzie, zazieleni się las, podsuniemy się bliżej nadziei. - Zdaje się, żeś ty zwariował. Tydzień jesteś z nami i już się ciebie to czepiło. - A ty chcesz być sławny z uczciwości. Co komu z twojej sławy, jak ty w innych książkach zapisany. - W jakich książkach?

- W policyjnych. W jednej zapisali: Kuba Szerucki - bandyta. W drugiej: Kuba Szerucki - sowiecki dywersant. W trzeciej - szabesgoj, chuligan, wywiadowca bandy Chuny Szaji. Są znowu tacy, że mają na ciebie chrapa, bo ty wiesz coś o tym Hochu i jego rudej bekieszy z dolarami. Powieszą ciebie któregoś dnia bojowcy z galicyjskiej dywizji i naspędzają ludzi ze

spalonych Podlasków, Zalesia, Hucisk i nakażą wymaćścić po śmierci kijami: "To jego sprawka, sukinkota, że wasze wsie zetlały do celca." Taka to będzie twoja sława. Chcesz mieć krótkowidzącą pochwałę twych ludzi. Pomóż Dudi pierścionkiem umarłej dziewczyny, kiedy on tonie, nie szep taj jemu pieśni do ucha. - Aha, nagadałeś jak odpustowa mytka. Breszesz, człowieku, ja zapisany jestem w książce Chuny Szaji i nikt mnie nie wyraderkuje. Twoja prawda w sieni stoi i długi ogon ma. Jęczałeś przed Chaimem, żeś uciekł z transportu bełżeckiego, żeś Żyd tomaszowski. A to nieprawda, ty jesteś... cholera wie, co ty jesteś! Glizda jakaś. Odejdź, bo cię kropnę, nim kto nadejdzie. Czego ty siebie nazwałeś Kierasiński?

- A dlaczego ten tam nazywa się Latadywan?

- Na co to tobie wiedzieć? To nasza sprawa. Ty mnie nie badaj, Kierasiński, nic się nie dowiesz, i nie zgrzytaj zębami jak przez sen. On się musi nazywać Latadywan, bo on nie jest podobny do Żyda. 153

- Ja też nie.

- Tego to ja nie wiem na pewno. Zrobimy kiedyś wizytę w twoim rozporku. - Hę, hę, hę. Co ty tam robisz? Ściągasz co?

- Nie spytuj człowieka z rozumu.

- To dlaczego nie przestaniesz grzebać się w słomie?

- Nie, ja nakrywam ją słomą, a potem to się podpali.

- No niech będzie, jak uważasz. Dudi, stań w progu i słuchaj, czy tam kto nie podchodzi. -

Czego ty wysyłasz dziecko na próg? Zostań, Dudi - powiedziałem - nic nie słuchaj, co on mówi. Usiądź sobie i nakryj się kocem tej dziewczyny. Ona tu miała pod sobą taki koc. Weź i złóż go w ćwiartkę, nakryj plecy, kark. Ja to wszystko zaraz podpalę, nagrzejemy się i pójdziemy. Kierasiński milcząc wyszedł do sieni. Pod oknami zachlapało kilka kroków, zatrzeszczała podeszwa na kamiennym progu. - Kto?

- Ja, Chaim. To ty, Szerucki?

- Ja tu jestem. Chodź do środka. Poświecisz, może poznasz, kto to jest ta umarła. - Kto to za tobą stoi?

- Dudi. On pójdzie z nami. Trzeba, żeby z nami szedł, bo Latadywana ktoś dzisiaj położył. We wsi już nie ma nikogo. Chaim oświecił latarką wszystkie kąty izby, a potem kupę słomy, spod której sterczały na chałupę białe nogi umarłej dziewczyny. Dudi stał skulony za Kubą, bez czapki, nos miał nabrzmiął i zalepiony zakrzepłą krwią. - Odgarnij słomę z jej twarzy - powiada Chaim. - To jest Lula Heim! Latadywan wie wszystko o niej. Lula Heim, na pewno ona. Ty znasz drogę do Sitwy? Chciałbym bardzo jeszcze tej nocy tam być. Trzeba zająć się Latadywanem. Odniesiemy go do grupy Czaczkesa. - Gaś! Albo nie! Poświeć tu jeszcze na jej lewą rękę.

154

- Tak, ona musiała być bardzo bogata dziewczyna. Proszę ciebie, Szerucki, musimy iść nie zwlekając. Wy macie już jaką broń? - Chaim puścił światło na brzuch Kierasińskiego, który rozłożył szeroko palce obu rąk. - To czego ty, nadziejo ludzi, jesteś jeszcze nie uzbrojony? - Nie udał się - powiedział Szerucki.

- Kto nie udał się?

- A ten cały Kierasiński.

- Rzeczywiście tak myślisz? Staraj się go pokrzepiać, może on złamany albo nie przywykły jeszcze do naszej bandy. Może on sobie jeszcze nie nakorygował wszystkiego, co trzeba w tych warunkach. To się tylko tak łatwo mówi: "Przystałem do bandy."

- Ty masz zapalki, Chaim? Chcę to wszystko podpalić. Ja nie lubię teraz chałup stojących samotnie w polu. Niebezpieczne zasiadki z żandarmami. No nie? - Rób, jak uważasz.

Idziemy, moi kochani. I wypadło iść w drogę przed samą północą, a deszcz bił w lutową ziemię nieustannie i ciemno było jak w przepaści, tylko nad Szabasową trzęsła się kałuża

ognia. Gdzieś daleko, jakby za lasem Trójnoga, popruwał seriami karabin. Szerucki podpalił słomę, w której dokonała swego ta biedna dziewczyna, i wszyscy szybko wyszliśmy w ciemność tego świata. Nie można było zmierzyć ani wzrokiem, ani słuchem, co tam jest przed nami w tej ciemności. Idziemy nabojem między, nogi nasze wytupują, czasem klaszczą, jakby pięciu młóciło. Obok stoi las, cichy i tępy, do trumien podobny, w lukach szmatki niedobrej przestrzeni. Całe zbocze za nami majaczeje od pożaru, w którym spala się dziewczyna. Nad nami samolot dzwoniąc poleciał na wschód. I znowu słysząc tylko nasze kroki, drobne i uparte, słysząc, że Dudi kuleje: pa-tich, pa-tich. Żle - myślę ja sobie - on daleko nie zajdzie. Kobyla drogi przed nami. Nie myśl, człowieku, że to zaraz będzie koniec. Dla nas chyba nie będzie końca dzisiejszej nocy. Musimy to 155

odwalić, inaczej zasrana mogiła nakryta darninką. Dodaję otuchy Dudi, pytam: - Nu, jak tam? Bardzo naszmulalo tobie nogi? Co? Ty nawet nie chcesz odpowiedzieć? Nic, Dudi. My dojdziemy do Sapisk, tam wypoczniemy, coś sobie zjemy dobrego i tłustego. Tam, zdaje się, twój ojciec koczuje, my tam jego spotkamy, to ci dopiero będzie radość! A jakby przyszło uciekać od kuli? Co? Jak tylko my jaki rewolwer złapiemy, to trzeba będzie ciebie uzbroić - powiadam, ale nikt się nie śmieje, nikt nie dowcipkuje. Zmęczeni nędzą, milczymy. Może tam który pogestykuje oczyma albo ustami, nic więcej. Wyszliśmy zasapani na wysoką szkarpę, ciągnąc za Sze-ruckim, który znał dobrze każde wgłębienie gruntu. Z tej szkarpy widać było na południu, od strony Taleśni, skaczące robaczki pocisków w czarnym zamazaniu. Nie widać twarzy coraz bardziej zbolących, przepalonych i zmienionych na psio-borsucze, kułaki potnieją w zaciskach. Snują się wspomnienia, myśl idzie do tyłu, wywołuje zabitych, w ciasnocie ścian zaułków Szabasowej przemykają się znajomi, wieki i pokolenia za nimi, jak w jaskini przepełnionej wrzawą jęków i przekleństw, w zaułkach zaludnionych pomordowanymi i zgają rabusiów włóczących się po długich korytarzach kahału, krzyki dzieci zabijanych w betonie mykwy. I gdy dowlekasz się w głębinę, coraz to gęstsza historia twego miasteczka - oto twarz dziada wychyla się rankiem, oto ręce spracowane dotykają śliskiej i zimnej jeszcze powierzchni ziemi, przegamia garść za garścią chleba powszedniego i zmieszany gwar kobiet przy mazołtof, i zapomniawszy się - pieśń dochodzi: Jedzie, jeee-dzie Żyd ubogi, Siana ni ma, owies drogi...

Chłód za chłodem, troska po trosce i dzieci nie ubrane na zimę. Za długa droga na jesienne popołudnie, dziad Chaima wraca z woreczkiem przedziwa do chałupy, wszedłszy pró-156 buje połapać w ciemności. Dzieci i żona pogrążone są w cieniu. Ckliwe wspomnienia spadają bez wysiłku jak dojrzałe owoce, niektóre przygniatają ciężko. Tońka ciągle stoi za firanką z włosami zaplecionymi w jeden warkocz; gorzko się uśmiecha. "No i co, Tońka?" "Piękna letnia pogoda" - odpowiada ona. Pieśń po pieśni... Jedzie, jeeeedzie, koń mu zdycha, A on za nim wóz popycha... Świeczki, płonące w pewnych odstępach czasu, rzucają krótkie smugi światła na niektóre osoby i miejsca - w kwadracie śnieżnym szybko przekiwiał się wodonosz, żeby zdążyć na szabas. A niebo grudniowe wypina się różowawo jak bania zasypiana solą, mróz ściska od pięt po rzęsy. Tłoczą się grupy cieni na modlitwę wieczorną, w uliczkach jest ciemno, trzeba macać rękoma i przed świtem macając w ciemności ludzie idą na roraty - ach, ty diable rogaty. Minęliśmy las Trójnoga i znowu do góry rozmokłą na kłajster ścieżyną zapychamy wśród nie domarzłej paproci na wierzchołek Tatara. Kierasieński wziął Dudi na barana. Deszcz szepcze dokoła, stoją po polach kałuże, widać za łuną daleką i szeroką jak sina wyspa dolinę. A myśmy szli, żeby zdążyć za noc do Sitwy. Ciężka klejka ziemia czepiała się butów, ciągle z ukosa siekł deszcz. Szliśmy jeden za drugim w milczeniu. Droga, którą wybrał Szerucki, była ciężka, zbocza miodoborskie rozkisłe do dna zimową martwotą. Przez most koło młyna czołgamy się na kłęczkach. Skroś klekotu słysząc krzyk w naszą stronę i strzał z otrieza. Kula zafurdziła jak z katapuli. Zsuwamy się za nasyp i biegniemy długi kilometr. Jeszcze dwa razy wypala za nami ucięty karabin i doleciały rozszechkane psy.

Zbieramy się w krzakach, dobiega Kierasieński z Dudim na plecach i dyszy ciężko, jak zadławiony. Zrywa się wiatr i świszczy nam teraz prosto w twarz, tak że chwiejemy się, posuwamy 157

się drobnym kroczeniem pod górę. Płaczą nogami w szkółce sośniny, w butach woda, kałony przylepiły się do ciała. - Zmora choleryczna - szepcze Chaim.

- Ten młyn trzeba będzie spalić. No nie?

- Myślisz, że to zaskadka?

- Deszcz zapędził ich do młyna, spóźnili się o włos. Już byśmy, bracie, zasypiali na błocie. - Myślisz, że sprawka Ciszki?

- Jeszcze jak! Co ty widzisz, Chaim, przez te swoje oczy? Ty nic nie widzisz, co się koło ciebie dzieje. - A ty próbujesz oddać słowami prześladowającego ciebie potwora Ciszkę i serce ci ucieka do spodni... Trzeba go złapać i zabić. Uważam, że to jest najpilniejsza sprawa. - Ty go widziałeś, Chaim?

- Nigdy go nie widziałem, chciałbym.

- No to zobaczysz - powiedział Szerucki, a po chwili - ja tobie tego serca w spodniach nie daruję. - No to co, że nie darujesz?

- Ja ci udowodnię, że za tydzień już nie będzie tego Ciszki. Tak - ciągnął Szerucki - chcę tobie udowodnić. Jestem twardy. Jeszcze jak byłem małym chłopcem, to już byłem twardy. Bo ja chciałem być takim. Myślałem, żeby być twardym, żeby się nie dać usunąć ze świata. Bo ty wiesz, Chaim, że człowieka zawsze chcą usunąć ze świata, za drabinę, wszystkimi sposobami. Jeszcze tego Kierasieńskiego zbadam. Chyba Szaja musi zdecydować, co z tym złotym ptaszkiem zrobić. - No, jak uważasz. Można się pomylić... Szliśmy godzinę gęstymi zaroślami, minęli leśne zmarszczone jezioro. Nad ranem ścisnął biały przymrozek, gdzieś daleko piał koguty, naszczekiwały psy, potem zarudział świt. Po czarnej oziminy biegły zajęczaki, stębnował się nad nimi kaczy świat. Kiedy mijaliśmy czarny szkielet spalonej gajówki, rozdarł powietrze czyjś straszny krzyk: 158

- Chunezka!!! - wołała kobieta.

- To Cirla - powiedział Szerucki.

Idziemy, a za nami wodnista i lodowata świeżość niesie krzyk oszalałej Cirla. W tym wyleciałym krajobrazie nie ma Chunezka, już nic nie ma, prócz bandy szpiclów tropiących brylant Bemsteina i rudą bekieszę Hocha z zaszytymi dolarami, prócz kilkorga dzieci włóczących się z psem i bandy Chy Szaja, która dusi tajniaków i prowokatorów. Na wiosnę wyjdzie załajnione bydło na mokre pastwisko, Cirla, nakryta workiem, zacznie szukać wśród pastuszków swego Chunezka. Ach, rajska buczyn, gaju stunogi! Cienki, rudawy świt poszerzał się nad mętym pagórkiem chmury, pod którą, na prawo, dogasała luna, ale nie było jaśniej koło nas, ciągle wisiało czarne sukno na oczach i łzały powieki. - Chy wie, że Cirla już zwariowała?

- A cóż on może poradzić, że tak się z nią stało? Nic. No, dalej, Chaim, nie ustawaj w marszu - powiedziałem. I znowu szliśmy godzinę szczerym polem, w bezmiarze cisnącej się do ust i nosa mgły. I szliśmy dalej w ciemne pola. Śnieżne chmury zapchały świat i niejasno było widać na niebie coś podobnego do konia siwego z gołębiami albo jakieś litery pociemniałe już ze starości, albo mur z czarnego kamienia. Tu znowu równina, jakbyś patrzył na nią z wysokiego okna, i na tej równinie naród z rozpaczą wyciągał ramiona do czegoś wielkiego. Przybyliśmy na rozstajne drogi: lewa szła na Tałesnie, prawa do Sitwy. - Stoi tu figura? - pyta Chaim.

- Tak. To figura. To święta Anna.

- Skąd ty wiesz, że to święta Anna?

- A bo myśmy tu pod tą figurą zakopali Wasieńską. Ktoś potem postawił tu dwa wazony z gilz armatnich, a w nich trochę jęczmienia i owsa z centurią. 159

Idąc Chaim zaczął przypominać sobie:

...Tak, słyhać było, jak Klara szła po drabinie, jak przekręcała jakąś deskę. Wprowadziła go do małej izby z niskim pułapem, ściętym ukośnie przez pochyłość dachu, oświetloną małą szparką w podłodze. - Co, głowa ci się kręci? - pytała Klara.

- Nie, wcale nie, tylko mi tak wszystko staje w pamięci. Ty przecież na tym poddaszu leżałaś chora, ja ciebie odwiedzałem w tajemnicy. - Żebyś ty był wiedział, jak ja ciebie kochałam i nic nie mówiłam o tym. Panie doktorze Chaim. Jakaż ja wtedy byłam młoda dziewczyna! Niech pan tu spokojnie mieszka, będę pana odwiedzała. I poprzez łzy twarz jej rozjaśniła się dziewczęcym uśmiechem. Uścisnąłem ją wzruszony. Chwilę staliśmy tuląc się do siebie. - A ty, Klaruniu, co będziesz robiła?

- Będę pracowała, będę pana utrzymywała.

- Śmieszny człowiek jesteś, Klaruniu. Gdzie zarobisz?

- Jak to?

- No, tak... gdzie zarobisz?

A potem Klara przewiozła go pod plandeką na kartoflach do Hucisk, sama szła w ciemności przy końskich głowach, był chory na tyfus, deszcz bił, trzeszczała w uszach gorączka. -

Czegoś ty go tu przywiozła? - oburzył się Wąsko-pyski.

- A gdzie jest twoja obietnica?

- Co znaczy moja obietnica... spaliła się tej nocy. On chory, zdechnie ci jak pies pod gołym niebem. Klara zamilkła zmieszana, stała bez ruchu koło mnie. - Chodź ze mną - powiedział Wąskopyski i poszli gdzieś na lewo od drogi wiodącej z Hucisk do Tatara. Tam za rozkiszłym w deszczu pagórkiem widać było kościół pokryty czerwoną dachówką, dokoła stare lipy...

160

- Toś ty wówczas, Szerucki, podniósł plandekę?

- Żał mi się ciebie zrobiło.

- Fajna dziewczyna. Ona robi wszystko, co będzie w jej mocy - powiedział Chaim. - Twoja twarz wydała mi się straszna, zsiadana zaniepokojeniem i lękiem, surowa i gorzka jak korzeń zamazany oliwą. - Zabiliśmy świnię tej nocy, to może być, że ja tak wyglądałem. Chuni goił mnie nożyczkami - odparł Szerucki. - Ty byłeś jeszcze wtedy gaduła. Nie patrząc na mnie, wciąż bacznie uważając na drogę, zacząłeś opowiadać mi, że masz już trzydzieści lat, że się nazywasz Kuba, żeś był koniowodem u Czackiesa, potem stolarzem, potem policja miała z tobą dużo ambarasu. Wygłosiłeś dużo słów pochwalnych na cześć Chuni Szaji, twego przyjaciela od lat dziecińczych. Mówiłeś o nim jak o wiernym stworzeniu. "Ty Żyd jesteś?" - pytałeś. - "Tak." "Na której ulicy mieszkałeś?" "Brandona." "Aaaaa, to ja już wiem - powiedziałeś. - Twój ojciec beczki robił, żeby ciebie wyuczyć na lekarza. To był spokojny człowiek, spokojnie i powoli chodził, spokojnie mówił, palił i jadł. Pił dużo. Tak, on pił dużo, rzadka rzecz u Żyda, żeby pił dużo. Ściągał kłody dębowe do warsztatu i tam rozcinał je na klepki, szmulał całymi dniami ręką owiniętą w kostce rzemieniem. Był krwisty i rumiany. Do nikogo nie odezwał się słowem. Ale matka twoja to była pyskata. żMego Chaima dziewczęta nie lubią» - mówiła twoja matka do Amsteinowej i pomagała jej w kuchni, bo twój ojciec już nie żył. żTwój Chaim nie należy do ładnych chłopców, jest dziobaty, za takimi dziewczęta nie uganiają.» żAle ta, do której on się przywiąże...»" Los mój zaczął ją niepokoić - ciągnął Chaim. - Pytała się sama siebie, co ze mną będzie, jak jej nie stanie. Pragnęła żeby już jakieś inne serce wzięło mnie w opiekę. "A ta dziewczyna, która ciebie przywiozła tutaj? Co to za dziewczyna?" - pytałeś. 11 - Czarny potok

161

Kiedyś, to było tamtego lata, przechodziłem przez cmentarz w Szabasowej, żeby się dowiedzieć, kto ocalał po pierwszej rzezi. Szedł za mną Wąskopyski. Tam w krzakach

spotkaliśmy tę dziewczynę. Stała z kilkorgiem dzieci. To było koło drugiej, trzeciej nad ranem, przemoczeni, zabłoceni, zmordowani zatrzymaliśmy się, żeby odsapnąć. Wąskopyski poświecił latarką i zobaczył te skupione dzieci koło dziewczyny. Na światło rozbiegło się to wszystko, poczołgało niepewnie w ciemność. A Klara pod drzewem, wśród ciszy nocnej, nasłuchiwała, co będzie dalej. Wąskopyski musiał kiedyś znać jakąś dziewczynę o imieniu Tońka. Nigdy mi nie wspominał o niej, lecz zawsze w takich momentach stawiała mu ona w pamięci. Szukał jej wszędzie, szukał w tym zaciemnionym świecie. "Tońka" - wyszeptał w ciemność.

Chrust zatrzeszczał i dziewczyna zbliżyła się do nas.

"Kto wy jesteście, gdzie idziecie?"

"Co słyhać w Szabasowej?"

"Tylko tam nie chodźcie, nie pokazujcie się."

"Dlaczego?"

"Żandarmi są na Podcmentamej, zabijają. Bylibyście głupcy dać się złapać." Z Szabasowej leciał gwar, wyły samochody, śliskimi ścieżynami cmentarza uciekali ludzie. Chwilami traciłem z oczu wszystko w ciemnościach. Ludzie biegli, by jak najprędzej osiągnąć jakąś granicę i by prędzej z tym strasznym skończyć. Nie mogłem odróżnić ziemi od nieba. Gruchnęły strzały koło domku grabarza. Myśmy też wybiegli z cmentarza. Za murem ludzie zatrzymywali się, jakby nad jakąś ginącą otchłanią, dyszeli przez chwilę. Czepiając się rękoma płotu, ruszyliśmy na Stawki, i tam ciemność była zupełna. I przed nami urosły z ciemności dwie postacie w szerokich płaszczach. Zmieniliśmy kierunek i znowu na cmentarz, i ci jacyś nieznani biegli za nami, widać było sunące światło latarki, znaleźli jakiś jeden szamocący się

cień i padł strzał. Wzruszony i zalekniony biegłem za Wąskopyskim, obok mnie ta dziewczyna. Zatrzymaliśmy się daleko na ornej ziemi. Nad Szabasową zakwitła jasna luna. O szarym świecie przypatrzyliśmy się swoim twarzom. "Wytrzymasz z nami chodzić?" - zapytał Wąskopyski.

"Wytrzymam" - powiedziała.

"A jak ty się nazywasz?"

"Klara Wasicińska."

Klara mówiła bardzo mało, właściwie nikt nie umiałby powiedzieć, czy ona była wykształcona i co myśli o wszystkim. Stała obok nas nakryta workiem i zamyśliła się głęboko, jakby nagle życie w niej na chwilę zamarło. I coś tam się stało w tej dziewczynie. Wąskopyski miał oczy, których się nie zapomina, słowami można zamarkować wszystko, ale nie spojrzeniem. Klara była tą jedyną kobietą, którą kochałem po śmierci żony. Ona wiedziała, że życie składa się ze wszystkiego i wszystko jest w nim ważne. - Ja znalazłem przy niej list - powiedział Szerucki.

- I co ona pisała?

- Pożegnała ciebie.

Las rzedniał za Trójnogiem, na miedzy stały czarne, namoknięte lipy. Zdecydowaliśmy, że Szerucki pójdzie sam do Sitwy i zrobi wywiad. Jeżeli nie wydobędziemy Latady-wana przed świtem, będzie zgubiony. Kiedy Szerucki podszedł do chałupy Sitwy, niejasno świtało za lasem zieloną kreską. Z komina leciał wartko przegrzany dym, sypały się iskry. Okna ciemne, żeby nie ranić oka włączających się ludzi. Z przygotowaną bronią stanął na progu. - Kto tam? - wyszeptał ktoś za drzwiami.

- To ja, Szerucki.

- A co ty chciałeś?

- Latadywan jest u ciebie?

- Nie ma tu nikogo.

ir

- To ty, WitaUsa?
- Zabieraj się stąd! - krzyknęła za drzwiami kobieta.
- Ty stul mordę. Puść, bo inaczej źle będzie.
- Ty mnie chuchnij o tu, ty bandyto. Ty myślisz, że ja ciebie nie poznałam. Tylkoś krok postawił na progu, to ja poznałam, żeś bandyta. - Zraniłaś mnie, babo, głęboko. Nazwałaś mnie w takiej chwili bandytą, a ja taki, że ja bym tobie warkocze zaplatał. - Ty sobie zapleć, wiesz gdzie.
- Następnym razem to ty sama to zrobisz.
- Odejdź od drzwi!
- Czego ty się boisz?
- Niczego się nie boję, ale odejdź sobie w spokoju! Szerucki udał, że odchodzi, kucnął i słuchał. W sieni ktoś szeptał długo i niecierpliwie. - To ty, Szerucki? - zawołała chropawym altem Witali-sa Sitwa. - No tak, tyś mnie nie poznała?
- A co ty chciałaś?
- Mówiąc otwarcie: ty szmata jesteś. Czego nie chcesz puścić? - Abo?
- Otworzyć nie chcesz. No powiedz. Cóż to, ja bandyta?
- To ona ciebie nazwała.
- Ech, baby, was krew zaleje tu zaraz - ciągnął z rosnącym gniewem Szerucki - mam prawo wymagać, żebyś zaraz otworzyła. - Aj, jakie to wszystko niemądre, coś z gęby wypuścił. Ja z tobą zawsze się obchodziłam jak z człowiekiem i rada tobie zawsze. Tak się ze mną nie postępuje. Odejdź od drzwi i nie rób hałasu, bo to się źle skończy. Postępujesz dzisiaj ze mną tak, jakbyś rzucał chleb do śmieci... - Witalisa...
- Co?
- Odpowiesz na dwa pytania?

Gdzieś z głębi sieni słysząc dwa mlasknięcia, jakby ktoś masło wyciskał z wody. Szerucki odczekał trochę, chciał opanować złość. - Odpowiesz na dwa pytania?

- No?
- Gdzie jest Latadywan?
- A co się z nim stało?
- Dudi powiada, że on jest u ciebie.
- To nieprawda! Ja jego nie widziałam na oczy pół roku.
- A dasz coś zjeść, jest nas pięciu. Dasz?
- Rozpaliłam na chleb, będzie w południe. Szerucki przygryzł dolną wargę. Jaśniało na dworze. Odwrócił się w stronę stodoły, tam pod wrotami stał wóz z nie uprzątniętymi szorkami na dyszlu, na kołach świeżo nabrane błoto. Gdzieś blisko parskwały konie. Szerucki stanął koło furtki i nie ruszył się. Czarne sylwety zbliżały się. Zobaczył, że rozdzielają się, że chcą okrążyć zagrodę Sitwy. Jeszcze w sadzie nie było żadnego i Szerucki pobiegł tam, przystanął za drzewem i załadował świeży magazyn do mauzera i pobiegł dalej po czarnej, ośliszej roli. Postacie wynurzyły się z mgły, wyrzuciwszy karabin spod pach - przecinali mu drogę. "Zobaczyli mnie, Jezu kochany" - pomyślał Szerucki. Skręcił na prawo, potrzepując rękoma, biegł co pary w nogach wzdłuż rowu w podjeździe do Wilin. Słysząc było ludzkie głosy koło zagrody, czekały psy. Postanowił pełznąć tym rowem najdalej, jak się tylko da, i skoczyć w las, a potem to się już zobaczy, co będzie dalej. Na razie był pewny, że tu chodzi o jego życie, a z Latadywa-nem to już koniec prawie pewny. Zanurzony w krzaki postyszał za sobą parskanie końskie i szybkie, zduszone dudnienie. Ktoś blisko nadciągał po jego śladach. Szeruc-kiego jakby kleszczami szarpnęło po karku. Podleciał na koniu żandarm

i Kuba zaczął strzelać w niego. W naziębno-nej leśnej wilgoci z potrojonym echem głośno buchały strzały. 165

- No, to gorzej - powiedział Chaim - psia jego mać, to całkiem gorzej. Słuchać było z lasu trzaskanie z bergmana. Trzy, może cztery razy odpalił mauzer, i cisza. Kierasieńskiego ogarniało coraz większe podniecenie.

- Co pan myśli o tym? - zapytał.

- Pan, pan, pan, nie jestem pan. Musieli go rąbać. Podejdz tam ostrożnie. Gdyby coś zaszło, to spotkanie zrobimy na plebanii. Rozumiesz, Kierasieński - podejdz mniej więcej w to miejsce, gdzie strzelali. Ale nie idź tam na chybił trafił, nie daj się złapać. Ten Kierasieński to był potężny i zdrowy człowiek, bo ani marsze, ani głód, ani wszy i zimno nie zmogły go, ciągle jeszcze jego plecy były szerokie i cholewy napięte łydkami. Przez chwilę było widać Kierasieńskiego, szedł pochylony za krzakami i zbiegł szybko do jaru, z którego wystawały wierzchołki najwyższych drzew, obmyte deszczem, i kupa wron, bijących się w powietrzu nad tymi drzewami. Za chwilę wyszedł z jaru, ciągnął do zrębu skulony, jakby go kolka chwyciła. Podniosło się troszeczkę nad ziemią fioletowe słońce i ziemia na zboczach zaczęła parować żółtawym kozuszkim. Chaim z Dudim przesiedzieli w krzakach do zmierzchu, nikt nie wrócił. Bliżej i dalej, po zrębie i czarnym lesie czekały psy, palił strzał za strzałem. Wyruszyli o późnym zmierzchu. Chaim zmarzł, że aż mu wargi ściągnęło. Dudi, nakryty kocem Luli Heim, włókł się jak chory lub poderwany z ciężkiego snu. Do plebanii Bańczyckiego było siedem kilometrów, droga w roztopy, przez bagna po pas. - Uważnie idź za mną. Gdyby nas ktoś napadł, trzymaj się mnie z tyłu. A gdyby mnie zabili, to uciekaj, rzuciwszy koc biegnij bez wytchnienia do lasu w krzaki, schowaj się i śledź poruszenia tych, którzy ciebie tropią. Nie płacz 166

w razie czego, nie można robić takich niedorzeczności - powiedział Chaim, zapalił papierosa i szedł w milczeniu. Daleko na lewo w ciemności zawyły dwa krzyki kobiece i strzał. Na niebie i ziemi zakłębiła się biel, zaczął sypać śnieg, układając się w ścieżyny na bruzdach i pod miedzami. I wszystko to - opowiadał - przywodziło na pamięć jakieś obrazy z książek szkolnych: czerwoną latarkę budnika, łyżwiarzy z fioletowymi nosami, zjeżdżanie z pagórka na klepkach, starych skrzynkach i torbach ceratowych; przytulone pod śniegiem ciepłe chatki ze światłem szczęścia rodzinnego, iskierki Bożego Narodzenia, zmrok z dzwonkami. Szli w stronę plebanii, na wschód Huciska, borykając się ze śniegiem i wiatrem. Dolina rozmokła ostatnią odwilżą, nogi grzęzły w syczący torf. Chaim przystawał, słuchał, badał wzrokiem najbliższy kawał ziemi. Niewielka rozległość drżące pod nogami, a dalej zasnutej czernią ziemi - wszystko wydawało się potopem i że on i Dudi są jedynymi ludźmi pozostałymi przy życiu, a tam dalej nie ma nic. Wstrząsany dreszczem wziął rękę Dudi i rzekł do niego: - Nic, jakoś dojdziemy. - I nic prócz szumu wiatru, ni krzyku, ni strzału, ni światła, jak oko bliźną zamknięte na zawsze. Raptem, jak w strasznym śnie, postyszał za sobą prędkie kroki. Odwrócił się - a ten obcy był już blisko - olbrzymi mężczyzna. Szedł prędko, prawie biegł i mijał ich w ciemności. Chaim zawołał: - Kierasieński?

Ale ten człowiek nie odezwał się ani słowem, słuchać było ciężkie cmokanie jego kroków. Uciekał bez tchu albo chciał kogoś wyprzedzić. Chaim wydobył swoją parabelkę i strzelił, i słysząc było, że ten człowiek dalej biegnie. Późną nocą wyjaśniało od śniegu. Plebania stała cicha i martwa jak grób. Czarny otwór pustej stajni, żłób wywleczony na podwórze, sieczkarnia bez kół stojakiem do 167

góry i dużo rozwtóczonej słomy pod nogami. Chaim zapukał w szybę trzy razy po trzy. - To ty, Chaim? - słysząc, jak ksiądz kaszle i odsuwa coś ciężkiego sprzed drzwi w sieni. I kiedy jeszcze z ryglem nie mógł sobie dać rady w ciemności, mówił jakby do siebie: - Zaraz ty zobaczysz, co się stało w moim pokoju. Jak masz zapalki, to poświeć. W gruncie rzeczy ty

miałeś zawsze trochę racji, nie powinienem był go w ogóle wpuszczać do siebie, nigdy w życiu. Ja tu zostałem dzisiaj zupełnie sam na noc i nie wiem... ja ci powiem, co się ze mną dzieje. Cieszę się, że ty przynajmniej jesteś. To był ładny numer, tylko za ciężki na moje stargane zdrowie. Weszli do kuchni, w ciemności pachniał samogon i czuć było spalenizną, jakby ktoś z wieczora na rozpalonej kuchni suszył onuce. Dudi siadł ciężko na podłodze. - Jest co zjeść u ciebie? - zapytał Chaim.

- Jest. Wiesz, co tu się stało?

- Grozi nam coś?

- Na razie nic. Musisz się zgodzić, że i ja się już będę włączył z wami. Nie będę miał przed tobą żadnej tajemnicy. - Bo i na co? Daj coś zjeść, człowieku, jesteśmy znękani do granic. - Stoi w rurze jaglanka na mleku, nie tknięta, tak jak ją postawiłem, kiedy Gail przyszedł. - Był Gail?

- Był i już go nie ma. Koniec.

- Kto go sprzątnął? - zapytał Chaim, krojąc scyzorykiem zastygłą kaszę; podał kawał Dudi i sam zjadał łapczywie. - Umiał się bronić, nawet nie myślałem, że taki sprytny.

- Im większa kanalia, tym lepiej umie się bronić - rzekł Chaim, powściągając swoje zadowolenie. - Chuny dostał od niego nożem.

- Jednak Chuny dopiął swego.

168

- Chuny! On ściga ziemię, która mknie na wietrze! A te dzieci Hyndy Glas, wzięte pod zastaw za bezpieczeństwo Gaila? Co teraz te dzieci? - Uspokój się. Nie można się było wlec dalej z tym szpiclem na plecach. - Chętnie bym znikł lub zapadł się pod ziemię. To wszystko razem bardzo ponura rzecz - pędzić życie wśród rozdzierających krzyków mordowanych ludzi, przypatrywać się zamarzaniu dzieci z nagimi szyjami w śniegu. Nawet jak mi się tu teraz ptak pojawi na drzewie - śledzę go jak wroga, to wszystko zmusza mnie do podtrzymywania w sobie drętwej złości podejrzenia. Nie można tak żyć. Przykra perspektywa, raz na zawsze. - Zaroiło się koło ciebie teraz od niebezpieczeństwa i czynów walecznych. No nie? - Ale, Boże! - zastękał Bańczycki. - Jakże smutno jest parać się z tym wszystkim. Masz ty broń? - Mam. Dlaczego pytasz?

- Wącham sprawę, co z tego może wyniknąć w najbliższych godzinach. Dwa dni trwała rzecz z Gaiłem, dziś miał wrócić do Szabasowej ze swej społecznej wędrówki. Żandarmi podejmą drogę. Dlatego też trzeba by rozpaść w piecu i ugotować coś ciepłego, nim coś zajdzie nowego. Chaim wydobył z siennika wiecheć słomy, porąbał drewnianą zasłonę do pieca chlebowego i rozpaścił. Milczeli, a kiedy już ogień zagrał pod blachą, dzwoniąc obwisłą zasuwką, Bańczycki wypogodzonym tonem powiedział: - Wąskopyski podał mi rękę, bo ja mu powiedziałem:

dobra jest! Tak, to niełatwa sprawa zgodzić się na coś takiego. Chuny był inny; wrócił jeszcze, obejrzał się, jakby szukając zapomnianej rzeczy. Powiedział do mnie: "Żyjemy na tym świecie niby na pokucie - psiakrew." Przyszli jeszcze do mnie po półgodzinie, ale nie po to, żeby mi opowiedzieć, ale aby ręce wymyć! 169

Nic nie przeczuwałem tego wieczora, kiedy wszedł Gail zamieciony śniegiem i odezwał się tym swoim tenorkiem: "Ach, to tak, dobrodzieju. Zjadamy sobie ciepłą zupkę, a dzieci żydowskie zamarzają na kość w pustej stodole!" "Tak, wiem - powiedziałem, nie podając mu ręki - nie w mojej stodole. Wiem, co pan chce przez to powiedzieć. Ten temat trzyma się pana niecierpliwie. Niech pan siada i niech pan powie, co pana ściągnęło do mnie." Gail siadł na prawo ode mnie, popatrzył mi ironicznie w oczy, zdjął czapkę i powiedział: "Znowu ta sama sprawa."

Ja siedziałem na swoim miejscu z twarzą ukrytą w dłoniach, ach, Boże, jak ciężka droga w kalwarii tego świata. Wbijając uparcie spojrzenie w koniec swoich butów, słuchałem.

"Obiecał dobrodziej zapośredniczyć w sprawie tych uwięzionych dzieci na posterunku hilfspolicii." Po krótkiej przerwie dodał:

"Zgodziliby się, skonfiskowawszy dolary, puścić go do czorta. Za czym - jak widać - sprawa w niczym nie posunęła się dalej. Wydawało mi się, że porozumieliśmy się ze sobą do tego stopnia. Ale jeden z nas pozbawiony jest dobrej woli." Moje milczenie i cisza dokoła nas obydwu przyprawiła mnie o zawrót głowy. "Dzień dobry" - zawołał Gail, obudziwszy mnie z drętwiej rozpacz. "Dzień dobry" - odpowiedziałem i złość mnie ogarnęła, bo to było nic innego jak pociąganie biednego człowieka za nos. O niebo i ziemio! - ty bez końca ludzka nadziejo! Bandyto - pomyślałem sobie - bandyto, łowiący mimochodem drobne owady, wydaje ci się, że biegniesz ludzką ścieżką, kark ci drętwieje. "Serce mi się wzdyma na to wszystko" - powiedziałem mu głośno. 170

"A tak, może się wzdymać. Ksiądz już jest tak osaczony przez samotność, że bandyci w rodzaju Szeruckiego i Chuny Szaji wydają się jedynymi przyjaciółmi - wyszeptał. - Biedny człowiek z księdza." Twarz szpicla wydłużyła się, przybierając minę wielkiego przygnębienia. Strzepnąwszy dużym palcem popiół z papierosa, nadał głosowi sympatyczne brzmienie: "Wpadł ksiądz w tę wstrętą egzystencję żydowską, nadzianą kaprawym strachem. Zbyt dobrze ksiądz wie, co chcę powiedzieć. Od tego należy się oderwać. To jest sprawa ciężka, pewnie, ale to trzeba zrobić..." Powiedziałem mu kilka słów trafnie dobranych, nic więcej: "Proszę pana. Nie jestem przerażony ani tym, co mam za sobą, ani perspektywą, jaką mi zakresliliście w swojej polityce. Ja wyruszyłem na świat przygotowany na wszystko. Brewerie, w rodzaju waszych, zuchwalstwa wylęgłe pod czaszką zbrodniarza niepokoją mnie, ale nie dam się sprowokować. Pan jest skałeczoną jednostką ludzką." Wstałem, aby zachwycić tchu. I w tym momencie kula przebiła oparcie mego krzesła. W ten sposób przeznaczenie na pewno wykreśla drogę człowieka. Gail też wstał, wydobyl rewolwer i począł żuć wargami, jakby delektując się czymś smacznym. Przypatrywałem mu się przez chwilę z dziwną pilnością. Przecwalałem w myśli całe swoje życie, pełne, jak ci wiadomo, nieba, ziemi, słońca i golgoty przebrzydłej. Cokolwiek uspokojony, zacząłem ziewać do rozdarcia szczęki. W milczeniu pytaliśmy się oczyma, co oznacza ten strzał. Gail zgasił latarkę.

Oto życie w swej właściwej postaci - wielkości i brzydoty. Zaczął wyc jak oszalały, chociaż dwa strzały z karabinu na podwórzu nie były wymierzone w jego skończoną postać.

Okrucieństwo człowieka! - nie możesz mieć pojęcia o dramacie, który rozwijał się w moim pobliżu. 171

"Kto to?" - zapytał Gail.

"To chyba oni - odezwałem się nie dbając już o nic. - To ktoś inny zastąpi prokuratora, niech się pan uspokoi. Na nic ten lament." Widziałem, jak Gail celował powoli w okno, za którym, prócz mętnej bieli, ja nic nie widziałem. Może on ze swego miejsca widział ich. Buchnął głośny huk i rzeczywiście zrobiło się pod oknem jakieś zamieszanie: dwie postacie wyciągnęły się z mroku. Odpowiedziały strzały. Drzwiami od kuchni wbiegł Chuny i krzyknął, Gail rzucił broń. Dłuższą chwilę zostawili go na pozór w spokoju. Widziałem, że parę razy zapaliła się zapalka, i wyszedłem, bo czułem, że mi się robi słabo. Brak mi było czegoś. W progu na werandzie odetchnąłem świeżym powietrzem. Od rozpalonej do czerwoności kuchni szło gęste ciepło, po sprzętach i suficie biegało światło. - Nie drzemaj, Dudi - mówił Chaim - można się przeziębic, jak tak będziesz siedział na surowej ziemi. Wstań, zdejm z siebie ten mokry koc. Bańczyki z Chaimem wyszli na próg posłuchać, ale nic w tych przestrzeniach zagłuszonych śniegiem. Monotonnie i głucho. Takie sobie nadranne godziny, skute przypadaną bielą. Za garbatą stodołą, za wrotami rozwalonymi wielką odległość, bardzo smutna, bo księżyc wzeszedł jak mara w koszuli. Wrócili do izby, Chaim łamał chrust zaciągnięty lodowym szkiełkiem i pchał do pieca. Postawił wodę w baniacz-ku,

ale zaczęło się coś bardzo głośno przysmażać z lamentem. - Ty zdejś to, bo słowa nie można przemówić. Ten garnek musi być przestrzelony. Chaim przelał wodę do koneweczki blaszanej, w której Klara nosiła Szeruckiemu obiady do lasu. - Rzeczywiście, przestrzelony.

- Tak, już nas nic nie zabezpiecza od głodowej śmierci ani innej. 172

- Bardzo sobie postępujesz biernie - rzekł Chaim.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Postępujesz jak człowiek, który kładzie się na wznak i ani wstać nie chce, ani umrzeć. Wstydzilibyś się. Nie poznaję ciebie, człowieku. Załamałeś się czy co? Weź się do kupy! Ty wiesz, że ptak szybujący długo między dwoma szczytami budzi politowanie, nic więcej. - Nie, Chaim, to zdrowie moje klapnęło z kretelem.

- To inna sprawa. Musisz wypocząć, odżywić się i wyspać.

- Gdzie i kiedy ja to mam zrobić. Dajmy spokój. Wspomniałeś o ptaku. Otóż tak. Czuję się już od kilku dni jak ten ptak, co unosi z sobą ziemię i odległe widnokręgi, niby malownicze, ale podszyte zbrodnią naszego gatunku. Nie mamy nawet gdzie oddawać się naszym marzeniom. Krzywdzisz mnie, Chaim, mówiąc: "Załamałeś się." - Zawsze miałeś przyzwyczajenia do melancholii, do wzdygania się, wciągania czapki na uszy i pokaszliwania. Już nawet wtedy, gdy trzeba było bronić tych aresztowanych, co wykopali i zjedli te zdechłe na różycę świnię. - Bronilem, ale kiedy starosta zarzucił mi, że bronię komunistów, to co ja mogłem. Powiedziałem: "Panie starosto, bronię biednych ludzi, komuniści nic mnie nie obchodzą." A on mi powiada, że zadaję się z tobą. To odległa sprawa, ja ci tego nigdy nie opowiedziałem. Ale jak się już zaczęło, to trzeba skończyć. Potem zachorowałem i tyś mnie leczył. Wiesz o tym doskonale, ile w związku z tym było podejrzeń. Nie leżałem przez całe życie brzuchem do góry w oczekiwaniu na jakieś wniebowzięcie. Ale chwila marzeń, jakaś maleńka własna luka też człowiekowi potrzebna, gdzie by on nie był - ten człowiek rozciągnięty od wieków na wszystkich ziemiach. - Ale tymczasem studnia od studni, że można zdechnąć z pragnienia. Za długo milczeć nie można z miną powolną. Marzenia, myśli i to, co ty nazywasz słusz-173

nie wniebowstąpieniem, nie załatwią spraw zapadniętego brzucha. - Otóż to! Znasz to doskonale, lecząc tych biednych. Miałeś probierz swej użyteczności. Trzeba przyznać, że nie stałeś jak drewniana figurka na tym oszalałym wietrze, który już dmie tyle lat. Bóg wie dokąd. Nie wyglądałeś oknem - co tam się dzieje na dworze. Otóż, do czego ja zdążam. Bo kiedy ty przyszedłeś do naszej ubogiej wsi, nakrytej słomą, kiedy obkoczyły ciebie psy, zabrudziwszy okropnie - to pomyślałem sobie, żeś powinien zająć najlepsze miejsce pod słońcem. Sprawa tyfusu wówczas, podobna do tajniaków dziś - ktoś to musi wydusić. Być może, że to fala mego gminnego dzieciństwa, jakieś dziedzictwo, od którego się nie uwolniłem nigdy. Matka moja, wyszedłszy z niesporów październikowych, spotkała na ścieżce psa; przestraszyła się i uderzyła go różańcem i poszła do domu szybko, szybko, bo była w ciąży. Ale pies skomląc pobiegł za nią do domu i tu ona spostrzegła, że mu oko wybiła różańcem. To nie jest baśń, której treść można zmieniać według swojej fantazji. I od tego czasu życie mojej matki miało w żalu, litości do wszystkiego, obawie, bólu i ciągłych nawrotach do tego tragicznego momentu. Ten ślepy pies służył w naszym domu jeszcze pięć lat i zdechł pewnego dnia w dusznym sierpniu. Ja go pogrzebałem, zanosząc się od płaczu. Potem umarł mój ojciec, organista wiejski. "Ano, tak, syneczku - powiedziała matka prowadząc mnie za rękę przez las - musieliśmy opuścić naszą chałupę." "Dlaczego?" - pytałem.

"Bo przyszedł nowy organista" - powiada matka i twarz jej wydłużyła się w przygnębieniu. Oto życie, które znasz aż nadto dobrze, żeby ci opowiadać kawał mego. Przypomniałem sobie: czy ten pies przybłąda chodzi z tymi dziećmi żydowskimi? - Który pies?

- A ten Bas, co tu był nawet na kolędach.
 - A ten! Nie, nie. Zdaje się, że nie.
 - Nie żyje?
 - On się zrobił dziki. Każdego gryzł, kto się zbliżał do dzieci. - Psiakrew! Czy trzeba było go zabijać?
 - Wiem tylko, że przedtem zabito te dzieci.
 - Psiakrew! Więc co ja mam o swoim dzieciństwie opowiadać. To są małe słabostki. Czego ty szukasz, Chaim? - Może jest cebula. Chciałem zakrasić te kartofle.
 - A ty poobierałeś te kartofle?
 - Nie szkodzi. Cebula dodałaby smaku.
 - Nie wiem, nie wiem, czy jest i gdzie jest. Może w ogóle nie ma. Chaim, zapaliwszy przewrócił, laził po izbie, szukał cebuli i soli, powywał na środek puste pudełka blaszane z cukierków, w których Klara w jesieni trzymała rozmaite korzenie. Na dnie szuflady pod zdartymi skarpetkami znalazł rozsypaną fasolę i kilka główek czosnku. Z kurtki Chaima, zawieszanej nad kuchnią, szła para. Dudi, skulony i z wetkniętymi rękoma w krocze, spał na poprzek siennika, przerywał sobie sen krótkimi krzykami i drgawkami lub czuchał, bo niepokoiły go wszy. - Do czego ty zdążałeś w swoim opowiadaniu? - zapytał Chaim. - Otóż nawiązanie do mego dzieciństwa. Powiadasz, że miałem przyzwyczajenie do ustępstw, wzdrygnięcia się i pokaszliwania, jak kiedy przyszło co do czego. Ja, jak każdy człowiek, nadziany jestem wstrętnymi draśnięciami. Po śmierci ojca poszliśmy z matką w świat, szukać chleba, jakiegoś przytułku. Błąkaliśmy się kilka dni gdzieś tam między Bełżcem a Lublinem, ale wszędzie odprawiano nas z kwitkiem lub mamrotem słów: "Biedni ludzie, co można wam poradzić?" W końcu, zupełnie wyczerpani, przybyliśmy do jakiegoś miasteczka i tam na przedmieściu matka 175

moja została praczką u bogatego rzeźnika, niemieckiego kolonisty. Przywitała nas kobieta o pomarszczonej twarzy, z tęgim nożem, zawieszonym u pasa na zakrwawionej tasie.

"Antoni! Antoni!" - zawołała.

Człowiek, który ukazał się na ten krzyk w drzwiach, był chudym staruszkiem. Kobieta uciszyła naprzód psy, które darły się w naszą stronę, szarpiąc łańcuchy. "Was najes?" - leciał głos tego staruszka skroś psiego łajania. "Jedna biedna kobieta pszisza, co chciałaby służyć. Prosi o pracę." "Ach, ja! - zawołał staruszek. Matka moja podeszła do tego człowieka i pocałowała go w rękę. On mierzył mnie długo szarymi oczyma i zapytał: - To twoje?" "Tak." "Gdzież ty go wzięłaś. Jesteś młoda kobieta."

Matka moja opowiedziała mu nasze dzieje.

"No tak, ty biedna kobieta. Zostaniesz tu i będziesz nam prała." Otóż matka moja zdierała zdrowie, piorąc bieliznę tej bardzo rozkorzenionej rodziny, prała ścierki i fartuchy licznej czeladzi wielkiego przedsiębiorstwa masarskiego. Posyłała mnie do szkoły i nakazywała, że niczym w życiu nie powinienem być jak tylko księdzem. Bo taką pokutę sobie zadała za to, że psu wybiła oko. Zanim przejdę do dalszych dziejów mego dzieciństwa, napomknę, że to byli Gailowie. - Kto?

- Gailowie. A wnuk ich tu, wiesz dobrze, kim on był.

- Stąd ta słabość twoja do niego.

- Żadna słabość. Nienawidziłem go tak samo jak ty, może więcej. Nie podoba mi się takie twoje postawienie sprawy, ale co zrobić. - A więc co, próba czy jak to nazwać?

176

- Nic takiego. Zaczęli go bić, to ja powiedziałem: "Dajcie spokój, chłopcy. Tak nie można. On jest wasz jeniec. Weźcie go na zakładnika albo jakoś tak. Albo wysłać ultimatum na posterunek hilfspolicji, żeby wypuścili dzieci Hyn-dy, to wy jego wypuścicie. I życzę wam tego z całego serca, żeby się to powiodło. Gdyby tu był Chaim, przyznałby mi rację. Nie ma

takiej rzeczy, która by się z czasem nie ułożyła. W takich sprawach wielki udział bierze przeznaczenie." "Chaim tak samo jak ksiądz - ultimata by wysyłał" - powiedział Chuny. A tymczasem Gail ściągał ten swój zielony nieprzemakalny płaszcz, palto i buty. Wąskopyski obszukiwał kieszenie i w tej pozycji - Chuny na progu kuchni, a Wąskopyski w głębi pokoju przy Gailu, z wyciągniętymi pistoletami do okien - nasłuchiwali, bo ktoś przebiegł pod budynkiem. Ja wyszedłem znowu na próg, zawahałem się chwilę, wreszcie zupełnie głośno zawołałem: "Kto?" Ten obcy szedł śmiało prosto mi pod nogi, jakby znał wszystko na pamięć. Okazało się, że to Kierasieński, siekierę miał zawieszoną na półpaszce. "No, no, uważaj - powiada - swój idzie."

Roztrzaskając przez chwilę w myślach jakiś zamiar, Kierasieński cichutko przysunął się do mnie i pyta: "Kto tam jest?"

"Chuny z Wąskopyskim, coś tam mają do zrobienia."

"A czego ksiądz tu na progu?"

"Bo ktoś szedł, toś ty szedł?"

"Ja. Chaima tu nie ma?"

"Jeszcze nie" - powiedziałam i słyszę z pokoju: trach, trach, jakby ktoś kogoś na szafę rzucił.

"Cholera ty, cholera ty..." - trzy razy tak zakrzyczał Chuny. "Biją go, po co go biją?" - powiedziałem.

"Czy to księdza martwi?"

"Nu, co martwi, martwi, to nie o to chodzi, czy martwi. Ja miałem inny pomysł co do niego.

Nie można tak kuso 12 - Czarny potok

177

myśleć. Opłakana chwila, psiakrew. Chaima nie ma, on by to mądrze załatwił. Ty sam, Kierasieński? A gdzie reszta - Szerucki, Chaim?" "Rozsypali się my, ten tu, ten tu, a Szerucki poszedł na zwiad i przepadł, bo tam jakaś bitwa była. Czaczkiś obokoczył żandarmów."

"Bitwa była? Musisz to powiedzieć im, bo oni może nie wiedzą. Zmartwi ich, że Szeruckiego nie ma." I wtedy to posłyszałem jeszcze, że Chuny zajączał boleśnie i buchnął strzał.

Kierasieński skoczył do środka. Ktoś już komuś wpakował w łeb, pomyślałem sobie i wyszedłem na podwórze. Przestraszyłem się, sam nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Któż to tak zanieczyścił ten świat? Masz, odbyła się tutaj przed kilku godzinami jedna scena z wielkiej tragedii. - Ty, jak widać, chcesz już dzisiaj wszystko wyję-czeć - powiedział Chaim.

- Może to i dobrze, ale nie przejmuj się bardzo. Porozumiewaliśmy się już nieraz na ten temat. Naryczysz się do obrzydzenia i przestaniesz, jak cię zaczną gonić żandarmi. - Nie tylko ludzie - ciągnął Bańczycki - ale i bydła opłakują śmierć, bo śmierć to koniec wszystkiego.

Wszystko się lęka śmierci, bo ona jest złem, największym złem. Rozumiesz mnie chyba.

Zabijany też zabija. A może udałoby się uratować te dzieci Hyndy za tego łobuza? Kiedy go wyprowadzili, poprosiłem: "Chłopcy..." Ale Gail już pewnie nie żył, bo go trzymali pod pachami. Rył obcasami śnieg. "Niech ksiądz nie wypłata koszyków z tego wszystkiego, bo to na nic - powiedział Wąskopyski. I kiedy wrócili po półgodzinie, ja już leżałem. Wąskopyski zaczął znowu tak: - Śmierć! Przekłęte słowo. Jakżeż to tak: śmierć. A dziecięce usta nie szeptały o życie? Ach, ty życie! A lza Cirli. To co ona warta?" Usiedli, zapalili i dali Kierasieńskiemu.

"Palisz?"

178

"Palę."

"A co ty masz z tych przyborów do palenia, gębę?" - śmiał się Wąskopyski i ogieniek z papierosa potrzasał się w ciemności. Kierasieński milczał. "Gdzie Szerucki?" - pytają go.

"A czy ja wiem, gdzieś się zapatoczył."

"Co znaczy gdzieś?"

"Poszedł na zwiad pod obejście tej Sitwy czy jak ona tam." "Kto go posyłał?"

"Doktor."

"Kiedy?"

"Dzisiaj rano, jak świtało."

"Taaak" - zastękał Chuny i poświecił latarką: Kierasiński pod piecem podryguje kolanami.

"Tyś na karczunek wyszedł?" - pyta Wąskopyski.

"Czego?"

"Że siekierę masz pod pachą. Skąd ona?"

"A znalazłem przy zabitym parobku."

Słychać było, jak Chuny przegartuje w kieszeni naboje, była długa, smutna chwila ciszy.

"Cóż ty, bucki synu, opowiadasz? Przecież byłeś zostawiony z Szeruckim przy tej

przestrzelonej Luli." Kierasiński zawahał się chwilę.

"Nu, odpowiedz mi, chciałbym ja wiedzieć."

"Ona umarła. Przyszedł doktor i kazał nam iść za Latadywanem, bo jego ktoś postrzelił. Tak mówi Dudi, ale czy to prawda? Podpalili Szerucki chałupę i my poszli." "Czego podpalili?"

"Dobrze zrobił."

"A Lula?"

"Spaliła się, i koniec."

"Co ty pleciesz?"

Ale Kierasiński nie dał się, błyskawicznie nawiązał do rzeczy i mówił wartko, ale nie tak, jak bądz, żeby trudno było wyłowić, o co w tym wszystkim chodzi: 12*

179

"Ja wam powiadam, nie ma co siekierą rąbać wody. Dajcie mi karabin, a ja wam pokażę, jak się katrupi Szwaba. Trochę wam będzie z początku nie tego... bo zakatrupić człowieka to trudna rzecz, a potem to się będzie spluwało na ręce. My się nie przyzwyczaili bić sami za siebie. Jak człowiek się uprze, to wszystko pójdzie gładko." Mówił, mówił dużo, ale po chwili człowiek spostrzegął, że ten Kierasiński albo podchmielił sobie, albo jest niespełna rozumu.

"Pewnie, pewnie - dorzucił Wąskopyski - ty nie dostaniesz od nas karabinu. Po mordzie dostaniesz. Nie świeć baki." Zjedli trochę chleba, popili wodą, słyszałem, że Kierasiński też coś jadł. "No to pójdziemy poszukać Szeruckiego i ty z nami" - powiedział Chuny. "Ej, synu, synu - zobaczmy, co ty potrafisz" - Wąskopyski poklepał Kierasińskiego i zakrzętał się do wyjścia. "Dobranoc - Wąskopyski zbliża się do mnie, pcha mi gorącą, szorstką rękę i powiada: - Nooo?" Poderwałem się z zaciekawieniem, podpierając się na łokciu. "Co powiesz, Wąskopyski?"

"Niech ksiądz wybaczy, ale zabiliśmy tego."

Nie widziałem jego twarzy, wielki ból wlaź mi do serca.

"No cóż - powiedziałem - dobra jest, to nie nasza wina. Chodzi o to, żebyś na zawsze nie został człowiekiem ze złością do wszystkiego. Trzeba zdobyć jakiś wieniec życia." Jeszcze mu tam coś nagadałem, piąte przez dziesiąte, bo go nie znałem: co to za człowiek i o co mu chodzi w tym wszystkim. "Pamiętaj, człowieku - dodałem - że serce najmiłsze, kiedy śpiewa pieśń o chlebie." Chaim wtrącił:

180

- To wychowanie nauczyło go pewnego kręgu uczuć sentymentalnych i fałszowanych. - Myślisz? Mógł bardzo długo oszukiwać samego siebie, ale to nie zawsze zdrowe. A potem przychodzi reakcja bezlitosna. Zafałszować uczucia można, ale nikt z tego nie jest zadowolony. Kłopotliwe odosobnienie, i koniec. - To wszystko zależy od tego, jaki jest stosunek człowieka do człowieka, a na razie ta sprawa jest zupełnie martwa. Uważam, że gdybyśmy tak przebadali do gruntu, jak ludzie odczuwają się wzajemnie, toby wyszło bardzo źle. Na razie każdy człowiek i na pewno każdy człowiek odczuwa w drugim jakąś groźbę. -

Bardzo zasmucające. Myślisz, że to wszystko skutki fałszywie pojmowanej cywilizacji. Co? - Nawzajem się lękamy. Coś w tym jest. Może to kwestia indywidualizmu. - Uważasz, że Wąskopyski to indywiduum?

- Zdradził się tym odruchem. Odosobnił się. Podkreślił, że jest z innego strumienia krwi. - Dajże spokój, Chaim. Doprowadziłbyś do wojny domowej. A zobacz - poszli w ciemną noc, poszli szukać tego Szeruckiego. Jak ty to nazwiesz, ciekaw jestem? - Dlatego że to są robotnicy, zachowali jeszcze w sobie to poczucie wspólnoty klasowej. - Może, może masz rację. Nie byli zaniepokojeni, że ciebie nie ma. Poszli sobie, jakbyś nie istniał. Minęła godzina. Noc długa i bezsenna. Wstałem, spojrzałem za okno. Ciągłe padał śnieg. Myślałem sobie, czy jest jeszcze jakiś krąg na ziemi, gdzie się ludzie uśmiechają. Zegar wybił dwunastą. Pobiegnę do pokoju, aby wyrzeć, bo gdzieś tam w polu ktoś strzelił. Przyszła mi do głowy myśl, że mogli zabić Kierasińskiego. To było niemożliwe. Otworzyłem okno. Dalekie krzyki ludzkie, jęki i w tym momencie wbiegł ktoś na podwórze, zapukał do kuchennego okna. "Co tam?"

181

"Proszę pana - zapytał - jak się ta wieś nazywa?"

"Ta wieś? Tu już nie ma wsi! Była do jesieni, już jej nie ma" - powiadam i cofam się do środka, bo ten obcy wydał mi się straszny. "Dobrze, panie, ale jak ona się nazywała?" - ten obcy staje na tle okna, ogromny chłop, włosy ma rozczochrane albo był w baraniej czapce. "Zalaski, Zalaski..." - powiadam.

"Ach, Jezu! Jezu!" - jęczy ten człowiek w wielkim zaniepokojeniu. "Co tam się dzieje, że taki krzyk i strzały?" - pytam nabrawszy odwagi. "A to, proszę pana, zakładników pędzą po szosie, z naszej wsi do Szabasowej. A ja uciekłem, proszę pana. Ludzie krzyczą, bo może ktoś posłyszeli i odbije ich po drodze." "No i pana nie zauważyli, że pan ucieka?"

"Pociemniało i cały naród wyszedł za nami i idzie z daleka po polu i lamentuje. A on jeden z drugim, sukinbrat, boi się, jak pociemniało, wybiegać za jednym w pole." "Skąd to prowadzą tych ludzi na zakładników?"

"Spod Tałęśni. Żandarma zabili."

"Wejdźcie tu, odpoczniecie. Tu cicho."

"Ej, proszę pana - powiada ten obcy - co pan wiesz, co znaczy cicho. To bardzo źle, że jest tak cicho. Znaczą się, wieś spalona, ludzi zabili. A pana nie spalili?" "No tak jakoś" - powiedziałem.

"Jest tu gdzie jaka banda, żeby do niej przystać?"

"Nie wiem, człowieku. Jest kilka, każda goni osobno po znanych sobie okolicach, zabłyszczą to tu, to tam jak gwiazda i gaśnie raptem, powieszona na słupach lub wybita w walce z żandarmami czy hilfspolicajami." I poszedł. Ja, zaryglowawszy drzwi, ułożyłem się znowu na tym sienniku, zdruzgotany i przygotowany na wszystko. 182

Potem ty zapukałeś, zwlokłem się na mdlejących nogach i tak płynie ta noc.

Co ty sądzisz o tym Kierasińskim, Chaim? Znasz go bliżej? Chaim stał przed otwartymi drzwiczkami kuchni, suszył kolana.

- Powiada, że uciekł z transportu do Bełżca, wieźli go z Żydami holenderskimi. Pochodzi z Tomaszowa. Lata młodzięcze przepracował w kamieniołomach na tak zwanym karierze. - Co to jest karier?

- Nie wiem.

- No?

- Powiada, że po dwu latach zszedł z kariery na dół, do pliszek. Też nie wiem, co to znaczy. W każdym razie praca nie była jaka sobie. Powiada, że wstawał ledwo świt i szedł, wracał wieczorem i jeszcze musiał młócić przy latami żyto sąsiadowi. Matka chorowała, trzeba było

zarobić na lekarza. Posyłał młodszego brata do gimnazjum. I tak poszło, powiada, do dwudziestego ósmego roku życia. Potem pracował w szmuglu. - Gdzie?

- Nie określił dokładnie. Powiada, że chodził z psem po sacharynę i kamyczki. Rok siedział w śledczym. Zmobilizowany, walczył jako ułan w Prusach Wschodnich. Jest podobno mieszańcem, bo matka Żydówka. W każdym razie nie mamy do niego zaufania. - To przykre musi być, taki brak zaufania. Czy zasłużył sobie na to swym wyglądem? - Mętniak nie do zniesienia, jaskrawo sądzi wszystko. Lubi ściągać złoto z trupa. - Po prostu ambaras macie z człowiekiem. Jakieś parszywe środowisko tak ukształtowało go. Ty uważaj, Chaim, żeby kartofle się nie rozgotowały. Weź jednego i rozduś w jakiej szmacie albo przez rękaw przyduś do ściany. 183

- A ja ci powiem, że z tym zamięłowaniem do złota to rozmaicie bywa. Złoto dla niektórych ludzi - to druga dusza. Nie każdy umie się powstrzymać od tego. Przypominam sobie, że baronowa Sznellowa kochała się w złocie. Miała na sobie zawsze dużo klejnotów z ciężkiego złota. A więc: wielkie broszki, pierścienie wysadzone kamieniami, kolczyki w kształcie roślin, okulary w złocie. Jej mąż lubił patrzeć na nią, kiedy była obwieszona tym wszystkim do przesady. I przyznać trzeba, że była przy tym wszystkim tak prosta, szczerza i bezpośrednia. Umiała łączyć z wdziękiem niejedno. - Co niejedno?

- Szpiegostwo na rzecz rządu niemieckiego. Z każdej wędrowki za granicę przywoziła nową kupę złota. Bardzo często po południu stawiała w oknie i patrzyła na panny sklepowe lub dzieci jeżdżące po ulicy na drewnianych łyżwach. Odwracała się do lokaja: "Czy prawdziwe łyżwy są drogie?" - pytała. "Ciągle są drogie, proszę jaśnie pani" - mówi lokaj. Mąż jej został zabity na polowaniu. Jeszcze raz na katafalku przeszukała mu kieszenie, bo wydawało się jej, że lokaj pchnął swemu panu złotą cygarniczkę na wieczną drogę. Potem ze skupioną i tragiczną miną podcierała nosy świecom. - Tak, proszę ciebie, przeznaczenie człowieka wypływa po prostu z niego samego, jeszcze bodaj w kołysce. Nam się wydaje, że ta natura z biegiem lat zanika. Ona zasycha tylko pod warstwą kulturki, a pod wpływem gorącej krwi zaraz odtaja. Chaim odcodził kartofle, wziął jednego w garść i pochyliwszy się do światła, począł go skubać z wielką wprawą. - Zbudzimy Dudi?

- Niech - powiada Chaim - niech sen go pokrzepi.

- Ale mógłby zjeść dwa, trzy ciepłe kartofle, bo kto wie, co będzie za chwilę. Skąd jesteś pewny, czy będzie co jadł cały dzień? Białe śnieg na otarcie łez - to za mało. 184

Na sienniku ciemnawo, ledwo, ledwo można było dostrzec sylwetkę śpiącego. Dudi zgrzytał zębami przez sen, szczęki pracowały nad czymś nie do rozgryzienia. - Wstań, Dudi. Wstań, zjesz coś ciepłego i możesz spać znowu, bo jest spokojnie - powiedział Chaim. Dudi usiadł. Chciał coś powiedzieć, ale zwałił się na wznak, postępując. - Aha - powiada Chaim, wyszukawszy puls Dudi. - To nie jest dobrze. To musi mu się tak bajdurzyć coś okropnego w gorączce, że tak zgrzyta zębami. Przesunęli siennik z chorym pod ścianę. Chaim podrzucił do pieca patyków, a Bańczycki przypomniał sobie, że jest jeszcze w przegrodzie pod schodami kołdra po Wasicińskiej, poszedł przez pusty pokój. Skrzypnęły tam drzwi. Chaim skręcając papierosa słyszał, że Bańczycki go woła.

- Zobacz, jak się wściekle gdzieś pali. Jakiż to pożar okropny. - Taaak - powiada Chaim. - To Sapiska. Pola pomrukiwały czerwienią, a płomień sięgał w bezkres wysoki. Bił karabin maszynowy i szedł zgiełk z zaduszonej śniegiem przestrzeni, jak koński galop po zamrzłym jeziorze. I tak to trwało do szarej godziny. Chaim jeszcze raz pomacał puls Dudi i nakrył go kołdrą Wasicińskiej. Wrócił popatrzeć na pożar. - Ten mały ma zapalenie płuc - powiedział Chaim.

- Chyba - potwierdził Bańczycki i nagle cofnął się przestraszony, bo polem na plebanie leciało bydło, a dalej dwoje ludzi ciągnęło bezwładne ciało. - O Jezusie drogi! - zawył Bańczycki i nakrywając głowę kozuchem, lekko kulejąc wybiegł z plebanii. Przeszedł sad i za

zakrętem drogi skoczył przez rów na cmentarz kościelny. Tam latem było dużo kwiatów, ziół, cały las kwitnących gałęzi, grzebały się kwoczki, bawiły się w cho-wankę dzieci. Zaraz za płotem stały budy odpustowe, chodziła procesja z monstrancją. A dalej stawki - tam 185

baby moczyły konopie, na zboczu pod kościołem bieliły płótno, u źródeł prały bieliznę, chodziły bociany, dziecko i cielęta. A po gajach i przełazach słysząc było dziewczęce śmiechy. Niejeden, tu na tym pagórku, przeginał cienki stan swojej dziewczyny. Bańczycki minął zasypane pogorzelisko Zalasków, przeżegnał się koło zbiorowej mogiły swoich parafian i szedł na polach wiodących do Szabasowej. Pożar zamazał się w rozmokłym odwilż poranku. Tylko w przebitej mrozami izbie siedziała jeszcze po kątach ciągnąca za oczy ciemność. Dudi, podniósłszy się wół, mówił do kogoś w majaku, kręcił głową i posysał ustami jak przy piersi. Chaim, trzymając w ręku aluminiowy baniaczek z przygotowaną wodą, mówił: - Słyszysz... wypij to.

- Nu... nu...

- Wypij, trzeba, żebyś wypił.

- Kto to?

- Kogo ty widzisz? - Chaim popatrzył na mnie. - A! to ten człowiek, który ciebie znalazł w lesie. Dudi wypił ciepłą przygotowaną wodę i zapytał: - Przyjdzie Miś Kunda?

- Przyjdzie.

- Ale na pewno?

- Z pewnością - rzekł Chaim. - Miś Kunda ciebie lubi, na pewno przyjdzie. Ściągnąłem z chorego rozdeptane kalosze, parciane onu-cki i rzuciłem na piec. Okryłem, dołożywszy na kołdrę trzy jutowe worki wydobyte z sieni spod kupy sieczki. Dudi znowu zapchał głowę pod ścianę, szeptał i cmoktał zajadle, obojętny na wszystko. Cisza wszędzie, nigdzie nikogo. Wyszedłem do wrót, żeby zobaczyć, co tam za cmentarzem, na drodze do Sapisk -187

nic, pusto. Kilka wron na drogowskaziu. A tu drobna sikorka, czepiwszy się na chwilę ramy okiennej, poza-giądała do pokoju Bańczyckiego i odleciała za komin. Wywaliłem kilka dyli ze ściany chlewka, rozszarpałem je siekierką na toku i zniosłem do izby. Napchałem dużo tych suchych olchowych polan do pieca. Zatrzeszczał wesoło ogień. Postawiłem wiadro wody na blacie. Potem wylazłem na strych - tam Klara na kominie suszyła jesienią owoce, ale nic - wszystko zjadły myszy. Było trochę nie dojedzo-nych borówek na gazecie, dwa puste krążki słonecznika pod kominem, duża szara poszwa z pierzem, ramy okienne, rozwieszone sznury z kłopciami siwej pajęczyny i kupa śniegu nawianego przez rozbite dymniki. Zszedłszy do sieni, zobaczyłem psa. Siedział skulony przed progiem. - Czyj to pies? - spytałem.

- To? Nie wiem. Pies Bańczyckiego nie żyje. Powinna być jeszcze jedna omnadina. - Chaim wysypał wszystko z chlebaka na rozścieloną kurtkę. - Omnadina... omnadina. Psiakrew, nie ma. Musiałem ją rozduś kiedyś. - Chuni nie dawałeś omnadiny?

- Nie. Ja już po nim miałem. No, więc nie ma. Eleu-dronu by mu trzeba trochę dać, bo to będzie plackowate zapalenie. - A jest?

- Co?

- Jak to nazwałeś...

- Ach, tak. Nie, też nie ma. Ty byś poszedł dzisiaj do tej dziewczyny Leita w Szabasowej? - Nu, czemu nie - powiadam - ale na noc.

- No tak, tak. Weźmiesz moją parabelkę i pójdziesz kupić, ja ci napiszę, co masz kupić.

Wstąpisz do dziewczyny Latadywana, ja ci dam list do niej. Gdyby ciebie pytała o niego...

gdyby na przykład pytała, dlaczego nie napisał, to ty powiesz, żeś wyszedł niespodziewanie i nagle po lekarstwa, i niech ci ona da kilka dolarów na zapłacenie tej 188

folksdojczerce. Nic poza tym nie opowiadaj jej. Wszystko inne nie ma nic do rzeczy. Zresztą o tym pomówimy. Swoją drogą, co się mogło stać z Latadywanem? Gail nic nie napomknął w rozmowie z Bańczykim? - Nic.

- Na pewno?

- Była mowa o tobie, Chuny, Wąskopyskim, dzieciach Hyndy Glas. - A od czego się zaczęło?

- Od Hocha. Bańczyki, trzeba przyznać, od razu tak zaczął: "Siadaj pan. Puściliście dzieci?"

"Co znaczy: puściliście? To rzecz ukraińskiej hilfspo-licji. Ja pośredniczę. Tak jak ksiądz pośredniczy z tymi Żydami. Oni się zgadzają wypuścić dzieci, ale dostawić im trzeba żywego Hocha. On chodzi z tymi dolarami po lesie i nikt z tego pożytku nie ma. Tego jest kupa i można niejedno załatwić u Niemców za te pieniądze. A stary już się nażył. Klapnie kiedyś w lesie i nikt pożytku z tego mieć nie będzie. Trzeba się spieszyć, przyjdzie ktoś gorszy z rejonu i dzieci rozstrzela. A czy potem ksiądz będzie zadowolony, czy wszystko potem będzie tak, jak jest? Na pewno nie. Liczą, że ksiądz zapośredniczy. Oni mogliby go sami zastrzelić, to jest zupełnie proste. Ale jest taka propozycja, niech ją ksiądz powtórzy tym z bojówki. Chyba że ksiądz coś innego wymyśli." "Co ja mogę wymyślić! Niech się pan zastanowi, co?" - powiada Bańczyki. "Może ksiądz bezpośrednio porozumie się z Hochem. Ustali miejsce i czas." "Nie, to jest hańba! Ile panu płacą, panie Gail, za tę hańbę?" - Ksiądz zaśmiał się zakołysawszy nogą, jakby coś kopnął. Gail świecił latarką elektryczną. Postawił ją na stole i całe światło leżało na Bańczykim. "Czy to jest hańba?"

189

"Cóż się pan zastanawia, to przecież łatwo rozpoznać. Ja tego tak na chybił trafił nie powiedziałem. Chciałem wiedzieć - rzekł Bańczyki - co pan chce załatwić u mnie?" "Gdyby tu byli dzisiaj w nocy, to powie im ksiądz, żeby ustalili, kiedy, gdzie i z kim chcą rozmawiać w tej sprawie. Nikt nie będzie wiedział, co leży w środku tego." "Właśnie... nic z tego nie będzie. Ukatrupiliście tę biedną Lulę Heim. Za coście wy ją zabili? Ja nie widzę powodów." "Co znaczy: nie widzę powodów?" - Gail wstał z krzesła i zatrzepotał rękoma nad księdzem. "No, bo nie widzę. Tyle dziewczyna przeżyła, uciekła z obozu, przetrwała w lesie całe lato. Hańbiliście ją, zaszła w ciążę, ale trzeba było zostawić człowieka przy życiu." "Nie ma prawa ksiądz mieszać mnie w to."

"A jakżeż nie mieszać, skoro tak było."

"Stwierdzili, że szpieg. Raporty codziennie były przepisywane i szły do Latadywana. Lepiej niech ksiądz się do tej sprawy nie miesza, mówię to tak w zaufaniu." "Ach, fałszywe, głupie i zagmatwane. Biedna dziewczyna z Holandii, nie znająca języka i ludzi. Szpieg. A wie pan co? Ona ma jeden grzech, że zaufała wam. A wszystko, co jej zarzucacie, to już po śmierci i niesłusznie. Wydaje się panu, że się pan wzniosł o jeden stopień wyżej, wmawiając sobie, że ten zabity przez was człowiek to szpieg." - Ksiądz podniósł białe ręce, jakby chciał Gaila odepchnąć. - Czy Gail miał jakąś ochronę? - pyta Chaim.

- Tak. Ktoś łąził pod domem. Mogło ich być kilku, jeden pogwizdywał koło furtki. - No.

"Bajeczki ksiądz mi opowiada - powiedział Gail, zapaliwszy papierosa, i znowu pchnął prawą rękę do kieszeni. - Nie ma potrzeby, żebyśmy się kłócili o te rzeczy. Pewnego dnia przekona się ksiądz, że te bajeczki cholerę warte. Dlaczego ksiądz i ja nie możemy dojść do porozumienia?" 190

"Czego pan właściwie chce ode mnie?" - zerwał się Bańczyki. - Nic nie będzie z tego, co pan myśli. Koniec." "Właśnie o to chodzi, żeby był koniec. Inaczej z plebanią będzie koniec. Ale my jesteśmy ludźmi, landkomisarz może przymknąć jedno oko i jakoś be." "Nie - rzekł Bańczyki - nie, nic z tego nie będzie."

"Był ktoś z gestapo, żeby wy badać przeszłość księdza. To też jakoś tak zrobiliśmy, że to można jeszcze wymazać z papieru." "Ja się śmierci nie boję."

"To jest inna sprawa, ale tak być śledzonym natarczywie, że wszystko księdzu podejdzie do gardła. Bywa tak, że ludzie sami sobie strzelają w łeb." "To do mnie nie pasuje. Ja wątku swego nie stracę w tym wszystkim. Zresztą nie ma o czym mówić." Ten, który gwizdał koło furtki, podszedł do okna i zapukał leciutko. "Dobra, dobra - powiedział głośno Gail. - Powinienem już iść. A więc będę jutro. Coś mi ksiądz na ten temat odpowie."

"Powiadam panu otwarcie, co zrobię: zrobię takie dobrowolne zeznanie przed Chaimem na ten temat. Gotów jestem opowiedzieć mu wszystko. A poza tym nie chciałbym już nigdy tutaj pana widzieć!" "Nigdy? A ja myślałem, że sobie poczekamy, czas i rozum zrobi swoje, czas się odmieni. Przyjedzie ksiądz na sonder-dienst i jakoś to się ułoży. Chciałbym teraz spokojnie wrócić do domu. Gdyby mnie ludzie Chuny Szaji zabili na drodze, ksiądz będzie odpowiedzialny. Musi też ksiądz załatwić z Chaimem to, żebym mógł bez przeszkód kursować tu i tam."

"Niech pan odejdzie - powiedział Bańczycki i wstał - jest pan okropną jednostką ludzką. Będzie źle na świecie, gdybyś pan nie stanął przed sądem o morderstwo." I ktoś wyharatał zza okna. Byłby zabił Bańczyckiego.

191

- Dowiedziałeś się, kto pierwszy strzelił? Czy nie uważasz, że tamci, uciekając, właśnie chcieli go położyć? - Chaim wsparł nogę na ławce i wecował na cholewie brzytwę. - Pierwszy strzał był z karabinu? - Tak.

- Można się pomylić, ja ci powiem. Ja tej sprawy nie badałem, ale nie wydaje mi się. Można się pomylić, kiedy się tak z ciemności weźmie od razu jakąś sylwetę na muszkę. Nie ma nic, czego bym nie wiedział o Wąskopyskim, wiem prawie wszystko. Z wyjątkiem jednej rzeczy... - Otóż to.

- ...kogo jeszcze poza Niemcem uważa za swego wroga. Nie miałem sposobności mówić z nim na ten temat. Ja myślałem, że to ty pierwszy strzeliłeś. Byłeś w środku, blisko. - Byłem między drzwiami do werandy.

- Ach, tak. To było niemożliwe. Czy ksiądz jeszcze coś mówił po tych strzałach? - Mówił, dużo mówił. Kiedy Chuny wbiegł, Bańczycki zaraz wyszedł, zataczał się w sieni, szukał pośpiesznie wyjścia na tył plebanii. Przypomniało mi się, że Miś Kunda też tak się zataczał, kiedy go postrzelili w krzakach pod Pasiakami. Tylko jasno było, dzień. Ale też tak się jakoś kiwał, jak to chłopcy mają w zwyczaju. Miś podniósł ręce, począł biec, poginając się jak do berka, i szukał czegoś oczyma. "Padnij!" - zawołałem, bo siedziałem blisko, ciągle strzelali. Mękę ten chłopiec przechodził wielką. - Tak... Myślisz, że Bańczycki też dostał?

- Na pewno dostał. Zobacz... - poprowadziłem Chai-ma pod drzwi werandy. - Kupa krwi. A tam zobacz - wszędzie posikana krew. To nie może być krew Gaila. Jego wyprowadzili drzwiami kuchennymi. Po wyjściu naszych Bańczycki jęczał, tłukł się w ciemności, szukając czegoś, i położył się. Ja wyszedłem. Jeszcze w sieni słyszałem, że woła: "Chaim!" - stanąłem pod drzewem, za dziesięć 192

minut padł strzał na cmentarzu. Zapaliłem i czekałem godzinę. Na szosie do Szabasowej ktoś strzelał, krzyczeli ludzie. Potem zjawił się jakiś człowiek pod plebanią, rozmawiał z Bańczyckim. Widziałem potem, jak ty się skradasz z Dudim na podwórze. Można was było kropnąć jak nic. - Dziękuję. Niczego nie przeczuwałem, szczęśliwy, że już jestem na miejscu.

- Co my będziemy jeść? - pytam Chaima.

- Są tylko te przemarznęte kartofle. Bańczycki kiedyś chował króliki w stajni, zobacz tam. Wszystko jedno, można by go tak jakoś upiec na ogniu, nad tą fajerką. - Bardzo pięknie, dobrze, że przypominałeś - i poszedłem szukać, ale nigdzie śladu z królika. Na ponowie śnieżnej wokoło chlewów gładziutko, żadnych śladów, ani łasiczych, ani ptasich. Smutna jest taka martwa gospodarka. Już nie pachniała stajnia krowami, gnój zamarzał pod nawianym śniegiem. Chaim spuścił spodnie. Pochylony, wybierał wszy z gaci.

- No jak?

- Nawet szcztura nie ma - powiadam - a przecież nie będziemy żyć jak wilki. Musimy zmienić miejsce, bo tu pozdychamy. - Ale, pozdychamy... na razie musimy zostać tu, dopóki Dudi nie wyzdrowieje. Albo przymusowo... To nawet, ja ci powiem, przyjemna rzecz takie polowanie na wszy. - Tak, tylko że to od nich można nagle zachorować. Ty weź, Chaim, zdejm całkiem gacie i nad ogniem poprzipiekaj gnidy, właśnie chodzi o te gnidy. - Nie chciałbym się całkiem rozbierać. Trzeba by buty zzuć. - Rób, jak chcesz, ale to by było w porządku, gdybyś wypalił to świństwo. Ja popilnuję, możesz to zrobić spokojnie. 13 " Czarny potok

193

- Tak, chciałem ci właśnie zaproponować. Wyjdź i zobacz, co się dzieje dokoła, w razie czego gwizdaj. Ale zobacz jeszcze, która godzina.

Wlazłem do pokoju Bańczyckiego. - Pół do szóstej - powiadam.

- On stoi chyba?

Nagle na dziesięć metrów przed domem zobaczyłem, że idzie Chuny Szaja i jeszcze jakieś kobiety. Idą zamaszystymi susami, niosą toboły. Już są na progu. - Dzień dobry - powiada Chuny i rzuca swój worek na środek izby.

- Daj Boże zdrowie, co powiesz nowego?

- Przyniosłem wam trochę żarcia. Siadajcie - powiada do kobiet. - Tu są kawałeczki słoniny, są rozmaite rzeczy upieczone zanadto i za mało, bo to z tego nocnego pożaru w Sapiskach. - Chuny siada i od razu zzuwa buty, rozmokłe na szmatę.

A kobiety stały zalęknione pod progiem, śledziły nas oczyma. Były brudne, ubogo odziane, w połatanych kabatach. Trzy starsze z pełnymi brzuchami, a czwarta jeszcze młoda, dziewczyna pewnie, bo rzucała niespokojne spojrzenia na wszystko. - Siadajcie! - krzyknął Chuny. -

Tylko one ocalały z całych Sapisk. Tam można było skonać! - Tak, to pech. Siadajcie - zaprasza Chaim. - Tu już wam nic nie grozi. - Dopóki nie zapadnie zmrok - dodaje Chuny. -

No, wyciągaj z tego worka, pewnie głodny jesteś. Rozmaite kawałeczki słoniny i chleba, nawet pałanyczki. Wchodzisz do takiej nie dopalanej chałupy, patrzysz... tu ktoś zabity, tam się ktoś dopala, a tam... o, ten chleb znalazłem pod przewróconą blaszaną balią. - No, siadajcie, kobity - znowu prosi Chaim. - My

nie jesteśmy z policji.

- Ty jemu nie wierz - śmieje się Chuny i mruga do tej

194

najmłodszej. Kobiety usiadły na ławie i zaczęły cicho płakać napuchłymi oczyma. Jedliśmy zasmolone sadło z chlebem i zapijali gorącą wodą. Kobiety siedziały jak na obrazie, posplatawszy czerwone, spękane ręce na podołkach, i płakały żarliwie. - Co tobie zostało z całej twojej medycyny: dwa palce do liczenia pulsu - powiada Chuny i kładzie dłoń na czole Dudi, któremu twarz już całkiem szerniała. Tłuste, zagarnięte do tym włosy leżały na karku. Chaim milczy, odkroiwszy scyzorykiem margines ze starego "Dzwonu Niedzielnego", pisze list do dziewczyny Latadywana w sprawie lekarstwa i jeszcze tam coś od siebie. Na oddzielnym papierku recepta. - Te trzy kobiety pójda z tobą. Bo co one tu będą robiły, już owdowiały tej nocy. Chcecie gdzieś sobie pójść w świat? Prawda? One pójda z tobą do Szabasowej - powiada Chuny. - Dominka zostanie z nami. To jest jeszcze dziewczyna, ta Dominka... - Tak?

- A co ty myślałeś? Znajoma Wąskopyskiego, ona mu tam wywiadziki robiła w Sapiskach. Chaim, czyszcząc językiem wargi i pocmokując smacznie, mówi jak na lekcji: - Omnadyny dwie albo trzy ampułki, potem tam jeszcze powinna być salipiryna. Ja tu wszystko napisałem, ale ty jej przypomnij. Parę opatrunków, jodyna albo rivanol, parę igieł do strzykawki,

termometr - rozumiesz? - Potakuję. Chaim westchnął. - No, psiakrew, trzeba by mieć antytetanus. - Zdasz wrócić nad ranem?
- Zobaczymy, co ja mogę wiedzieć? Chciałbym. Ale kto wie, czy ta... - Ksawera.
- Czy ona załatwi wszystko dzisiaj? Chaim, skrobiąc się za uchem, mówi łagodnie: 13*
195

- O, tak. To bardzo uczynna dziewczyna. Szkoda, zdaje się, że już Latadywana nie zobaczy ona w swoim życiu.
- No! - grozi palcem Chuny - tylko ty jej o tym nie wspominaj!
- Ale ja sobie tak żartowałem, tak się między nami mówi.
- Czy ty wiesz na pewno, że w Sapiskach nie ukrył się ten człowiek, o którym mówiliśmy po drodze? Powiedz, Domińska? - Bym wiedziała...
- Wąskopyski odszuka go, choćby nieżywego. Gorzej, bo Szerucki poszedł jak kamień na dno. Pies wylaź z grubo i zbierając kruszyny spod naszych nóg, bił ogonem po spódnicach kobiet. - Poznajesz, Bas! - wykrzyknął Chuny. - Ale czekaj - dodał spokojniej - to znaczy, że coś się wydarzyło Kalmie.
Ale Chaim nie zwraca na to uwagi albo nie chciał poruszać tego tematu, mówi do mnie: - Weźmiesz moją parabelkę, staraj się wrócić szybko. Może lepiej, że sobie pójdziesz wcześniej z tymi niewiastami, bo o czwartej zacznie się ściemniać. Chuny klepie Basia po łopacie, ogląda go na wszystkie strony i głaszcze. - Gdybyś nas nie zastał tu - Chaim zmarszczył się - Chuny, słuchaj, co mówię, zwariowany jesteś, kołowacizna będzie teraz z tym psem - przejechał dłonią po włosach i strzepnął palce - trzeba umówić... - Dobra, dobra... ja słucham - mówi Chuny od-krawając psu kawał brudnej słoniny. I postanowiliśmy, że jeżeli ja ich tu nie zastanę, to będą w pogorzelisku Zalasków albo w piwniczce na kartofle pod spalonym spichlerzem nieboszczki Arbuzowskiej. - Dobra - powiadam powoli i sztywno - dooobra.

196
- Albo będziesz nas oglądał jako trupów. Nic nie mówię. Chaim oddaje mi swój pistolet. Kobiety też przygotowują się, zarzucają toboły. Włosy raptem stanęły mi dęba, coś mnie tknęło boleśnie. Niski Chaim podnosi się na palcach i całuje mnie w policzek. - Co za szopa, Chaim - powiadam wzruszony - czegoś my się tak żegnamy jak na koniec świata. Chuny dał mi kułaka w plecy i ruszamy. Chaim odprowadza mnie za wrota, przypomniał sobie, że jest w Szabasowej człowiek, który chce sprzedać broń. - Ksawera zna tę sprawę, dowiesz się od niej. To podobno jest jakiś pięciostrzałowy winczester myśliwski. Zobacz, ty się znasz. Można to kupić. - Kupić, zupełnie słusznie. Myślisz, że Ksawera i to podoła? A jak tam w domu coś tak wypadło, że tych pieniędzy nie ma? - Kobiety już odeszły na dwadzieścia metrów. Chaim wziął głęboki wdech, zamyślił się przymknawszy oczy do połowy. - Ten stary chodzi z dolarami w bekieszy - powiadam - warto by się do nich dostać. Mógłby nam część oddać. Pewnie, że to jest świństwo, ale nie całkiem. Pomyśl o tym. - Pomówię z Chuny. - Chaim podał mi rękę.
- Pomów. Nie będzie grzechu z naszej strony. Po chwili oglądałem się, Chaim stał i patrzył za nami. Baby szły żwawo przede mną. Minęliśmy szary, zaciągający się lodem zagąszcz przy cmentarzu. Przeszliśmy spalone Zalaski i dolinkami za jednym śladem ludzkim na północ, pod dąb i polami do zrębu. Przejdziemy las, równolegle do duktu, potem jarem sadzawki do Pasiek: tam z pagórka w pogodny dzień widać czasem drobnuteńki maczek dachów w dolinie - to Szabasowa. Cisza dokoła, czasem przeleciał wysoko z zachodu na wschód samolot. W dolinkach siedziała rzadka mgła, na pagórkach czysto i mroźno. Baby trzymają żwawy krok, posmarkują, strzepują palce i milczą. Zaraz przyszła mi na 197

pamięć moja matka, też tak szła przede mną, płakała i szła nie wiadomo dokąd. - Do Tałesni pójdziemy - powiada.

- No i co w Tałesni będziemy robić, i co będziemy jeść, ty myślisz, że tam nie zabijają? Mama chyba nie wie, co się dzieje na świecie. Proponuję, żebyśmy tu zostali. Trochę w polu, trochę w lesie. A tu czuję, że to wszystko jest niemądre. Co znaczy: w polu, w lesie? Matka moja milczała i szła. Chwyciłem ją za rękę i zacząłem potrząsać. - Dokąd ty chcesz iść? - spytałem.

- Mam chyba prawo wymagać, byś mnie odprowadził do Tałesni. Postępujesz ze mną, jakbym cię nie kochała, jakbym się z tobą jedną godzinę źle obchodziła. - Ale głupie gadanie! - krzyknąłem. - Dobrze, odprowadzę cię do Tałesni i tam cię zabiją, na rogate. Ja nie chciałbym widzieć, jak cię zabijają. Bądźmy rozsądni obydwójce, po co mamy sobie robić tyle przykrości. - Posłuchaj mnie - matka zatrzymała się i mówi spokojnie. - Posłuchaj, nie bądź taki uparty. Odprowadź mnie pod Tałesnię i możesz sobie odejść. Ja sobie zarobię na życie, będę podłogi myła albo co, może tam jest wychodek publiczny, coś będę robić. - Tam się już wszystko zmieniło w ostatnich dniach. Tałesnia jest już martwa, ciemno już tam jest, nic i nikogo nie ma prócz policji, która grzebie w popiołach. Nie miałem ochoty do rozkazywania. Matka moja rwała naprzód, jak dzika kaczka spłoszona we śnie. Szliśmy miedzami na południe. Tego dnia serce ostrzegało mnie przed czymś i tego dnia byłem najsłabszy w całym moim życiu. - Nie będziesz mi tu wyprawiał teraz komedii - powiedziała, kiedy już byliśmy blisko Tałesni. Wzięła spodnicę w garść i przeskoczyła rów pełen czerwonej wody. - Tam na lewo zobacz: ile ludzi leży nagich.

198

Matka moja pogłaskała się po czole.

- Wszystko zabici?...

Blisko przed nami leżał trup, głową zarył w muł, bez spodni, koszula w strzępach. Tu dopiero matka moja zrozumiała wszystko, odwróciwszy się, poszła ciężko z powrotem na pola. A dokoła wszystko tak samo: młode lato, dzień kończy swój krąg, skowronki śpiewają. Coś zaplus-kało. - Uciekaj, mamo! - Od strasznego oddechu szyja mi nabrzmiała, obie ręce biły powietrze - uciekałem. "Zatrzymaj się - mówiła mi nieraz matka - nie leć jak szalony! Weź jeszcze na drogę kawałek ciepłej buchty!" Usłyszałem strzał i zawróciłem. Matka moja leżała na ścieżce nieżywa i była bez chustki. Zatrute życie na wieki! Całą drogę biłem się w piersi i płakałem. Rankiem przyszedłem do Załasków. Na wygonie stała kupa ludzi, obok stał uwiązany byczek, patrzył spode łba, opuszczał mordę ku ziemi, potem zarzucił głowę na bok, urwał sznurek i pobiegł ciasną uliczką, wyrzucając błoto tylnymi nogami. Ludzie pomachali za zwierzęciem pałkami i śmiali się. Puścili się chłopcy za byczkiem i złapali, zawiązali pętlę na mordzie. Podszedł tam jakiś człowiek, pogroził im kułakiem. - Wy! - krzyczał - wy, jak mi tego byka zaprowadzicie Szwabowi, to was skołowacimy. Czyj on, ten byk? Arbuzowskiej? - Odwrócił się i wpił we mnie spojrzenie pełne podejrzenia. Zabrał mnie ze sobą. Potem zachorowałem, leżałem w stodole u Arbuzowskiej, przyszła Klara Wasicińska, od razu mówiła mi ty. - Co tobie jest? - spytała.

Stała nade mną z włosami zaplecionymi w jeden warkocz, gorzko uśmiechnięta. - Czy ja wiem, co mi jest - powiedziałem. Po południu coś zatrzeszczało koło mnie - to przyszła Emilka, była mokra, spocona, trzymała butelkę w ręku. I za chwilę wlaź Chaim.

199

- Co tam? - spytał. Rozpiął koszulę, obejrzał moją pierś. Emilka kilka razy dziennie przychodziła do stodóły, poila mnie z butelki, a po mojej głowie chodziła bitwa z Niemcami na pograniczu Prus. Dźwięki dzwonów oznajmiały kwadrans bitwy i zawsze ktoś mnie ujmował za rękę i zapraszał na odpoczynek, konie obrokowały - dowódca plutonu zamrugał

do mnie i powiada, że tu jest gdzieś blisko dobre jedzenie. Idziemy za kościół, do szarytek. Tylko stanęliśmy na progu, przybiega ułan i powiada, że wyruszamy. Słychać bez przerwy dudniące na szosie tabory. Wracamy do koni, ludzie śpią na murawie. Artyleria niemiecka zagrała pobudkę. Na koń! Ściągamy sakwy z pysków. Przestaliśmy kwadrans na koniu i biją dzwony - poszliśmy na las. Zagrały karabiny, upadł pierwszy ułan, moja lanca nadziała się na kogoś... Emilka potrząsa mnie za rękę i powiada: - Ja ciebie okryję słomą, leż spokojnie, bo żandarmi są we wsi - i wybiegła zdenerwowana. I nikt nie przychodził do mnie, aż trzeciego dnia o zmierzchu zjawił się w stodole jakiś człowiek w skórzanej kurtce z automatem przez pierś, niski, chudy, ale zwarty. Milczał, przypatrując mi się uporczywie błyszczącymi źrenicami; odszedł postawiwszy koło mnie butelkę z maślanką. Dwa tygodnie później przyszedł w nocy Chuny.

- Wstawaj, koleżko, pojedziemy. - Potykając się, rzucając rękoma jak pływak wylazłem za Chuny na ciemne podwórko. Stały tam trzy konie, był Szerucki i ktoś obok, milczący. Wsadzili mnie na konia i pojechaliśmy drobnym kłusem. Objąłem szyję końską, mżył drobny deszcz, mijaliśmy kupy otawy, chrzęszczące pod kopytami kartofliska. Podtrzymywali mnie Chuny i Szerucki, ręce ich były żelazne. Nie mieli czasu mówić ze mną - bracia moi, obrońcy, towarzysze. Stępa, ostrożnie zjeżdżamy urwiskiem w jar. O świcie zsiadliśmy z koni w lesie. Szerucki oddał lejce Chuny, polazł do ciemnej sieni, po chwili wyszedł -200 kiwa ręką. Chuny prowadzi mnie do izby, w której siedziało kilkoro ludzi, dzieci spały na słomie pod ścianą. - Wyprowadźcie go - powiada ten w skórzanej kurtce. Przesiedziałem w krzakach do pełnego słońca, przyszedł Chaim, kazał się rozebrać do naga, a Chuny z Szeruckim

przynieśli baniak ciepłej wody.

- Ty wymyj się - powiadają - bo dzieci są między nami, a o zarazę nietrudno. Te brudne łachy z siebie zaniósłem daleko w krzaki, wymyłem się. Dali mi zgrzebną koszulę, kurtkę po kimś zamożnym i nowe wojskowe bryczesy. Zjadłem kilka po-śnych kartofli. - Ty, Leit, pogadaj z nim - rzekł Chuny do tego w skórzanej kurtce. I Leit-Latadywan wytłumaczył mi, o co chodzi. Mówił, że wszyscy tu zebrani to bracia, moja nowa rodzina, nie wszyscy są Żydami, ale to jest jedna rodzina. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Nic nikomu o nikim, rozmawiać należy tylko z tym, z kim trzeba, a nie z tym, z kim można. Wszystko oddaj, wszystkim podziel się. Wroga należy zabijać: nożem, łomem, czym się da. Nigdy modlitwą. Staremu Buchsbaumowi wydawało się, że modlitwą oddali wroga, staremu Hochowi wydaje się, że dolarami przekupi wroga. Leit podał mi rękę.

- Młody jesteś, co umiesz robić?

- Zecer jestem.

- Jak się nazywasz?

- Heindl.

- Do szkoły chodziłeś?

- Trochę chodziłem - powiadam.

- Jesteś Żydem? Milczałem.

- No... Chodzi o formalność.

- Trochę.

201

- To znaczy?

- Moja matka Żydówka. - Opowiedziałem dzieje mojego ojca, dozorcę młyna "Pames i Spółka". - Chciałbyś robić wywiad? - Leit popatrzył mi w oczy i to było wszystko. - Gdzieś w okolicy - mówił - jest grupa Czackiesa. Trzeba pójść w teren, nawiązać z nimi robotę. To są ludzie z kamieniołomów, uciekli na wiosnę. Oni się gdzieś włóczą kupką po lasach, żyją półnaczy. To trzeba zbadać. No, więc ty to zrobisz. Wczoraj koło Pasiek zabili człowieka,

mówi się, że to czaczkiesowiec. Zbadać trzeba u ludzi w okolicy, kto to ten zabity. Kto widział i co widział. Gdybyś spotkał Czaczkiesę - poznasz go od razu, bo jest bardzo wysoki, wyższy od naszego Chunya. Tego samego dnia poszedłem lasami pod Pasieki, żeby stwierdzić, czy rzeczywiście ten jakiś zabity człowiek jest z grupy Czaczkiesy. Ale nie, nigdzie tam nikogo zabitego. Dopiero za pagórkami, przy ścieżce do Wilin znalazłem kupę ciała. Była to zabita kobieta i troje dzieci przy niej. Na biednym odzieniu leżała już pajęczyna z rosą. To było mniej więcej tu, gdzie teraz te kobiety przystanąły. Poprawiają tłumoki na plecach, siakają nosy. Przystawiamy dłonie do czoła, bo pali się coś w Szabasowej czarnym dymem. Daleko na szosie widać kilka par sań. Robi się fioletowy wieczór, na drzewach usiadł szron, szkli się solą przed nami ścieżka, a daleko głucha ściana dymu. - Nie nocował w waszej wsi ten człowiek, wy go pewnie znacie, ten, co to u księdza na podwórzu został raz postrzelony. Leit on się nazywa - pytam najbliższej kobiety. - Tak było - powiada ta najbliższa.

- Nocował?

- Ta wariatka Domińska przytuliła go w swojej komorze. Chodziła, udawała, że coś tam wysypuje, a ktoś musiał widzieć wszystko. Ja siedziałam i szyłam. Któryś z chłopów 202 przyszedł i powiedział, że coś będzie tej nocy. Poszli ludzie do Domińskiej i powiedzieli jej, żeby go sobie wywiozła ze wsi: "Słuchaj nas, będzie bieda." A ona stanęła na progu komory i talerzem w pierwszego człowieka. To gwałtowna dziewczyna i nikt już nie śmiał pyska otworzyć. Przyszli nad ranem szupowcy i tak się to stało. - A on? Ten człowiek, ten Leit?

- Spalił się. Ten wasz Szaja zebrał to, co się nie spopieliło, do czapki znalezionej pod przełazem. A co jej, zdrowej kobyle, wysadziła okno i nawet nie wie, co się u nas w przysiółku potem stało. Matka moja jeszcze wybiegła na próg i przewaliła się na poręcz, coś wołała. A tu lęk, Jezu, jaki lęk. Wyleciałam z domu i biegłam na ogrody, i lękałam się, że dogonią i siły nie będzie, żeby się wyrwać z tych strasznych rąk. - A co z tą czapką?

- Zakopali koło figury. Ziemia zamarzła na kość, ciężka. Siekierą rozbili i zasypali. - Waszych chłopów zabrali czy zabili?

- I zabili, i zabrali na śledztwo. Swego ja nigdzie nie poznałam. - Pewnie zabrali - powiadam.

- Dowiemy się u kolejarza na szlabanie, on musiał widzieć, kogo tej nocy przyprowadzili z szosy do Szabasowej. No nie? Ale kobiety milczkiem sunęły w dół. Nad lasem pokazał się czerwony jak węgielek księżyc. Mrok szybko zasłaniał oczy. Zimny północny wiatr szczyptał za nos, słychać już było gwizdy z dworca Szabasowej, gdzieś czekały psy z przypłaszczoną nocą odległości. Mijamy ciemne domki na przedmieściu Foresta, ludzi nie widać, gdzieś ktoś jak czarna kula przetoczy się szybko z podwórza na podwórze. Przed szlabanem pchnąłem rękę do kieszeni, pistolet zimny jak lód. Ktoś stoi w ciemnym płaszczu.

- Dobry wieczór - powiadam.

- Dooobry - huczy niski bas.

203

- Co tu się paliło? - Przystajemy, ten obcy zapala szybko papierosa i w blasku od zapałki przypatruje się mojej twarzy. - Baraki żydowskie spalili - powiada i przytknął węgielek za siebie, zrobił krok ku kobietom. - Ja na waszym miejscu sprzedałbym samogon tu, w mieście odbiorą wam żandarmi. A ty żyj, człowieku, nie wiadomo jak. Zajdziemy tu do budki, zapłacę. - Czym pan płaci? - spytałem.

- To zależy - on powiada i chrząknął.

- Musimy iść do kryminalnej policji - powiadam - bo tym kobietom zabrali tej nocy mężów. - Trudno, co pilniejsze.

- Widział pan co w nocy? - pytam.

- Co pan rozumie: widział?

- Czy kogoś przyprowadzili z szosy do miasta?

- Czemu nie, ile razy to się widzi. Co z tego? Kolejarz odszedł za tor i zaraz nadjechał pociąg towarowy ze wschodu, widać na tle nieba krowie łby z dużymi rogami, ryczą cielęta, kwiczą świnię. Stoimy chwilę - długi jest pociąg. Widać za wagonami w błyskach latarki elektrycznej cholewy żandarmów. Odłączyłem się od kobiet i szybkim krokiem wzdłuż szkarpy uciekam między kupy desek. Pociąg przeleciał, słysząc koło budki: - Samogonka, samogonka!

Donerweter! Kom... kom... kom..

Biegłem wzdłuż jakiegoś rowu, magazynki grzechotały w kieszeni, za drutami kolczastymi białe pustkowie boiska sportowego i teraz z boku widziałem światła elektryczne sunące po szkarpie. Tam dalej ktoś zagwizdał dwa razy na palcach. Na ulicy Kolejowej spotkałem dziewczynę, może czternastoletnią, szła w kierunku miasta, dźwigając coś w wiaderkach. - Niech mi panienska pozwoli - powiedziałem - pomogę.

204

Dziewczyna nie odpowiedziała, można było przypuszczać, że się przestraszyła, zaczęła płakać. - To, proszę pana, ja sobie kupiłam.

- Nic... nic - wyszeptałem i pobiegłem.

Ulica była pusta. Okiennice zamknięte, tylko z Grand Hotelu buchała na drogę smuga światła; nad dachem dym sznurujący prosto do nieba. Za hotelem uliczki getta, sterczą połamane futryny jak zawalony wiatrak. Snuł się tu jeszcze niedawno, w letnie wieczory, tłum ludzi. Zimą dzieci biegały na ślizgawkę, zgarniały śnieg z poręczy targowiska i jadły, żeby się przekonać, czy jest smaczny. Robotnicy z kobietami rozsiadali się na ławkach, dowcipkowali, gryźli słonecznik. Bzykały muchy, chodziły indyki. A w oknach zawiniętych bluszczem do późna błyszczało zielone światło księżycy, zakochani całowali się w altanach. Ciepłe były płyty kamienne chodnika, a na nich dzieci na czworakach lub czepiając się rączkami ogrodzeń stawiały pierwsze chwiejne kroki. Wesołe psie gonitwy, a za nimi panowie na przechadzce. Żebracy rozwijali w bramach gazety z ogryzkami chleba, pierogów, placków. W hotelu grała orkiestra, migotały, gasły i zapalały się kolorowe światelka. Szurzały nogi w tańcu... Nad Szabasową stał księżyc, nad gettem snuły się mgły, gmatwały się uliczki za drutem kolczastym. Obok, w dole, ulica Nowa. W cieniu, za drzewami, uchylona furtka. Ścieżka udeptana do ganku na tyle domu. Postałem chwilę na progu, zadzwoniłem i ruszyłem w głąb długiej sieni.

Ksawera powiodła błędnym spojrzeniem dokoła.

- Znikąd ratunku, jestem zupełnie sama, pomyślałam sobie, kiedy pan wszedł. Stał pan chwilę na progu, bacznie badając całą izbę. Ktoś obszedł dom dookoła, przeszedł blisko pod oknem, pchnął furtkę. Czekałam ze ściśniętym sercem. Dzwonił pan? - Dwa razy dzwoniłem.

- Zasnęłam ze zmęczenia. Niech pan siada. Milczała zmieszana. - Nie przypominam sobie dobrze pana. Tak coś niecoś. Gdzieś przy ognisku z naci kartoflanych, jesienią. Powiedział pan do mojej koleżanki coś śmiesznego. To, co było przed dwoma laty, mąci się już w głowie. - Właśnie. Heindl się nazywam.

- Tak... żeby się uspokoić, niech pan powie, co pana przywiodło do mnie. Ksawera miała gęste, puszyste, czarne włosy. Błąkałem się oczyma po jej zgrabnej sylwetce, unikając wzroku. Zalała mnie trwoga, jak fala tonącego. Wyciągnąłem list. Okropna wrzawa wypadków, zdawało mi się, że Ksawera została zdeptana i sponiewierana tu, nawet w tej swojej cichej izbie. Kiedy ona czytała, ja szybko, ukradkiem spoglądałem w jej na pół przymknięte oczy. Serce moje słyszało jej rozpacz, nim dosięgła mego ucha. 206

- A gdzie jest Leit? - wyszeptała i popatrzyła na moje ręce. Przychodziła myśl, by wziąć czapkę i odejść gwizdząc. Można było tak zrobić. Ulżyłoby dziewczynie. Gdzie byś nie był, cokolwiek byś robił, przychodzi jednak taki moment, że patrzysz przez mgłę łez. Zagrywasz wariata, rzucając rękoma. - To jest sprytnie człowieczysko - powiadam - da sobie radę. Zapętał się gdzieś chwilowo. • Ale to tylko dla dziecka takie gesty mają większe znaczenie niż rzeczy

realne. Ksawera przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy, tak jakby już odgadła wszystko, wyskubała całą tajemnicę. I tu się dowiodło, że słowami można niejedno zakłamać, ale gestem nie sposób. Dalej już nic nie wychodzi. Uśmiechnąłem się: - Taaak. Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, żeby go odszukać. - Zabawne. Czego mi pan to tak mówi? Niepokojąc się, jeszcze raz podniosła list do oczu. - Czego zabawne? - spytałem tak sobie, żeby coś mówić.

- Przyzna pan za chwilę, że to zabawne. Starła się mnie wybadać, wiedziała dobrze, do czego zdąża, ale ogarniała ją niecierpliwość. Wstała, napompowała prymus. A ja zacząłem ją wypytywać, jak się jej powodzi i o całe życie w Szabasowej. - Biedny... Każdy z was żyje, a on musiał zginąć - ciągle wracała do tego Ksawera. - Jeszcze nic nie wiadomo - powiedziałem. - Nikt jego trupa nie widział. - Kiedy wypowiedziałem słowo: trupa, Ksawera jakby miotnął wiatr, podbiegła do mnie.

- Na pewno on nie żyje. Na pewno! - krzyknęła i wróciła zakrztuszona płaczem do kąta z prymusem. 207

Wyciągnąłem przed siebie zgonione nogi i tak siedziałem bez ruchu, zamyślony i wzruszony.

- Zabawny z pana człowiek - Ksawera odwróciła twarz w moją stronę. - Czego? - spytałem. Milczała, smarując chleb marmoladą.

Mieszkanie Ksawery było długie i wąskie jak brama w zajeździe, ale czyste. Dwa okienka zasłonięte szczelnie kocami. Stół, dwa krzesła, szafa z lustrem, staroświecka skrzynia okuta żelaznymi kwiatami, duży czarny kredens z dwoma parami drzwiczek i mała kanapa nakryta żółtym liźnykiem. Nad kanapą wisiał krzyż drewniany, kotylion w celofanie i wianek z kocanki, w rogu na metr wysoka sterta książek. Nad książkami wisiał obraz - taki widok z okna na szare niebo z drzewami uciekającymi wraz z chmurami. Na szafie ruda wiolonczela. Zjadłem chleb, wypilem sagan zbożowej kawy.

- Pan pali?

- Tak.

- A Chaim ma co palić?

- Jak czasem. Bakun przeważnie. Albo też kilka dni nic. Ksawera skłaniała potakująco głową i ani na chwilę teraz nie spuszczała oczu z mojej twarzy. - Gdzie teraz jesteście?

- W Zalaskach.

- Jednakże... Kiedy pan chce wracać?

- Nawet zaraz.

- Ja wyjdę po te lekarstwa dla Chaima, a pana tu zamknę.

Stała za drzwiami szafy, rzuciła mi na stół pudełko papierosów i zapalki. Wdziała ciemne, sukienne, mocno wcięte w talii palto, włóczkową czapkę. - Niech pan zgasi lampę i siedzi spokojnie do mego powrotu. 208

Wyszła. Dwa razy zgrzytnął zamek w sieni. Zgasilem lampę, ściągnąłem buty, namacawszy kanapę ległem na niej. Dawno leżałem na czymś tak przyjemnym. Ciepło, sucho, gdzieś blisko mego ucha chodził zdrowym balansem budzik. Za ścianą słychać teraz wyraźnie kłótnię: - Zobaczysz ty wtedy - krzyczał mężczyzna - zobaczysz, czyja się boje. On nie skoczy, zabije go. On mnie nie zna. On tu nic nie ma do pokazania! - Zrobi, co mu się podoba! Ty ciągle przypuszczasz, że on ma przed tobą stracha. Teraz ty tu potańczysz... Sen mnie morzył, paliłem papierosa za papierosem. Potem za ścianą zrobił się wielki zgiełk, krzyki zadowolenia, śmiech kobiet, szczekanie psa, potupywanie nogami i hałas niemożliwy, jakby ktoś coś wielkiego wygrał. Jakaś zabawa była skończona. Wstałem, żeby wszy ze mnie nie skapały na pościel Ksawery. Chodziłem od okna do drzwi, rozmyślając o tym i o owym, jak to bywa, kiedy człowiek jest w takiej sytuacji. - Co wiesz o Ksawerze - pytał pewnej nocy Chaim Szeruckiego. - A bo co?

- Latadywan listy od niej dostaje, paczki z jedzeniem.

- Ona nie ma żadnego fachu. Ojciec jej jest już dziesięć lat we Francji. Przysyłał trochę pieniędzy. We Francji można było zarobić więcej pieniędzy niż tutaj. Ona grała na skrzypcach w "Rojte Bandę", ale nie jest Żydówką. - A, to ona! Przypominam sobie - powiada Chaim.

- Na Zawodziu mieszkała z trzema robotnikami ze szczeciniami. - Tak, tak, tak. Dobra nasza - powiada Chaim - już ja wiem, kto ona jest. - Ty, człowieku, nie spytuj mnie z rozumu.

- Co znaczy?

- Wszystko o niej wiesz, a pytasz chyba na wariata.

14 - Czarny potok

209

- Złóścisz się, bo nic o niej więcej nie wiesz. Żyłś tyle lat w Szabasowej, a nie znasz ludzi tamtejszych. - Gadaj zdrow, pukaj dziobem w szybę. I z takiej podstępnej rozmowy można się było dowiedzieć, że Ksawera nie jest dziewczyną, miała męża, żyła z nim rok i zostawiła pijaka, wygłodzonego obłudnika o nienagannym zachowaniu wśród ludzi, szulera i tajniaka o spadzistych biodrach. Można było własnym nie wierzyć oczom - taki był miły na pozór. Bił ją, brutalnie ciągnął pod siebie; miażdżona i kopana, ze strasznym uczuciem obrzydzenia poddawała się w rozpacz. Przecierpiała rok, któreś nocy wprost z pościeli, porwawszy odzienie, uciekła od alkoholika. Żyła potem z Leitem, on grał na wiolonczeli, ona na skrzypcach. Nabrała do tego człowieka wielkiego zaufania, opowiadała o swoim życiu, o dzieciństwie, o śmierci matki, z której śmiercią skończyło się wszystko na świecie prócz muzyki. Ojciec, Austriak, nie interesował się córką, czasem przysłał trochę grosza. Zawsze bardziej kochał pieniądze niż ludzi. I zaraz przy pierwszym tchu w tym jej nowym życiu z Leitem - przyszła wojna. A Ciszka, mąż Ksawery, na drugą noc po wejściu Niemców do Szabasowej, "celem zapobieżenia wszelkim nieprzewidzianym wydarzeniom, które by mogły spaść na nią", dlatego że żyje z Żydem - zapukał. Bule i ktoś jeszcze pod oknami. Ulewa lipcowa szumiała bez przerwy. Ksawera zbudziła się, doleciał ją szmer pod ścianą, skrzypnęła deska na progu. Zbudziła Klarę, która tam nocowała, ukrywszy kosztowności Arnsteinów pod podłogą. Klara otworzyła okno: - Do kogo? - Czy tu mieszka pani Ciszkowa? - rzekł Bule. - A tak. Przez sień.

I Bule z Ciszka zaczęli się gramolić po deskach na ganek. Tylko ten obcy, chytry pies, włożył na okno. Leit odważył się, uderzył tajniaka żelazną raszplą po głowie. - Drzwi wyważymy! - krzyczeli tamci przy wejściu.

210

Klara i Leit uciekli w ogrody pod wałami. Nocą po mieście chodziły niemieckie patrole, strzelały do okien. Leit do rana przeleżał w kartoflach. I od tej pory nie widział już więcej Ksawery. Dostawał od niej listy, jedzenie, pieniądze. Życie Ksawery w dziewięciu dziesiątych było życiem ciężkiej pracy i kamiennego uporu w gręplarni wełny. Nie uwolniła się od udręczeń Ciszki, nagabywań, szantażu i prowokacji. Nigdy w życiu, jak to nieraz opowiadała Klarze, nigdy do tego stopnia nie czuła się szczęśliwa, jak teraz, kiedy tyle okazji do chronienia tropionych ludzi. Odkąd Leit błakał się po lasach, nie tknęła skrzypiec. Na nic muzyka, kiedy człowiek płacze w środku, kiedy na oczach rozbijali dzieci o mur. Można było przypatrywać się z ukrycia żandarm-skiej nocy. Codziennie nad ranem gwałtowne stukanie do drzwi budziło kogoś na śmierć. Zostawały tylko zwierzęta i zdychały na progu. Ksawera wyprowadziła w burzliwy wieczór kilkoro dzieci za miasto i oddała w opiekę Chuni Szaji, który czekał z Szeruckim w Lipkach. Tylko Kalma ocalała, chodziła w szmatach i w worku na głowie, a wszy wgryzały się do kości. Zapalając papierosa spojrzałem na budzik: pół do ósmej. Podciągnąłem pas u spodni i zacząłem robić przysiady, bo zaczęły mnie brać dreszcze. Za ścianą znowu ktoś mówił do kogoś głośno. Łaziłem na bosaka po zimnej podłodze, brnąłem przez wspomnienia skracając szczegóły. Przyszedł na myśl Ciszka. Warto by spytać

Ksawery, co robi ten szuja. Ale czy to wypada mówić z nią, wchodzić w te poszczególne podłości? Bo i tak zapowiadało się na to, że kara na niego zbliża się. Żeby nie wiem co miało się stać potem, Chuny z Szeruckim zakatrupią go. Kto kazał temu bandycie podszeptać żandarmom polowanie na dzieci? Żadne się już nie podniosło z glinianego pagórka. A potem jeszcze z kilkoma czekał do wieczora w krzakach, że jeszcze kogoś zwał na zasiadkę. Widać ich było, rozeszli się koło 14*

211

północy w różne strony bez pożegnania. "Zapamiętać trzeba to wszystko - mówił Leit - choćby to nie wiem jak płynęło malutkimi strumyczkami. Nie dać po sobie chodzić, nie dać się zabić, nie dać się wszom i głodowi." Leit był prawie niskiego wzrostu, szczupły, z brzydką ospowatą twarzą, umiał się bić nie gorzej od zylastego Chuny czy Szeruckiego. Zimnym bystrym okiem prześledził każdego, chytrze zadawał cios, w rozmowie nie gestykulował wcale i uparty był jak kamień. Leżeliśmy kiedyś z Latadywanem na miedzy blisko szosy, na której pracował batalion żydowskich robotników z żółtymi łatami na plecach, czatowaliśmy na odemana, który majątek zrobił na dostarczaniu robotnikom szkaplerzy z rtęcią przeciw wszom. Robił wymianę - rtęć w maści za pierścione, zegarek, złote rubłówki. Leżąc tak, obmyślaliśmy, czym tego złodzieja unieszkodliwić, bo broni żadnej jeszcze nikt z nas nie posiadał, prócz dużego scyzoryka w blaszanej okładce z napisem "Magnitnaja łoszad". Nie zdążyliśmy pomyśleć, kiedy Leit już skoczył i stanął na metr od odemana. "Rzuć to!" - krzyknął z całej siły po niemiecku i z wzniesionym nad głowę kamieniem ruszył o krok. Cios padł tylko raz. Z uszu odemana wyciekła krew. Leit nie zdążył ob-szukać leżącego, chwycił tylko pistolet. Warta zaczęła strzelać. Piętnastu ludzi z batalionu uciekło klucząc między krzakami. Szerucki patrzył na niego ze zdumieniem, kiedy się o tym dowiedział. Pierwszy raz ktoś postąpił w ten sposób. Twarz Leita zmieniła się odtąd do niepoznania, tylko czasami błąkał się jeszcze ten sam cienki uśmiech na wargach. Częściej też nam powtarzał: "Nie ma takiego prawa na ziemi, które zakazałoby bronić się przed śmiercią. Przy dobrej woli i wysiłku zlikwidujemy niejednego." Tego samego dnia wieczorem wszyscy z naszej grupy popili się samogonką u Arbuzowskiej, tylko Leit i Wąskopyski nie

tknęli trunku. Wśród gwaru i uciechy powyłaziły takie rzeczy, z których sami nie zdawaliśmy sobie sprawy, ile kto wart. Toteż odeszli na wieki z naszej grupy Piega i Bam-bucher, zboczeńcy i prowokatorzy. O ósmej wróciła Ksawera. - Proszę zaświecić - powiedziała cicho. - Nawet nie wiem, jak panu na imię. Ten Chaim ma głowę na karku, zmienił pismo na recepcie. Był ktoś w aptece taki, że mi się niedobrze zrobiło. Długo byłam? - Tak sobie, może godzinę.

- Co pan robił? Zdrzemnął się pan?

- Ot tak, myśli się to o tym, to o owym. Słuchałem trochę, co za ścianą mówią. - I co pan podśluchał?

- Jakaś kłótnia tam była.

- Poznam pana z tym człowiekiem. On tresuje psy, stary dziwak. W śmiałym spojrzeniu czarnych oczu Ksawery zjawiał się wyraz badawczego zniecierpliwienia. - Ja wspomniałam o nim w liście do Chaima.

- Tak, mówił mi o tym...

- Będzie pan mógł mówić z nim. Pójdzie pan ode mnie dopiero rano, bo dzisiaj żandarmska noc. Kilku jeńców sowieckich uciekło z obozu, ulice obstawione. Żadnych dokumentów pan pewnie nie ma. - Pani żartuje chyba. Tam chory czeka.

- Myślałam o tym - Ksawera spojrzała mi prosto w oczy i pokręciła głową - nie przebije się pan wcześniej z Szabasowej aż nad ranem. Tu panu nic nie grozi, przesiedzimy w ciemności te cztery, sześć godzin. Ksawera podała młodą, dobrze ugotowaną wędzonkę, jedliśmy i

rozmawiali. Słysząc było krótkie seryjki z pistoletów, ktoś przebiegł pod naszymi oknami i skręcił w roz-waliska. - Nienawidzę nawet samej myśli o tym, że się może coś

213

takiego dziać. Herbatę wypijemy po ciemku. Te lekarstwa niech pan od razu włoży sobie do kieszeni kurtki, wszystko jest, co trzeba. - Właśnie - powiedziałem, wziąłem z rąk Ksawery pakiecik. Przyznać się trzeba, że zaczęły mnie niepokoić strzały na ulicy, wołałbym być na przestrzeni, a tu zestarzeć się można było w oczekiwaniu na głupie wypadki, toteż wzułem buty i usiadłem blisko okna. Zapchawszy rękę pod koc, badałem zasuwki, żeby w razie czego nie guzdrać się za długo. Zajrzałem przez szparkę - ciemna noc czy mróz tak zasłonił szyby? - Jak się czuje Chaim? - spytała Ksawera.

- Jak się można czuć? Tak jakoś... Zapaliłem papierosa, Ksawera usiadła, kanapa zatrzeszczała pod jej pełnym ciałem. - Nie będzie pani spać przeze mnie. Ksawera nie odpowiedziała od razu. - Głupstwo, niech pan nawet nie myśli o tym.

- Jutro pani musi stanąć do roboty, sił nie będzie.

- Niech pan odejdzie lepiej z tym tematem. To głupstwo wszystko. Co jest z Kalną? - Mało o niej wiem teraz. Prawdopodobnie u Czacz-kiesa, gdzieś z jego ludźmi. Wyżlizguje się od śmierci. - A Ciria?

- Straciła rozum, błąka się po lesie.

- Ja Leita poznałam na weselu Cirli. Stary Buchsbaum zamówił nas, graliśmy do kolacji. Ciria stała przed lustrem, rozczesywała swoje długie włosy, rude włosy. Drużki założyły jej nad czoło metalową obręcz zachodzącą aż na skronie, a za uszami były takie dwie klapy z pozłacanej blachy, i na tę podkładkę zarzuciły wszystkie włosy do góry i zakarbowwały. Czoło się odsłoniło i głowa stała się wysoka. Potem ustroiła się w klejnoty rodzinne, kolczyki, pierścionie, bardzo pięknie wyglądała. Wszystko się tam odbyło starozakonnie, tylko Chuny był po świecku ubrany. Szedł 214

pod baldachimem wyprostowany, a przy jego wzroście bardzo to śmiesznie wyglądało. Potem przycupnął w kącie i słuchał muzyki. On lubi muzykę. Myśmy po północy zagrali Erikonig. Leit kochał Szuberta. Chuny podszedł do Leita: "Co to było?" "To? Szubert." Sama też wówczas dowiedziałam się od Leita, że Szubert był brzydkim i biednym synem prostego nauczyciela. Jak Cygan miał kręcone włosy, ciemną cerę i ogniste oczy. Miał jedenaście lat, kiedy przyszedł do konserwatorium z prośbą o przyjęcie go. Zadrwili z niego, Cyganiątka w podartej bluzie. Mając lat szesnaście wrócił do domu, do ojca, braci, którzy też byli dobrymi muzykami, koncertowali sobie w domu. Jeszcze bardzo młodziutki był, bo miał dopiero dziewiętnaście lat, i napisał Erikonig do ballady Goethego. Pana pewnie nudzi to moje gadanie?

- Nie - powiadam - chętnie się słucha coś takiego.

- Życie jego było skromne, a trosk nie dzielił nikt. Nikt. Ciągła praca nad nowymi utworami i ciągle ubieganie się o jakąkolwiek skromną posadę, której nigdy nie otrzymał. W lecie kilka tygodni pieszej wycieczki w austriackie Alpy z przyjacielem śpiewakiem - oto życie i los Szuberta. Najszcześniejsze dni dla niego to te, kiedy szedł wolny przez góry i gaje z przyjacielem i śpiewali sobie. Śpiewali piosenki, może najpiękniejsze, takie na pewno, których jeszcze nikt przedtem nie śpiewał. Szubert kochał wszystko. Umarł młodo, miał trzydzieści jeden lat. A dwa koncerty publiczne ledwo starczyły na jego pogrzeb. Niech mi pan teraz opowie coś o Leicie. Kiedy go pan widział ostatni raz? - Dawno go widziałem, byliśmy rozłączeni, a nawet trochę pogniwani. - Czego pogniwani?

- Bo był odmiennego zdania co do jednej sprawy. Właśnie chciałem zapytać - ile pani wydała pieniędzy na te lekarstwa? 215

- Z tych pięciu dolarów Chaima mam jeszcze dwa w kieszeni. Gdyby wam trzeba było, to się coś zrobi. Mam pewne źródło. To nie ma nic do rzeczy, tym się nie martwicie. Niech pan powie, o co pogniewaliście się, smutno mi się robi. - Nic wielkiego, trochę poróżnili się z Chaimem. Mówiło się często, że nie ma pieniędzy, choćby na wikt dla tych biednych dzieci, co się włóczą z nami. - Cóż temu winien biedny Leit?

- Jak by pani postąpiła na przykład w takim wypadku:

po lesie włóczy się człowiek, całkiem stary człowiek z dolarami zaszytymi w rudej bekieszy. Jest tego, według zdania tajniaków, ze czterdzieści tysięcy. - Ja bym mu zabrała, wydzieliła tyle, ile trzeba na życie, dajmy na to, na cały rok, i koniec. Moglibyście na przykład wziąć go pod opiekę, wyszukać jakieś schronienie, bo się trzeba liczyć, że to człowiek stary. A jakie stanowisko zajął Leit? - On inaczej, i tu pierwszy raz Wąskopyski z Leitem poróżnili się. Leit mówił: "Nie róbcie tego, zastanówcie się, jakie to fatalne może mieć skutki na całość sprawy." "Jakiej sprawy? - mówił Wąskopyski. - Na przykład jakiej sprawy?" "Ty się zastanów, pomyśl nawet kilka dni, potem dasz mi odpowiedź. Na pewno zgodzisz się ze mną." "Powiedz mi: dlaczego staremu nie można zabrać trochę tych dolarów? Na przykład dlaczego?" "Spróbuj to zrobić" - ostrzegał Leit.

"Ja się nie pcham do tego. Bo i tak wyjdzie na to, że tajniacy podbiją nogi staremu, i koniec. Dzieci bez łyżki ciepłej strawy, bez łacha na grzbiet. Cóż to za sprawa taka bogobojność."

"Zastanówcie się - rzekł Leit. - Nic więcej nie powiem."

216

- Tak, to nie jest takie proste, jak mi się w pierwszej chwili zdawało. Nie mogę sobie przebaczyć tego - rzekła Ksawera. - A Leit zaczął patrzeć na nas wzrokiem innym niż kiedykolwiek przedtem. "Może ja wam jestem niepotrzebny, może ja wam przeszkadzam - i poszedł. Jeszcze się odwrócił - zastanówcie się" - powiedział i poszedł gdzieś, nie wiadomo gdzie. Dudi, który był przy nim do ostatka, wie bardzo mało, prawie tyle co nic. Można sobie rozmaicie ten wypadek tłumaczyć: na dobre i na złe. Tymczasem jest tak, że jak się nie widzi trupa, to szkoda gadać o tym wszystkim. Tak samo jest z Leitem, niech pani pomyśli trochę, co ja powiedziałem. - Jak to mam rozumieć?

- Prosto. Ja nie przysięgnę, że on nie żyje. Ksawera zamilkła, widocznie nie chciała już nic na ten temat powiedzieć. Poruszyła się na kanapie i wyszeptała: - Tak, tak, tak... Jakież to straszne wszystko razem. Po dłuższym milczeniu podniosła się i powiada: - Zawołam tego mego sąsiada. Rozmówcie się! On ma do sprzedania jakiś karabin. Musi pan jednak udawać, że pan jest kłusownikiem, że panu broń jest potrzebna na lisy albo coś takiego, bo on twierdzi, że ludzi nie wolno zabijać. "Człowiek jest potrzebny" - powiada. - Kto on jest?

- Wysłużony strzelec u jakiegoś hrabiego. Nazywa się Trypka. Teraz handluje psami, sacharyną, karbidem, sodą kaustyczną. A poza tym tresuje młode psy, nie wiadomo na co, ale tresuje. Można powiedzieć, że męczarnię przechodzą te zwierzęta. On się stara wdroić je do ataku na człowieka. W tym celu przebiera swego czternastoletniego wnuka w grube brezentowe łachy, twarz mu osłania drucianą siatką pszczelarską, na plecy zawiesza coś niby karabin, na przykład motyczkę. Widocznie chce w psie obudzić niena-217

wieść do uzbrojonych. Ja to słyszę nieraz przez drzwi... okrucieństwa. Ten wnuk bije psa, a stary szczuje, i to trwa godzinami, do jakiegoś tam skutku. Powiada, że on lubi takie emocje, daje mu to ulgę. Powiada, że po godzinie tresunku czuje się mniej osaczony przez wrogów. Ma on podobno jakichś swoich wrogów, którym nie wystarczy nasypać tabaki w oczy. - Czy warto mówić z nim na temat broni?

- Tak. Nic nam nie grozi z jego strony. On ma w tym swoje obliczenia, chciałby coś zarobić, nic innego, zdaje się. Może mu pan obiecać coś ze zwierzyny, on zresztą na to liczy, bo mu już o tym wspominałam. Na inne sprawy jest najzupełniej obojętny. - Co znaczy: inne sprawy?

- Na to, co się dokoła dzieje. Łazi po terenie getta i wyłapuje koty, skórka skórą, a z reszty robi się mydło. Na wszystko inne ma szubieniczną minę. Powiada, że on też tyle starań włożył w swoje życie i wszystko na nic. "Jesteś pani zuch" - mówi mi nieraz. "Czemu?" - pytam go. - "Że się pani nie dała podeptać, życie wypróbowała do dna, ale nie dała się przyklepać ludzkimi butami." Ziewając wyciągnąłem nogi pod stołem i teraz dopiero poczułem, jak strasznie jestem zmęczony po dzisiejszym marszu, po wczorajszej nieprzespanej nocy. Wyciągnąłem papierosa z kieszeni, poszukałem zapalek, ale właściwie wcale mi się nie chciało palić, trzymałem pudełko w garści i słuchałem. - Bóg raczy wiedzieć, co w tym człowieku siedzi. Brakło mi odwagi, żeby go śledzić, nie jestem też pewna, czy w tym stanie moich nerwów nie popełniłabym jakiegoś błędu. Zresztą spotkanie z nim wyjaśni panu wszystko. - Nie rozumiem.

- Dowie się pan też, co wam policja da za wypuszczenie Gaila. 218

Pot wystąpił mi na czoło. Cisnęły się pytania. Tysiące spraw pomieszanych w jednej kupie, zaraz też trzeba było coś powiedzieć, ale zanim zdążyłem wymyślić - Ksawera ciągnęła dalej:

- Mnie się wydaje, że oni mają Leita, wzięli go na zastaw. - Skąd to pani przyszło do głowy?

- Nie ma się pan czego obawiać, mając do czynienia ze mną. O Leicie i Gailu mówiło się w aptece. - Pani z kimś mówiła na ten temat?

- Nie.

- A co?

- Jeśli mi pan przeszkodzi w poszukiwaniu Leita, poniesie pan wówczas całą odpowiedzialność. - Co się stało?

- W aptece zastałam jakiegoś człowieka. Kiedy weszłam, to on mówił do laborantki: "Pamięta pani coś niecoś tego nauczyciela z hebrajskiej szkoły?" "No tak, czemu nie. Taki kucy, grał na wiolonczeli."

"To jego policja tamtej nocy złapała."

"Proszę poczekać - powiada laborantka - lekarstwo musi się gotować." - Szepnęła coś do Bifersterowej i ta z rozwartymi wysoko ustami, podtrzymując językiem górne zęby, pyta mnie: "Co pani sobie życzyła?" - Ciągle się odwracała do laboratorium, jakby stamtąd ktoś groził jej rewolwerem. Poszła za recepturę. Gruby męski głos mówił: "Ja nie jestem zakochanym głupcem. Ja dobrze obserwuję interesantów." "Zobacz jego stare recepty, przekonasz się, że ja mam rację." "Pani ma flaszeczkę na rivanol?"

"Nie, nie mam."

"Kto pisał tę receptę?"

219

"Doktor Ferencki" - powiadam.

Niski, gruby człowiek wytoczył się zza receptury, trzymając w ręku plik papierków. "Pani zna doktora Ferenckiego? Jest pani jego pacjentką?" "Tak."

"Jak się jemu powodzi?"

"Jak zwykle."

Grubas oparł się na łokciu i powtarzał sobie szeptem: jak zwykle. "Proszę poczekać" - i wyszedł. A ten jakiś obcy, czekający na lekarstwo, powiada: "Co teraz będzie... zabili tego z tajnej policji... Trypka był wzywany na śledztwo." "Który Trypka?"

"Ten psiarz."

Z laboratorium głos męski:

"Pani jest skrzypaczką?"

"Tak."

"Co się dzieje z magistrem Arnoldem?"

"Nie wiem."

"Myślałem, że pani coś wie... pytam dlatego, że w mojej naturze jest wiele ciekawości." Podaje mi paczuszkę z lekami, wyciągnęłam rękę, ale gdy ją próbowałam wziąć w dwa palce, on potrząsa nią. Powstało we mnie podejrzenie, że to jakiś znak albo celowo zmierzał do wywołania we mnie tego strasznego rozpołowania się na strach i ciekawość. - Kto to ten grubas? - spytałem Ksawery.

- Nie wiem. Nigdy go przedtem w Szabasowej nie widziałam. Zapłaciłam. Wydał mi resztę i pyta tego siedzącego:

"Jak myślicie, zastrzelą tego Leita?"

"A po co go łapali, pan myśli?"

"Tego wszystkiego nie wziąłem pod uwagę."

220

Bifersterowa wyszła z laboratorium, położyła rękę na ramieniu mężczyzny. "Myślę, że mnie samej nie zostawisz. Nie warto wychodzić. Dużo jeńców sowieckich uciekło, mogłaby cię spotkać jakaś nieprzyjemność na ulicy." "Teraz mogę chwileczkę posiedzieć przy tobie, a potem sobie ślicznie pójdę do domu i będę spał." "Och, ja myślałam, że mnie samej dzisiaj nie zostawisz."

Powiedziałam "dobranoc" i wyszłam.

Wstałem zgnębiony i zacząłem się przechadzać. Raz po raz słychać było strzały w mieście. Uchylałem zasłonę na oknie i wlepiam oczy w ciemność. Ksawera zbesztala mnie, mówiąc, że nie po to tu przyszedłem, żeby się zagnębiać i siedzieć martwym kołkiem. Radziła ocknąć się, zainteresować się tym Trypka. Może rzeczywiście coś jest na rzeczy z Leitem. Zwlekać nie można, bo i tak wszystko już stoi na jednej tarczy, wszystko wygląda na zapaskudzone. Spostrzegłem w głosie Ksawery pewne podniecenie, mówiła ostrym szeptem: - Nigdy nie pomyślałam o tym, że Trypka może trzymać w swojej garści niejedno życie. Mimo wszystko jednak trzeba z nim pogadać. Wróci pan z pewnym materiałem do swoich. To i dla mnie przestanie być takie zagmatwane. - Dobra jest - powiadam. - Dawaj go pani, pogadamy. Nie mam nic przeciwko temu. Chcę jeszcze przedtem zadać jedno pytanie. - Słucham.

- Czy pani przypadkiem, tak nieświadomie, nie służy jakiemuś łotrowi? - Może pan tak źle myśleć o mnie, mimo wszystkich swoich doświadczeń? - Na terenie Szabasowej nie mam żadnych doświadczeń.

- Susmaria... coś takiego - rzekła Ksawera, wciągając ze świstem powietrze, zbliżyła się do mnie i chwyciła kurczowo za rękę. - Uznaliście mnie za taką? 221

Trzeba było znaleźć jakieś wytłumaczenie. Wstyd mi było brutalności okazanej Ksawerze. - Czasem przypadek sprowadza do tego. Musieli już panią osaczyć. Naciągają do swoich celów i to się czasem zdarzyć może w mgnieniu oka. Spostrzega się człowiek, że był głupi, dał się wciągnąć do tej zbrodniczości. Chciałby się ukryć gdzieś w ciemnym kącie, ale życie jest już zagrożone. Prawie natychmiast Ksawera krzyknęła:

- Nieprawda! Nie, nie!

Głos jej miał jakąś swoistą godność i namiętność.

- Ja wierzę pani - powiedziałem i umilkliśmy obydwój.

Ktoś zastukał w ścianę. Ksawera odstukała nerwowo kilka razy po dwa. Po chwili w sieni zaskrzypiały deski, słychać było ciężkie kroki. Coś mi przemknęło po głowie. Czułem się, jakbym nagle rozpułnął się w powietrzu. Wszystko jedno, ktoś tu musi dzisiaj wydać swoje ostatnie tchnienie. - Proszę - powiedziała Ksawera.

- Pani nie uwierzy - mówił dyszkan z ciemności - ale ja pani powiadam, że ta ucieczka jeńców sowieckich nie jest zwyczajną sobie ucieczką. Mogę najświętszymi słowami na to przysięgać. - Ja nie sama jestem - mówi Ksawera.

- Aaaa...

- Ten człowiek przyszedł w tej sprawie, pan wie... I zaczęła opowiadać mocno przekoloryzowane zdarzenia o mnie jako raubszytcerze. Urosłem w tym krótkim opowiadaniu do roli dziwaka mordującego zwierzęta śpiewająco. Trypka podszedł i chwycił moją rękę w swoją szorstką, ale bardzo ciepłą garść. Wzdychając wyfilozofował zdanie na temat smutnego losu ludzkiego, a starych ludzi w szczególności. Mówił przez nos, tonem dobrodusznego. - Siadajcie - zaprosiła Ksawera.

222

Zapaliłem papierosa, spojrzałem na budzik: była godzina pół do jedenastej. W mgnieniu od zapalki zobaczyłem twarz Trypki. Teraz przypominałem sobie to wszystko; nagle przejęła mnie myśl, że całej zbrodni już nigdy końca nie będzie. Tak dalej, ciągle bez miary, jakby się szło pod straszną górę; wszystko się naraz zmieniło - ktoś przyszedł i wszystko przyniósł: to był współnik Bulca. Tak jak z sumieniem - nagle, wśród zamyślenia albo w nocy, kiedy przestraszony budziłem się ze złych snów - napadało mnie to ciężkie wspomnienie z taką dokładnością, jakby to przed chwilą było. To się nie da zamazać nawet wesołą myślą - zostaje na zawsze, jak grzech wobec matki albo coś jeszcze gorszego. Miałem go zabić, jeszcze w jesieni miałem go zabić. Serce zawsze jest sędzią najdokładniejszym: daje wyrok, i koniec. Daje wyrok, w sekundzie, na podstawie jakiegoś małego ruchu, często spojrzenia albo jednej myśli. Krok Trypki, jego stukanie do drzwi - wszystko to było cięższe od kłody na piersi. Przyszła do głowy niedorzeczna myśl: zabić... A ja, jak koń w ciemności, nastawiłem uszy, żeby się nie potknąć i nie upaść. - Tak sobie, jakoś się żyje - powiedziałem.

- Uuuhu - jak z dna bardzo namulonego. Ksawera usiadła koło mnie. - Lisów, dajmy na to, dużo jest tej zimy?

- Dość - powiadam.

- Mniej więcej, tak na oko?

- To zależy. Gdzie więcej, to więcej; gdzie mniej, to mniej. Wyczuwałem treść tej zaczepki, noc nie zamykała nas w kręgu własnych myśli i przeżyć - jedno pochłaniało drugie, drugie ustępowało jeszcze trzeciemu, coraz żywiej i żywiej, jak ptaki z podpalanych gniazd. - Teraj rujka u nich. Dobrze podchodzić.

- Żeby tylko było z czym.

223

- Ta, to tak, pewnie. Bida piszczy, jak w kieszeni świszczy. - Coś by się znalazło - powiadam.

- Tak mniej więcej?

- Pogadamy.

- No?

- Co to jest?

- Biksflinta - rzekł Trypka i zaczął kaszlać. Tak samo kaszlał wówczas. Mżył drobny deszcz, było ciemno. Chuny szedł pierwszy i psy rzuciły się na niego, on skoczył za płot. Do szyby w oknie przylgnęła jego twarz. - Nic z tego - powiadam. - Do biksflinty patronów teraz nie ma. - Co się pan na tym zna. Można z niej, dajmy na to, haratać z kuli karabinowej, bo to jest dwudziestka dwójka. Rozedmie gilzę, ale bić bije - sto metrów. - I harbuza nie przebiję.

- Szkoda mówić.

- Pewnie.

- To znaczy nie?

- Po co mi taki grat?

- A co?

- Coś takiego, czym można by zabić z daleka. Jakiś sztucer z patronami gdyby był, to co innego. Odwróciłem twarz, zdawało mi się, że Trypka szuka moich oczu. Strach mój był głupi i śmieszny, ale nie mogłem się opanować. Było za ciemno, żeby się mógł dobrać do wszystkich moich tajemnic. - Z daleka. To nie tylko od lufy zależy. Ta sama, dajmy na to,

lufa inaczej bije w mróz, inaczej w parnocie - mówił Trypka pukając w blat stołu. - Inny ładunek na nietoperza, znowuż co innego kaczką.

- Po co nietoperza?

- Czasem ciągnie nietoperza zabić, bo jest w nim coś ukrytego. 224

Milcząc czułem się jak szukający czegoś, co jeszcze nie zostało zgubione, ale już się wysmykiwało z garści. - Jest tak, że to, co zabija ptaka, nie zabija suki. Musi być ładunek do tego inny i do tego znowuż inny. - Ja wiem o tym.

- Teraz znowuż oko. Jak się, dajmy na to, nie ma oka, to szkoda zadawać bólu. Strzeli się, dajmy na to, do kaczkę. Leci ona jeszcze z opuszczonymi nogami i zapadnie daleko w łożo. Znaczy, śrutek ją czerknał w brzuch i szuka. Ona zanurtuje w łożę i zdycha. To znowuż trzepie się, zrywa i leci zabarczona, ucieka piechotą jak łasica. Taka raniona zwierzyna ginie z oczu, zaszyje się w błoto. Trawa i niebo. - O to chodzi. Z tej biksflinty same takie kawałki i zabarczenia być mogą. I człowiek wraca z lasu ze zwieszoną głową i bardzo zmęczony. Jest nawet taka pieśń: sikorka powiada, że boi się szulaka, ale jeszcze gorzej boi się człowieka z jednorurką. - To tak, to tak. Flinta flintą, oko okiem. Ono, to oko, wszystko robi. Jak kiedyś z ojcem poszliśmy na borsuka. Pies zobaczył czarną jamę i nie chciał dalej iść. Ja widziałem swoim młodym okiem, że borsuk z wyjścia wacha powietrze. Pokazuję ojcu - on podnosi do oka - a włosów był nie wycinał w nosie i taki jeden czarny włos załaskotał go i kichaniu nie było końca. - Co to ma do rzeczy?

- A ma. Człowiek na starość wacha sam siebie. Jak się pamięta swoją młodość, to się wie o tym. Co można zrobić, jak się ma pieczenie oczu. Do raubszycerki musi być młodość, bo czasem zwierzyna się broni. Spróbować trzeba, dajmy na to, ptaka łapać. Postrzelony i trzeba złapać. Kaczka nie stawia oporu, żuraw kłuje w oko i wybić może na zawsze. A spróbować trzeba kanię, jak się ją celnym strzałem nie położy od razu. Trzeba jej ścisnąć dziób ręką, bo nie da się wziąć inaczej, kasa. Ona, kulejąc, spieszy się 15 - Czarny potok

225

gdzieś na swoje miejsce, odwraca głowę w tył i kasa, i najeży się, i bije, i broni się. - Bo to już taki ptak - powiadam. - Nie dowierza nikomu.

- Każde zwierzę nie dowierza nikomu. Tylko pies lizus, czasem koń. A reszta sama. Zraniona zwierzyna ucieka i lubi w samotności oczekiwać swego końca. Podejdiesz, żeby chwycić za dziób - broni się z całej siły. - Nie tak jak my.

- Wiadoma rzecz, człowiek raniony zaraz pada i krzyczy. Postrzelony lis krzyczy, wilk krzyczy, bardzo krzyczy zając. A inna zwierzyna postrzelona milczy. Raz mój pan chybił był orla, baliśmy się podejść, poszczuliśmy psa i on chwycił ptaka za rozbite skrzydło. Bronił się pazurami. Zeszło się dużo ludzi ciekawych popatrzeć. Orzeł zaparł się w krzakach i patrzył na ludzi, i na tym się skończyło. Dzieci jeszcze kilka dni przychodziły i przynosiły mu wodę w skorupce, ale to już nie należy do rzeczy. Izba Ksawery wyzimniała. Trypka mówił, a głos jego klaskał i odbijał się od ścian po kilka razy. Czułem się sam, całkiem sam. Zdawało się, że lada chwila zazgrzyta klamka, wejdzie ich jeszcze kilku i co? W ciemności nie dam rady, wczółgają się, chwycą za nogi. - Dlaczego pani ust nie otwiera? - pyta Trypka.

- Tak jakoś - w zamyśleniu i smutku odpowiedziała Ksawera. Za oknami, gdzieś dalej w ulicy, słysząc było krzyki, przebiegały czyjeś kroki obok domu i za chwilę jeszcze ktoś doganiał kulawym przydeptywaniem. - Która godzina?

- Na co panu godzina, nic pan nie robi cały dzień. Jeszcze się pan wyśpi - mówi Ksawera. Chwyciła mnie za palec i drży cała. Zrozumiała widzieć wszystko albo nie chciała dopuścić myśli, że sprawa jest beznadziejna. A tu 226

chodzi o człowieka - bitego pewnie w tej chwili w dyżurce kryminalnej. - Żartuje pani. To dzieci mają zwyczaj, że rozmawiają ze sobą, nim pójdą spać. Tylko że my tu dzisiaj inaczej. Dzieci mówią wszystkie naraz, jedno drugiemu nie przeszkadza. Mówi się: ta bajka, która nie

ma końca. Mówi się: piec stoi. Nic z tego nie wychodzi. Biksflinta panu nie odpowiada? - Całkiem nie.

- A winczesterka?

- Tak.

- Pięciostrzałowa.

- Jest zapas amunicji?

- Jest. Dobra rzecz na niedźwiedzie, na wilka, na grubsze. Strzał z niej w głowę przebija mózg, powala zwierza na miejscu. Gdyby się trafiło, że pan strzela z niej samy i trafił w komorę, to można się zdziwić, bo sarna leci jeszcze przed siebie ostro, jak ślepa, natyka się na pień, na drzewo i pada. Nie trzeba dublować. A korci. Możesz pan z niej bić na sztych prosty i kulawy. - Kaliber?

- Czterdzieści cztery, z weźektorem. Sama wyrzuca wystrzelony ładunek i ciągnie następny z gotowym spustem. Tylko muszka i palec w robocie. - Bezpiecznik jest?

- Nawet dwa. Można zabezpieczyć, bo dajmy na to, strzeliłeś i połamałeś zwierzęciu nogi, podchodzisz z zabezpieczonym i kolbą w łeb. Będziesz mi pan wdzięczny za nią. - Dziękuję bardzo, pewnie...

- Ale to nie będzie za "dziękuję".

- No, myślę. Co mam dać za nią?

- Dwadzieścia nie będzie za dużo?

- Co to znaczy?

- Panna Ksawera wie, o tym się już z nią mówiło.

- To co innego.

15. 227

- Taka musi być cena. Wszystko się teraz liczy na dolary. - Na razie tyle nie mam.

- Pewnie, ja rozumiem. Życie nie zawsze składa się tak, jak trzeba. Czasem parę groszy - to wszystko. Jak tu raz poszedłem na getto za deskami na opał - piwnica, wzdłuż muru jakieś łachy. Poświeciłem, kobieta na środku. Wyszła za mną na światło, pomogłem jej po spróchniałych schodach. Zeszliśmy na drogę, którą uciekło już tyle gości. "Halt" - mówi on suchym głosem.

- Kto?

- Ciszka. "Czegóż ty - powiadam - mówisz halt, jak ty umiesz po polsku." Parę dolarów żeby była miała albo broszkę. Ona pokazuje palce rozgniecione. "Ty ze szczurami? Co? Biłaś się?" "Nie, ja się nie biłam."

"Odejdź tam." - To się wie, parę dolarów, było nie było. A tak to się równa śmierci, bo więcej ja już tamtej kobiety nie widziałem. Aż dzisiaj zawezwali mnie na żandarmerię. Powiada jeden: "Boisz się nas?"

"Czego?"

"Że masz taką wystraszoną minę - nalegał. - Boisz się?"

"Pewnie" - powiedziałem. A ten śmieje się.

"Słuchaj stary, ty znasz skrytki Bemsteina?"

"Gdzie?"

"W fundamencie templum, bo to idzie o rozbiórkę. Trojhender ma to rozbierać od jutra. Kamień pójdzie na bunkry, bo się popsuło na froncie. - Potem przyprowadzili jakiegoś człowieka. - Ty go znasz? To jest Bernstein?" Potem ten stary żandarm zagwizdał: raz mocniej, raz słabiej i przyszedł ten ich pucer Kaliko. "Zgadza się?"

228

"Jawohl! - jeden i drugi zmarszczył brwi. - Możesz odejść." - Czy to rzeczywiście był Bemstein? - spytała Ksa-wera.

- Trudno rozpoznać. Pobity, zsinaczony, zarośnięty - poznaj. Bemstein był wysoki, a ten był niski, w ciasnej kurtce. Nie było okazji popatrzeć mu w oczy... Ten pucer kopnął go. Smutno być człowiekiem i nie rozumieć życia. Parę dolarów, brylant - i bieda zatkana na jakiś czas. - Kiedy zrobimy interes? - pytam Trypkę.

- Nawet zaraz. Potrzeba mi pieniędzy. Moje życie jest twarde. - To się rozumie, tylko ja dzisiaj nie mam pieniędzy.

- A to szkoda było bajdurzyć tak długo.

- Przyniosę jutro, pani Ksawera poręczy.

- Tak się mówi. Gość stuli plecy i tyle go widać. A ty patrz w okno, patrz do furtki. Nawet żebym chciał, musiałbym odkopać. Pójść za miasto. Sprzeda się chętnie. Pieniądz przydatny. Teraz wywożą krowy z Rosji, pociągami. Można kupić u banszuka za dolary. Byłoby czym zabielić, człowiek nie jest sam. Nie wiem, czym się pan trudni, ale to teraz tak: coś za coś. - Jak załatwimy?

- Ja już swoje powiedziałem. Na razie karabin w ziemi, dolary gdzieś... - W lesie...

- Oo!

- Czy mogę zadać pytanie?

- Jedno?

- Jedno.

- Dobrze.

- Gdyby żandarmi pytali, co się stało dzisiejszej nocy w domu pani Ksawery... - Co będą pytali, jak się nic nie stało.

- Pani ma pieniądze?

229

- Mam.

- Niech pani zapłaci... - Trąciłem Ksawerę w łokieć. Zrozumiała. Poszła w głąb, skrzypnęły drzwi kredensu. - Nie, nie. Ja nie wezmę pieniędzy, aż przyniosę karabin. - To dobrze - powiadam. - U pani Ksawery będą dolary, karabin trzeba jutro wykopać, wieczorem ktoś przyjdzie po niego. - Pewnie, to się rozumie.

Otrzeptałem się z marności niepokoju, zmęczenie odeszło. Zapaliłem papierosa: była trzecia na budziku. Zbliżał się nowy dzień. Przeżyłem i znowu ujrzę swoich. - To dobrze - powtórzyłem i postanowiłem sobie, że już będę milczał. "Nic tak nie oczyszcza człowieka z brudu jak milczenie" - mówiła zawsze moja matka. Trzeba myśleć i działać. Odśloniłem okno. Ciemno, na niebie gwiazdy, za dwie godziny będzie dzień. Trypka stał i obaj milczeliśmy, Ksawera szeleściła papierami. - Idę już - wyszeptał Trypka.

- Dziękuję panu - powiedziała Ksawera z troską w głosie.

- Za co? Nie ma za co. Sam chciałem przyjść i powiedzieć... tak a tak. Jest karabin, można go sprzedać. Teraz by się trzeba zapytać: komu się sprzedaje, na co się sprzedaje? Przyjdzie ta straszna godzina, kiedy się wszystko rozplata, wtedy ktoś mi się zaśmieje w twarz, plunie i wyrzuci. Sądna godzina na mnie, jakby ten karabin miał zabijać ludzi. - Co panu nagle do głowy przyszło? - mówi Ksawera.

- Wszystko nagle przychodzi. Człowiek śwista, szuka, patrzy, wacha, idzie, zamiast rzucić okiem blisko, pod nogi. Wy młodzi, wam co. Ja stary, ja już schodzę z tamtej strony, toteż trzeba myśleć, jak schodzić. Wrócę do siebie, będę siedział i będę myślał, na czyją ja śmierć wykopię ten

karabin. I nie ruszę się z domu, dopóki to mi wyraźnie nie stanie przed oczyma. - Niech pan sobie tym nie męczy serca.

- Ot, to straszna godzina, kiedy się tak o wszystkim pomyśli. - Zabijanie ludzi jeszcze nikogo nie bawiło. To żadna przyjemność, to rozpacz może pchnąć do tego - mówi Ksawera. - To się tak mówi, ale swoje się robi. Są tacy, że z tego żyją. Zabijają i z tego żyją. - Nie tylko

karabinem się zabija. Można słowem, jeszcze straszniej. Migiem izba Ksawery nappełniła się troskami, otumanionymi zmęczeniem myślami, ugięło się we łbie od nienawiści, dwa kroki od drzwi wyprowadzić starego i zabić; wytoczyć za próg, pod sztachety, i nim rozjaśni się mrok nocy, wrócić do swoich. Przytulony do okna, nie spuszczałem oczu z błysków reflektora na niebie, trzy smugi zawiązywały się w kupę: sunęły na zachód. Uszy moje chwytaly najbliższy szmer za plecami.

- Tak, to był Leit. Nie ma już żadnej wątpliwości, że to był on. Dwa metry od niego stałem. Nawet się nie bardzo zmienił - mówił Trypka. - Taki sam, jak go widziałem z dziećmi na spacerze, przed żniwami. Jedna dziewczynka przyniosła mu bławatek, on powąchał i odetchnął głęboko. Przyglądali się potem tęczy, która stała nad Trójnogiem. Upadł ciepły deszcz i dzieci skakały przez rów, i to z takim rozmachem, jakby tam na szosie leżało siano. Ja pasłem krowę synowej. To się wszystko pamięta, bo to było na kilka tygodni przed bombami Hitlera. - No i co z tego, że to się pamięta?

- Pewnie. Jak się wszystko pamięta, to się robi niedobrze. - Czy Leit coś mówił?

231

- Nic, nic, nic. To wszystko. Spytałem: "Bemstein?" Nim ja w pamięci poszukałem, przychodzi ten drugi: "Bemstein? Dobrze, odprowadzić." Otworzyły się drzwi, Leita ktoś chwycił za włosy i rzucił na ziemię. Przyprowadzili chłopca zamazanego gliną. Ten wziął rewolwer, przystawił go jemu do twarzy, która krwawiła. I dał jemu z dziesięć razy. Bił bez ustanku i dalej, i dalej. "Sapiska! Sapiska!" - krzyczy. Oto, Boże, zlituj się nad narodem. Mnie pogroził i spojrzał jak śmierć w ostatniej godzinie. Chłop był silny, stał na miejscu i chwycił się za głowę. Wyprowadzili. Wszystkim koniec. Sapiska! Mnie zabrali: "Pokażesz templum." Przychodzę. Widać płytę, pod którą są schody do piwnicy. Nie ma czym. Do stolarza ze wszystkimi. Syn kręci toczydło, ojciec przyciska dłuto. Zabrali dwa lewary i syna, po drodze skopali. Od razu zaprzęgli do roboty. Ze świecami do dom. Przychodzi pucer i powiada, że sowieccy jeńcy uciekli, dwadzieścia ludzi, trzech zabitych. Zamknęli ciężkie wieko piwnicy. Wieczorem majster krzyczał do Ciszki: "Dekownik! Jeńcy uciekli, ty się już boisz! Myślisz, że policja i inne takie rzeczy już niepotrzebne!" Mnie kazali iść do domu. Idę sobie i teraz wszystko na mnie patrzy. - Przykra rzecz.

- Dobrze, że mnie pani trochę zrozumiała. Wieczorem przyszedł mój młodszy brat i zbił mnie, skopał jak sukę. Jakby się jego czepiło jakieś wariactwo. Co jest, człowieku. "Milcz, milcz, milcz - mówi przez zęby - i uciekaj, bo strzelę." Wstyd, kiedy brat bije. Ktoś coś nagadał. Wtedy ja sobie pomyślałem, że ten karabin trzeba sprzedać, bo mój brat wie wszystko. Może być już kłopot. - Może się pan myli?

- Daj Boże, żebym się mylił. At... Pan sam przyjdzie po ten karabin? - Sam.

- To znaczy - do widzenia wieczorem. Wyszedł, kaszlał w sieni i głośno przedmuchał nos.

232

- Zaufała pani pierwszemu lepszemu, który głaszcze po rękawie. - Chciałabym pana widzieć w mojej sytuacji. Mógłby pan mieć trochę szacunku dla moich cierpień. A mnie zmęczenie zwałało z nóg, czułem się jak głuchy koń. Wyzułem buty, przewinałem onucki. - Dużo pani jeszcze świata zbiega, nim dobrze pozna ludzi. • - I co z tego? Zagotuję panu herbatę przed drogą. Tak, to jednak prawda... kiedy się człowiekowi radość ujmie, ziemia staje się cmentarzem. - Niechżeż pani ma jeszcze przynajmniej nadzieję.

- Tyle zostało.

Ksawera zapaliła prymus. Teraz w blasku widać było jej postać, wąską w pasie, z pełnymi piersiami, jeden warkocz chwiał się na plecach. - Będzie pani trochę zdziwiona tym, co powiem.

- Wmówił pan coś w siebie.

- Ten stary mi się nie podoba. Jeszcze tak dalej - pójdzie pani w ich otchłań. Trypka dawno tu mieszka? - Wprowadził się tu po śmierci Dreyfusa. W październiku.

- Zaprzyjaźnił się.

- Po kilku dniach przyszedł i oświadczył, że jakby trzeba mi było pomóc, drzewa narąbać czy coś, to on chętnie. Popilnuje mieszkania, w razie gdybym gdzieś poszła za swoimi sprawami. Od razu oceniłam, że nie ma nic w sobie ze skrytości, nie miałabym mu nic do zarzucenia. A tu tymczasem upadła ostatnia nadzieja. - Czy on wie, że Leit to droga osoba dla pani?

- Nie zwierzałam się przed nim. Ani słowa nie było na ten temat. Ksawera pochyliła się nad kanapą, wydobyła spod wałka na przyczółku jakieś małe zawiniątko, podaje mi: - To są listy żony Chaima. Niech pan mu to zanieśie.

233

I raptem, jakby odczuła ból.

- Ach, nie...

- Pewnie - powiadam. - Pani jest zmęczona. Ksawera zadrżała, usta otwarły się, jakby się chciała uśmiechnąć, i upadła, dysząc ciężko, jękną głosem dotkliwego bólu. Uderzyłem ją w twarz, tak jak się bije człowieka zemdlonego, tak często bił Chaim Cirlę. - Boże kochany, co się stało? - wyszeptała Ksawera. Sięgnąłem do wiadra z wodą i skropiłem jej czoło. - Pani Ksawero - powiedziałem - kochamy panią wszyscy. Niech się pani uspokoi. Ja już odchodzę. Niech pani wypocznie, trochę sobie okna uchyli, świeżego powietrza trzeba. Nie można się łamać! - Tak, ale czuję, że siła wylewa się ze mnie coraz cieńszym strumieniem, jestem zmęczona... wyczerpana, ledwo żyję. - Niech się pani uspokoi, będzie lepiej... Wieczorem ktoś przyjdzie, albo ja, albo Wąskopyski. Biorę jej chłodną rękę i ściskam; ruszam w drogę. Postąłem chwilę na progu, cisza. Słysząc z daleka stłumiony łoskot pociągu. Niebo pełne jeszcze gwiazd, powietrze mroźne i spokojne. Uliczki w mroku, tylko dachy błyszczą od szronu. Już dawno nie widziałem nieba nad Szabasową, ale przypominam sobie, jakie to były te noce - błękit szedł w nieskończoność. Otwiera się okno, ukazuje się twarz Ksawery.

- Do widzenia - szepce mi.

Od razu skręciłem na teren getta. Tu już nic nie ma, jeszcze się wznosi kilka poczerniałych kominów, nie ma już podwórz, płotów, ścian. Nic się tu nie porusza, wszystko jest martwe, skamieniałe, zasypane śniegiem, gdzieś gdzieś czernieje piwnica. Krzyżują się ścieżki, ale żadna nie prowadzi do domu, do ogródka, do dziewczyny, do szkoły ani do okna, z którego by powiało serdeczne pozdrowienie. Dalej stoi jeszcze kilka pustych domków, rozwalonych stajen koni dorożkarskich. Nie, nie tędy. Zbłądziłem. Zatrzepało mną zimno. Idę powoli, słucham, rozglądam się. Szukam swego domu, może to nieprawda, że nasz dom rozwalili. Biały dom z czerwonymi oknami. Myślałem spokojnie, bez goryczy. Nigdy już i nigdzie nie będzie piękniejszego domku, piękniej kwitnącego sadu ani kwiatów na oknie, ani szumiącego, słonecznego pola zaraz za ogrodem. Słyszałem pieśń, która już umarła, za pieśnią poszło wszystko. Widziałem sień, siekierę, podwórze i martwe ciało Josie Propsta, który na chwilę przed samobójstwem kiwał głową, jakby zobaczył nagle całą prawdę za otwartymi drzwiami do pustej kołyski wnuka. "Dokąd ty idziesz?" - pytał mnie Knopf, patrzył w ziemię. Nie ma nigdzie drogi. Matka moja nie ważyła się przez całe życie wyjść daleko, znała tylko swoją dzielnicę. Czasem wyszła na szlaban i patrzyła na pola; tam na wietrze falowało zboże, pola szły ku wzgórzom, świeciły się złotem, gały zielono. Nagle na ulicach Szabasowej rozległ się krzyk, dziwny, dotąd nie słyszany głos zabijanego dziecka. 235

Tu, gdzie była szkoła, stoi tylko szeroka sklepiona sień, widać całe podwórze; puste, ciemne, z kupą drutu kolczastego, wysoki mur z dziurkami od kul. Wszystkie drzwi na oścież otwarte, ślepe, czarne okna. Ludzie, dzieci - wszystko zapadło się w ziemię, nikt się po wielu nie smuci. Droga za gettem rozszerza się, leci w dół i zakrętem do szyn, którymi dzień i noc

toczy się na wschód amunicja. Za mną w ciemności zatopiona Szabasowa. Powiał mi w twarz zapach przestrzeni, na prawo i lewo zabudowania tartaku, trzy wysokie kominy, korytarze z tarcic - nigdzie człowieka. Za składem wolne pole. Rozciągnąłem krok, biegłem po zamarzniętych grudach ledwo pokrytych śniegiem. Otarłem pot z twarzy, gdy się obejrzałem, nie widać było już mego miasta. Powiedziałem sobie od razu, że droga jest daleka i że trzeba być przygotowanym na wszystko. Ciągłe była noc, ciągle trzęsły się na niebie gwiazdy i było ich tak dużo, że się zataczałem, patrząc w tę błyszczącą wysokość. I wszędzie matka pozdrawiała mnie wspomnieniem. Ból przybiegał do serca. - Gdzieś ty był? Już świta na dworze.

- Był piękny wieczór, zagadaliśmy się - powiedziałam.

- Piękny wieczór - powtarza matka, mówiła wolno, nie słyszałem wszystkich słów.

Pochyliłem się - twarz dotknęła twarzy. - Nigdzie zbawienia, nigdzie wypoczynku, ani kwarty wody, ani nawet spokojnej modlitwy - szepcze matka. - Ludzie jedzą chleb ze smalcem, jabłka. Gdybym tylko chciała, byłby koniec mego głodu. Gdyby nie ptaszki - warto splunąć w samo niebo. - Matka moja nienawidziła Boga, nie mogła mu przebaczyć, bo kiedyś błagała go całą noc i na próżno. Płakała potem, bo wierzyła, że taka krzywda ani na tym, ani na tamtym świecie nie będzie zmazana, będzie nie zatarta do końca świata... 236

Puściłem się na przełaj w stronę Pasiek, potem pełną drożyną na wzgórze Deberki. Robił się niebieski świt. Kiedy już byłem na grzbiecie pagórka, posłyszałem za sobą strzały. Widać było na dole drobne sylwetki wybiegające z zadrzewionego cmentarza w pole. Wszystko było białe, niebo białe i pole aż sine. Tylko nagie i czarne sterczały krzyże wśród siwych brzoź. Kobieta z kilkorgiem dzieci biegła polem, była już daleko za płotem, kołysała się, ciągnąc nogi i dzieci po śniegu. Za nią wlokła się chustka. Zdawało mi się, że słyszę krzyk człowieka wołającego w trwodze, że widzę przed sobą wielkie, okrągłe w śmiertelnym strachu oczy dziecięce. Zakrzyczałem raz i jeszcze raz: - Hooop, hoop! - Echo poniosło do lasu. Usta miałem otwarte i słyszałem jeszcze swój głos. Żandarmi przeskoczywszy płot zatrzymali się, patrzą w moją stronę, jeden podnosi łokcie, widać lornetkuje mnie. Kiwam do nich pustym kułakiem. Pięciu ich jest. Kobieta i dzieci biegną, trzech biegnie za nimi, podnoszą karabiny. Wtedy ja wyciągam pistolet Chaima i lecę w stronę uciekających. Las niedaleko. Ręka mi drży, kolba zmokła od potu. Zaświstało koło uszu, strzelają. Jestem już blisko. Bodajbym tego nie robił. Dzieci spostrzegły mnie, zakrzy-czały i cała gromadka skręca w lewo. Kupy gnoju stały szeregiem aż po las, przysiadłem i strzeliłem w stronę cmentarza. Pochylony, kryjąc się za kupy, biegłem w krzaki zrębu. Oczy szukały schowku, obejrzałem się: żandarmi stali w polu, jeden kiwa ręką, ci dwaj spod cmentarza ruszyli naprzód długim krokiem. A ja w swoją drogę. Wszystko tu w lesie było jak zawsze:

śnieg, tropy zajęcze. Najłatwiejsze tropienie zwierzyny jest w zimie, po wilgotnej ponowię, na której zostają ślady jak pieczęcie. Szerucki powiada, że po tropach poznać można nie tylko gatunek zwierzyny, ale nawet jej płęć, wielkość, 237

wagę i wiek; można też rozpoznać, czy samica była cielna. Za nic w świecie nie wolno strzelać do samic na rujach albo do kaczki na wiosnę, kiedy ona jeszcze dzieci nie odchowala, do stworzeń nieszkodliwych i chorych, do zająca przy księżycu i bić w zwierzęta napędzone przez naganiaczy, zmęczone długim śniegiem. Przystanąłem posłuchać, czy nie idą za moim tropem. Cicho jest, gdzieś daleko pieją koguty. Zaczęła mnie ogarniać rozpacz, czułem się zamknięty we własnym zmęczonym ciele. Śnieg głęboki po kolana, zagrzałem się, rozpiąłem kurtkę. Napadła mnie myśl, że dogonią, posiadają na konie i dogonią. Gdzie się ukryć? Widać mój trop, gdzieniegdzie zajęczy, a tu za mną dziury sine i głębokie. Ponad miarę staje się wszystko, las dłuży się bez końca echa, jest głuchy. Takie przeżycia nie mają żadnego znaczenia dla człowieka, bo to ani boli, ani uczy. Żadnej korzyści z takiego strachu. Podobnie jak ze wspomnieniem, przypominają się jakieś smutne przeżycia i tyle. Co to było, gdzie to

było - nowy obraz jest niedokładny, podobny do snu, jest nieżywy. A tu trzeba iść, bez jednego słowa zachęty na boku. Bałem się tylko, żeby mi się coś nie zważyło zniecka pod nogi, bo straciłbym rozum i może nawet poniżył. Mówię sobie, że człowiek ma dla siebie miarę, akurat wedle swego charakteru i siły. Serce stuka, rozum słucha. Nagle las rozstał się, skończyły się wysokie drzewa i poznałem zbocze Trójnoga. Do Zalasków pięć kilometrów. Niebo szarzało, kłębi się bezecną marą świeży śnieg nad polami. Obok miedza zakrzewiona, poszedłem tą miedzą do domu, ciągle jeszcze oglądając się na las, niknący w zadymce. Ustał popłoch mojego serca. Taki nieopanowany strach przytrafił mi się, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Zostałem sam w domu, czarno było w naszej wielkiej izbie, późny zmrok. Wtuliłem się w kąt koło dzieży z rozczynem i patrzyłem na mrugające gwiazdy-238 dy za oknem. Wtedy przypomniał sobie mnie nasz sąsiad, przyjaciel mego ojca. Okrył się prześcieradłem, próchnicę włożył do ust i przykleił nad brwiami. Zapukał w sieni, zazgrzytała klamka w kuchni. Zrobił pięć kroków w ciemności, stanął nade mną, rozkrzyżował ręce. Wypluł na mnie niebieski węgielek. Wraz z dzieżą zleciałem na ziemię, a on wrócił do siebie, gwizdał po drodze. Nie spałem całą noc, chciałem ojcu opowiedzieć, ale nie śmiałem, gdyż wrócił wieczorem zły. "Będę już bez pracy od jutra" - mówił do matki. Przykro było patrzeć na twarz ojca. On też zasnął nad ranem, czoło jego we śnie było zmarszczone, wargi zaciśnięte. Zmierzwił włosy, zasypał mąką, ręce pod brodą, palce sine i nabrzmiałe jak w siarczasty mróz. "Nie budź - mówiła matka - on i tak nie może sobie dać rady z tym wszystkim." Trawił go ciężki smutek. Jeszcze pochodził kilka tygodni z zapadniętymi policzkami i umarł. Przyszedł ten, który mnie straszył, zdjął kaszkiet, skrzywił się i poszedł nosić worki. A wieczorem przyniósł nam bochenek chleba. Do dziś mam żal do tego człowieka, nie chciałem z nim zamienić słowa, nawet wtedy kiedy w Szabasowej zaczęły się jeszcze straszniejsze wypadki. Kiedy żandarmi i mazepińcy ze spokojem wielkich żołnierzy powiedli dzieci żydowskiego sierocińca ku Wielkiej Bramie, aż dudniło po bruku. Tylko dowódca miał wargi skrzywione - spoglądał na dzwońce sfruwające na druty przy stromej za miastem drodze. Na tę procesję patrzyły stare baby, plewujące pszenicę, i dzieci, pospłatawszy ręce na brzuskach. Ledwo można zlepić ten obraz do kupy: zielone lato, krzyż przydrożny z wiszącym na nim Chrystusem, przybitym gwoździami, z wieńcem na pękniętym czole, skowronki w błękicie, drzewa spokojne, żandarm plujący czarną śliną i chmura pyłu za maszerującymi na piaski za Wielką Bramą. Pot wyszedł dzieciom na czoło, spływał po twarzach, po brodzie, i szły dalej bez słowa. 239

Daleko za miastem droga rozszerza się w rozległe wyboje i idzie do brudnego miejskiego pastwiska; rozczłonkowuje się wśród nikłej sośniny, pod którą zwałono kupy śmieci. Dalej świat nagle się zniżał do piaskowni i tam stało kilka pochyłonych kobiet, okrytych chustkami. Krzyczały, ale nie było wiatru, żeby ten krzyk poniósł daleko. Może by się jakaś skała albo jakieś drzewo obudziło i posłuchało. Nikogo z różańcem w ręku, nikt nie wykrzykiwał imion świętych. Długa droga, nie czuję nóg. Jestem głodny i spragniony, ściskam grudkę śniegu i rzucam do ust. Przypominam sobie to wszystko. Czyż temu nigdy końca nie będzie? Jak w kole, czasem ktoś powiedział na pociechę, radził przetrzymać do miłosiernego słońca. Tylko Chuni garbił się codziennie, oczy wychodziły mu na wierzch ze zmęczenia, ale wierzył tylko w karabin. Bez Szeruckiego widział przed sobą wielką przepaść, w najcięższych chwilach szukał ręki Wąskopy-skiego. I jeszcze raz, już blisko plebanii, strach mnie zdjął na myśl, że idą za moim tropem jak za zwierzyną. Zacząłem rozglądać się dokoła. Nic. Pusto. Gęsty mokry śnieg zasypał moje ślady. Na podwórzu plebani! bez zmian: koryto pod śniegiem, stojak, czarny otwór stajni. Tylko okna już nie było, pusta rama zwisała ukośnie. I dymu nie widać nad kominem. W sieni przez próg leżał siennik. To wcale nie bajka. Czasem wymyślają sobie ludzie różne straszne opowiadania, których nigdzie nie ma na świecie. Bańczycki wisił w sieni na haku od upręży, na ramieniu miał biało-srebrny tańskuten. Poprzez gęstwinę jego

dawno golonej brody widać było sine pręgi na policzku. Mina zła, jakby gdzieś pędził na oślep. Wsparłem się o futrynę drzwi. Siennik był zbрызany krwią. Światło mi zgasło w oczach, nie było różnicy między dniem i nocą. Nie widziałem ani promienia. Teraz właściwie trzeba było wyciągnąć nóż i odciąć. Bronię 240

się przed tym. Coś smutnego napada, jak płachta wstydu, jak jakaś hańba, że to widziałem. Zamknąłem drzwi, ale one się znowu powoli otwały. Zleciały z haków, dudniąc jak trumna. Pobiegłem szukać Chaima. Na cmentarzu widać było dołki po śladach. Do pogorzeliska Żalasków przyległ tuman śnieżny, gdzieniegdzie czernił się komin. Chodzę i gwizdzę melodię: "Z wysokiej góry jakiś młodzieniec schodzi w dolinę." Nic, tylko białło dokoła. Nikt się nie odzywa. Odszukałem kładkę. Do piwnicy Arbuzowskiej pod Pasiekami trzy kilometry drogi. Ledwo się tam dowlokłem. Za drzewem stał •Wąskopyski. - To ty, Heindl?

- Co się tam stało?

- Gdzie?

- A na plebanii?

- To ty nic nie wiesz?

- Co ja mogę wiedzieć, jak mnie nie było - powiadam i szukam, gdzie by usiąść. - Ty widzisz, jaki ja porządny chłop?

- Czego?

- Czekałem na ciebie.

- Nu, to się widzi. A gdzie Chaim?

- On i Chuny z tym chorym poszli w nocy. Gdzieś my ich znajdziemy, nie bój się. - Kto tobie mówił, żebyś na mnie czekał?

- A ta dziewczyna z Sapisk. Ty nie siadaj ani na chwilę, bo zastygniesz. Idziemy szukać Chaima, bo to się coś niedobrze robi dokoła nas. - Czego?

- Co ja będę ciebie straszył, człowieku. Idziemy do skały pod Trójnogiem, oddasz Chaimowi, coś przyniósł, pogadamy. A potem ruszymy za Szeruckim. To trzeba wyświetlić. 16 - Czarny potok

241

- A kto to był ten, że się spalił w Sapiskach?

- Bemstein.

- A jakże, Bemstein. Ty sam nie wiesz.

- No to już, ja nie wiem.

- Co?

- Nie wiem - powiada Wąskopyski i zagląda mi w oczy. Karabin zawiesił na karku lufą do dołu. - A może to Latadywan?

Wąskopyski przystaje, puka palcem w czoło.

- Na pewno Bemstein?

- Czegoś ty tak skołowaciał?

- Ty nie masz coś zjeść, Wąskopyski?

- To tam oni na plebanii tyle jedzenia zostawili. Tyś był jeszcze, jak Chuny to przyniósł?

Szkoda, cholera... - Nic nie masz?

- Chleba chcesz?

- Co bądź - powiadam.

- Łykaj śnieg, jak co bądź...

- Nie żartuj, Wąskopyski. Widzę, że kieszenie masz wypchane. - Chleba chcesz?

- Tak.

- To pomódl się do swego Boga.

- Już się pomodliłem - powiadam.

Wąskopyski wydobył z kieszeni kurtki węzełek. Rozwinałem. W ciemnej szmatce była dość duża kromka czarnego chleba. - A ten, że się spalił, to ja ci powiadam, że Bernstein. Jołopa kawałek z niego było, że poszukać. - Czego? On miał swój rozum dla siebie.

- Pewnie, tylko dla siebie.

Kiedy przechodziliśmy koło spalonej gajówki, w której kiedyś Tykies robił trumny, Wąskopyski wlaź w środek tego rozwaliska, obejrzał każdy kąt. - Co tam? - spytałem.

242

- Może się ten Szerucki gdzie tu zaszył i kona. W tych gratach można przesiedzieć niejedną noc w razie czego. - Ja bym tu posiedział, trochę wypoczął.

- Nic, człowieku. Walaj, idziemy. Chuny jest ranny, ten mały znowu chory. Co ty myślisz? - Chuny ranny?

- Ty nic nie wiesz, co się stało? Gdzieś ty był?

- Ona tobie nie mówiła?

- Zapomniała, żeś poszedł do Szabasowej z kobietami. Szukają za Gailem. Chodzą z psami. - A ty gdzie byłeś w tym czasie?

- Ja z Kierasieńskim wybrałem się w nocy pod chałupę Witalisy. Z erkaemu bili, aż dzwoniło. - Kto?

- Czaczkiś ze swoimi. Bo u Witalisy był sztab szupow-ców. Mogli przychwycić Szeruckiego, jak myślisz? - Mogli... czy ja wiem.

- Markotny jakiś jesteś albo mi nie dowierzasz.

- Co znaczy: nie dowierzasz. Zmęczony jestem jak koń po wiosennej robocie i muszę to sobie wszystko jakoś poukładać w głowie. - Szkoda mi ciebie, że ty taki zmęczony - powiada Wąskopyski, pcha rękę do kieszeni i wydobywa z niej płaską, ale długą całuskę chleba. - Ty sobie poukładaj ten chleb w żołądku. - Dziękuję, ty jesteś fajny chłop - trącam go po przyjacielsku w ramię. - Co z tego, że ja fajny.

- Tak się mówi. Chyba rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. - Tyś szukał Chaima na plebanii? - pyta Wąskopyski.

- Byłem w sieni na progu i to wystarczyło, żeby się dowiedzieć o wszystkim. - Idź ty ze swoim gadaniem tam, gdzie się bez niego obejść nie mogą. Mów prosto. Ja bym chciał wiedzieć, co się 16*

243

tam potem stało, czy rzeczywiście byli żandarmi, jak mówiła Domińska. - Byli. Bańczycki wisi na kołku w sieni.

- Ty żartujesz!?

- Nie żartuję. To ty, jak widać, nic nie wiesz. Wąskopyski przystanął. Był czarny, nie ogolony. Nad jego cienkim nosem zadrgały trzy zmarszczki. - A co dalej? - pyta on mnie.

- Dalej nie wiem. Mało ci?

- Czekaj no - ciągnie Wąskopyski - mnie chodzi, czy ta dziewczyna mówiła prawdę. Ona mówiła mi, że przed północą musieli uciekać, bo ktoś podchodził ze strzałami. Psy pierwsze wbiegły na podwórze. Chaim z Szają chwycili siennik, ale ten Dudi upadł im na progu. Tam jakieś graty zawadzały. Zostawili siennik. Któryś wziął tego chorego na plecy, ale który, to ona nie wie. Chuny zaczął kuleć. "Czego?" - pytam. "Bo strzelali" - odpowiada. Najgęściej ich było w ogrodzie. Zdawało się, że nie ma wyjścia. Wrócili i skryli się w stajni, ale pies zaczął szczeleć. Tamci wbiegli od razu do plebanii. Tymczasem Chuny wywalił kilka dyli na tył. Wyskoczyli na cmentarz i przysiedli. "Przysiedli i co dalej?" - pytam. To ona powiada, że Chaim kazał jej odejść. Ja nie wierzę, żeby on jej to powiedział. - Tyś ją spotkał gdzie?

- Już na drodze za Sapiskami. Mówi, że plebania obstawiona. "Gdzie idziesz, Domińska?" - pytam ją. "Wszystko jedno, może jaka robota się trafi. Co ja koło was będę robiła, zawszyłam się i tyle." "Zostań z nami. My niedługo będziemy mieli trochę dolarów, coś i ty wskórasz. A

tak to ty gdzie się podziejesz? Panów nie ma, a u Niemca chyba nie będziesz służyła."
"Pewnie..." Została. Ona mnie lubi. Inna rzecz, że trzeba by tej dziewczynie jakieś buty. W tych onuckach niemiłe życie i żadna robota. - I gdzie ona jest teraz?

244

- Zostawiłem ją z Kierasińskim w przysiółku pod Pasiekami. Niech czekają na mnie do jutra. A w razie czego punkt zborny pod Trójnogiem. - Później się dowiesz, czy Domińska mówiła prawdę.

- Od jakiego momentu będzie to "później"? - dopominał się Wąskopyski. - Jak spotkamy któregoś.

- A jak nie spotkamy? Ty myślisz, że jak my idziemy do tego Trójnoga, to oni tam na pewno będą? Wiedziałem dobrze, że Wąskopyski mnie sonduje. Każdego poddawał takiej męczącej próbie. Umiał też dokuczyć najboleśniej. - Ja wierzę, że będą. Ty masz dobry niuch - powiadam mu. - Jak tam dojdę, to się już nie ruszę, taki jestem zmęczony. Wąskopyski popatrzył mi w oczy głęboko, zaprzeczył ruchem głowy. Powiedziałem mu jeszcze: - My nie wiemy, gdzie oni są, oni, gdzie my, i tak w kółko to teraz będzie szło. - Co jeszcze na plebanii widziałeś? - napierał Wąskopyski. - Byłem tylko na progu, w sieni.

- To szkoda.

- Co ty się chcesz dowiedzieć, Wąskopyski? Sam pewnie byłeś i wszystko widziałeś. - Nie. Ja przez lornetę patrzyłem. Trochę śnieg zamazywał, ale widać było, że ludzie jacyś chodzą po podwórzu, krzątają się koło czegoś. A potem tak z godzinę patrzyłem i nic, nikogo. Na drogę nikt nie wyszedł. - Pewnie szukali Gaila.

- Może być - powiada obojętnie i nagle głośno: - Aaa... tylko ta baba wyszła z podwórza. Ta, która nakryła Lulę Heim. - Aha...

- Nie powinna iść w moją stronę.

245

- Czego?

- Nie spodziewała się baba, że ja będę jej śmiercią.

- Dlatego ty taki zdenerwowany...

- Widać po mnie? - pyta Wąskopyski.

- Pewnie. Paskudna rzecz. To szpicel baba...

- Teraz już żałuję, że tak zrobiłem - powiedział Wąskopyski i zatrząsał ręką przed oczyma, jakby go opadły leniwe, gryzące muchy. - Proszę... tylko nic nie mów Chaimowi. - Jak ci na tym zależy...

- On chce, żeby na wszystko "zapadła uchwała".

- Zrobione, że nie trzeba lepiej - powiedziałem. - Niech to zostanie między nami. Wąskopyski pochylił się, zdusił garstkę śniegu. - Pragnienie - powiedział i ruszył dalej, zacierając ręce jak człowiek, który stracił do reszty cierpliwość. - Widziałem znowu dzisiaj polowanie na dzieci.

- Powiedziałem to umyślnie, żeby podsunąć nowy temat, żeby go odciągnąć od tamtego kłopotu. - Pięciu żandarmów... gnali za dziećmi. Tak być nie może. - Pewnie, że tak. A my się włóczymy jeden poza drugiego.

- Tylko ty nie zaczynaj. Na razie nie było broni.

- To się wie, dlaczego nie ma broni - powiedział Wąskopyski z łagodnym wyrzutem. - To się wie, był jeden, miał brylant. - Mówisz tak jak inni.

- Ten znowu z dolarami chodzi po lesie.

- Stary zarobił sobie, teraz ma prawo bronić się nimi.

- To jest pierwszy człowiek, który się nie podzielił niczym. Mówiłem już Chaimowi, że ktoś inny z tych pieniędzy skorzysta. A Latadywan to tak zbył, jakby mi przed nosem zamknął drzwi. - Nielatwa sprawa - powiedziałem - każdy broni

246

swego. I ty broń swego, Wąskopyski, to ci wystarczy. Twoja matka żyje jeszcze? - Żyje i co z tego? Nie uciekaj z tematu. Jak już raz do was przystałem, to ja chcę wiedzieć, co robić dalej. A my pałętamy się, tak dalej być nie może. Wstyd, że ja sam nie złapałem tego starego i pieniędzy nie zabrałem dla potrzeby pilnej. Jak zaczniemy wachać, co śmierdzi, a co nie, powiadam tobie, to do luftu. Tak Bańczycki skończył. O! Widzisz, masz przykład partactwa. - No, partaczem Bańczycki nie był, sam przynasz.

- On jeszcze łaski prosił dla Gaila, tym swoim łagodnym głosem. - To jego rzecz. Zastanów się spokojnie. Samo się rozumie i nie mówi się o tym wiele. Zabójcom Bańczyc-kiego, zabójcom dzieci Chuny nic już nie zostało, oni już nie znajdą miejsca, w którym by się mogli schronić, dla nich już nigdzie nie będzie domu. A my musimy jeszcze mieć swój dom. O to chodzi w tej całej sprawie. Żeś Chuny podał rękę w strapieniu, to weź też i pomyśl z nim nad tym wszystkim, co wypada zrobić, a co nigdy w życiu się nie opłaci. Ja ci powiem, człowiek musi surowo traktować swoje obowiązki, bo inaczej się zawali. - Nie uznajesz, znaczy, krew za krew. Wybaczać wrogowi za to wszystko, czy jak? Bańczycki próbował błoto zmywać złotem, Buchsbaum modlitwą. - Dobierasz się nie do swoich rzeczy. Usiądź kiedyś w lesie i pomyśl, na jaką drogę wstąpiłeś, gdzie chcesz dojść. Jest droga zabójców i droga prawdy. - Nu, czekajżeż, Heindl - powiada Wąskopyski - a jak na tej twojej drodze prawdy spotkają ciebie zabójcy? To co? - Będę się bronił. Co będę miał w ręku, kamieniem, laską... - A dajmy na to, że nie masz nic, ani kamienia, ani patyka. Napadli ciebie. "Daj mi na chwilę" - pro-247

sisz kogoś. On nie chce dać. To kto on jest? Wspólnik zabójcy. - Niekoniecznie.

- A kto?

- Taki sobie człowiek obojętny. Radziłbym ci wszcząć dochodzenie, może stanąć w roli świadka albo zamknąć oczy na ten czas, żeby nie być wmieszanym. Takiego uczciwym nazwać nie można, bo uczciwy pomaga wszystkim w biedzie, komu się tylko da, ściga razem z tobą winnego. Taki jest obowiązek. Wąskopyski milczał, wargi miał otwarte i patrzył na wzgórze Trójnoga. Krótki zimowy dzień szybko przeskoczył na zmierzch, ruszyła zawieja. I szliśmy wtuliwszy karki do mokrych kołnierzy, potykali się na grudach pod śniegiem. Wąskopyski zgarbił się, jakby karabin jego ważył pół korca. Milczał i widać było, że jest smutny, trawiła go może jakaś choroba albo się w nim coś przewróciło, z czym jeszcze nie chciał się pogodzić. W każdym razie i zawszony on być już musiał, bo podnosił łokcie i krzyż pocierał. Wszy gryzą w marszu, kiedy ciało rozpalone, swawolą od podeszwy po kark, człowiek rusza ramionami, bije dłonią po łopatkach i złości się nie wiadomo na kogo. Chętnie bym leżał w tym śniegu i przespał kilka godzin, żeby raz nareszcie wypocząć, przestać włączyć się od zorzy porannej do wieczornej. Ani miary, ani końca. Kiedy sięgam myślą wstecz, wydaje mi się, że nigdy nie byłem dzieckiem, że nigdy nie byłem najedzony i wyspany. Ze skąpych słów Wąskopyskiego trudno było zgadnąć, co go gnębi. Jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go, szedł, a ja za nim, nie czując już kostki w sobie. I nienawiść ogarnęła mnie do wszystkiego, że nie sposób było ją z piersi wyrwać. Obejrzałem się, za nami leżał trop i groza, dla której nie ma miana. Szliśmy dalej milcząc - z nami szedł głos, który sądził nas bez słów. 248

Ciemno już było, kiedyśmy weszli do pieczary w skale. Był Chaim, był Chuny i jeszcze jakaś kobieta z dzieckiem napuchłym z nędzy. Paliło się ognisko za blokami kamiennymi, dalej leżała kupa świerkowych gałęzi, a na niej chory Dudi. Widać było w blasku kamienie żarnowe, progi i krzyże. Walały się pod nogami knypie, listwy, drągi obdarte z kory, dzwoniły pod nogami na litej skale stalowe kliny. Chaim opuścił nisko głowę i zasłonił oczy dłonią, kiedy postyszał, że Bańczycki nie żyje. - Wyszedł rano i poleciał nie wiadomo dokąd. Nie można się było nawet domyślić - powiedział wolno. Chuny przyniósł menażkę śniegu, postawił na ogniu. - Ona mówiła, że kulałeś.

- Kulałem, bo wyleciałem w jednym bucie.

- Co to za kobieta? - pyta Wąskopyski.

- Bemsteinowa, możesz mówić.

Dopiero późnym wieczorem zaczęła się rozmowa na temat minionych wypadków. Trzeba było nosić śnieg i topić go na wodę w małej menażce, żeby Chaim miał w czym wygotować strzykawkę. Z kupy śniegu kropla wody. A kiedy przyszło wymyć udo przed zastrzykiem, to Dudi zaczął się szarpać z nami, nie dał się ruszyć, protestował gwałtownie, że każdy się zdziwił, co to ma znaczyć. Potem trzeba było jeszcze raz topić śnieg, żeby napoić chorego, który po zastrzyku leżał skłębiony i cichy, zapatrzony w coś szklanymi oczyma. Kiedy się to skończyło, wyszliśmy wszyscy po drzewo. Śnieg ciągle sypał. Patrzyliśmy chwilę na daleki pożar. Wiatr szumiał w lesie, a myśmy nosili drzewo, żeby ogrzać mrozem przebitą pieczarę. Bemsteinowa miała w woreczku szesnaście kartofli, podzieliła je między nas. Rozzuliśmy buty i tak stojąc blisko ognia, suszyliśmy onuce na nogach. Wąskopyski oddał swój chleb Bemsteinowej. Dziecko było przemoczone i zziębłe. Radziliśmy Bemsteinowej, żeby rozgotowała kawałek chleba na wodzie i nakarmiła tego małego. 249

Miałem jeszcze dwa papierosy od Ksawery.

- Zapal - powiedziałem do Chaima - byłbym zapomniat. Od niej dostałem całą paczkę. - Mówiła ci coś ciekawego?

Chaim pochylił się nad ogniem, kołyszając papierosa na dłoni odczytywał napis. Wpatrzyłem się w jego twarz, która raptem stała się dzisiaj podobna do twarzy jego nieboszczki matki. Kościste policzki, ostry, spadający na górną wargę nos i czoło pełne znużenia, pocięte zmarszczkami. - Prosiła cię pozdrowić. Chwaliła za spryt.

- Jaki spryt?

- Zmieniłeś pismo na recepcie. W aptece znają twoje pismo. Szperali w starych... - W czym?

- W receptach. A może to był kaprys, w każdym razie nieokreślone podejrzenie. Jeszcze ma trochę twoich pieniędzy. Można kupić ten karabin, o którym wspomniałeś. Sprawa załatwiona z dużymi zastrzeżeniami. Pamiątki twoje Ksawera przechowuje. - To są listy z ostatnich czasów. Nie wiesz, czy tam jest fotografia mojej matki? - Ja tego nie miałem w ręku. Taki pakiecik. Coś ona zaczęła mówić na temat tego, ale przyszła wiadomość, że jeńcy sowieccy uciekli. Dwudziestu ludzi, trzech zabito. - Co sądzisz o Ksawerze?

- Dobrze. Taki obraz ufności i wiary na tle nie do zniesienia. Trochę jej dokuczyłem, a potem całą drogę robiłem sobie wyrzuty. Chcąc kupić karabin, trzeba zapłacić dwadzieścia dolarów. Zgodziłem się. Dziś wieczorem miałem tam być. Ale nic z tego, bo tu znowu to zaszło... wasza ucieczka, śmierć Bańczyckiego. - Tak... Takiego obrotu sprawy nikt nie przewidywał do ostatniej chwili. Pani go na pewno widziała? - zwrócił się Chaim do Bemsteinowej. 250

- Tak.

- Gdzie, w którym miejscu?

- Za Pasiekami.

- Sam on był?

- Nie, on nie był sam, on siedział z jakąś babą, starą babą. Odwróciłem twarz, Wąskopyski przyłapał moje spojrzenie, a potem zaczął wściekle dmuchać w zamek karabinu, jakby mu tam nie wiem co powłaziło. Teraz przypominam sobie, nie spotkałem w życiu brzydszej kobiety. Bańczycki nienawidził jej, bał się, zawsze z niepokojem myślał, czego ona właściwie chce od niego. W ciągu długiej godziny Chaim zasypywał mnie pytaniami, a ja mu odpowiadałem dość niedokładnie, umyślnie opuściłem na razie sprawę Leita. Chciałem tę skazę ujawnić mu jutro. Potem jeszcze rozważaliśmy wypadek z Lula Heim.

- Mnie nigdy nie przyszło do głowy, że ta stara baba może być szpiclem. - Jest tak, jak mówiłem - rzekł Chuny. - To było łatwe do przewidzenia. Chuny stwierdził, że kryjówkę Luli wywahała ta stara.

- Ale zabić ją za te sprawki nie wypada na razie. To wszystko mogą być wasze domysły - próbował bronić Chaim.
- Nieprawda twoja. Ja się z tym nie zgadzam.
- Chodzi po prostu o wyśledzenie jej ruchów. Trzeba będzie nie spuszczać jej z oka. Chuni poruszył się niespokojnie, chrząknął i spojrzał na Wąskopyskiego. - Szkoda, że nie ma Szeruckiego, on by ci opowiedział, jakie ta stara ma doświadczenie. A też, kiedy go zapytałem, czy zabiłby ją, powiedział, że nigdy w życiu, bo to czarownica. Błagał, żeby mu nawet nie nasuwać takiej myśli. Radził przede wszystkim pouczyć ręce jej chlebowawcom - hilfspolicii. 251

Wyszedłem z pieczary z zamiarem nałamania sobie na podściółkę gałęzi świerkowych -jak by nie było - trzeba trochę pospać. Wąskopyski wyszedł za mną.

- Co będziesz teraz robił? - pyta mnie.
- Nadrę sobie trochę tego pod bok do spania - powiadam.
- Będziecie jeszcze mówić o tej starej?
- Nigdy w świecie. Gdyby Chuni chciał jeszcze wrócić do tego tematu, zamknę mu gębę. Niech się domyśla, co chce. - To dobrze. A przy tej Bemsteinowej nie wypaplać, że on się spalił. - Zależy ci bardzo na tym, żeby nikt nie wiedział o tej sprawie z babą? - Tak, bo to kwestia, jak się kto zapatruje. Chaim tego nie lubi, czy nie? - To się wyjaśni. A dlaczego ty jesteś taki niespokojny. Pal sześć, człowieku. - No... - powiedział Wąskopyski - nie tak bardzo. Ale w każdym razie niech to będzie dobry uczynek dla was na końcu. Kto wie, czy ja sobie nie odejdę od waszej grupy, już na dobre. - Czego?
- Wszystko razem nie bardzo mi się podobało. Wąskopyski milczał, oczekując odpowiedzi, a ja wcale nie miałem ochoty dodawać mu żadnej myśli. - Jak uważasz - bąknąłem.
- Jak tak dalej pójdzie, to tylko patrzeć, jak nas wszystkich wykatrupią. Tak jak teraz jest źle z wami, nie może być gorzej. - Co masz na myśli?
- Wszystko razem.
- To czyż nie powinienes się pośpieszyć z ucieczką od nas? 252
- Ty pożałujesz tego, coś powiedział. Odejdę stąd nad ranem i ty ze mną. Powiedział to z takim przekonaniem, jak gdybym nie miał wyboru. - Dokąd pójdziemy? - pytam go.
- Do grupy Czackiesa.
- Wiesz, gdzie oni są?
- Wiem. Już się nawet z nimi umówiłem w sprawie odbicia Leita. -Pewnie... Nad tym warto się zastanowić. To co innego. Ja myślałem, że ty masz jakiś inny plan. Czy powiesz to samo Chuni? - On już o tym wie.
- I co, zgadza się?
- Tak. On też nie lubi wciąż chodzić w koło.
- Nic teraz z tego nie rozumiem - powiedziałem mocując się z kupą gałęzi. - Nie rozumiem, od kogo ty chcesz uciekać? - Od Chaima.
- Ty mnie pewnie chcesz wybadać. Z jakiego powodu, powiedz mi wyraźnie. Ale się nie odezwał, poszedł powoli w stronę oświetlonej ogniskiem pieczary. Za dużo nałamałem gałęzi, nie sposób było tego podnieść, musiałem część zostawić. Położyłem się i nakryłem oczy rękawem, żeby nie widzieć tego strasznego życia dziecka Bemsteinowej. Zakopałem się głęboko w myślach bez pociechy. Chaim dreptał niespokojnie koło moich nóg. Słyszałem jeszcze, jak mówił do Chuni: - A teraz porozumcie się we trójkę. Bańczyckiego trzeba pogrzebać. Wracając nie zapomnijcie wziąć siekierę, bardzo się przyda. Niech go pani nie nagrzewa za bardzo przy tym ogniu... to niezdrowo... Chuni i Wąskopyski rażnym krokiem wyszli z pieczary. Włosy mi się najeżyły. Co oni znowu wymyślili? Oni ciągle 253

mają ponuro spoglądające oczy, które coś kryją na dnie. Może to nie zaspokojone pożądanie domu. Coś im tam zaświta w głowie i zaraz ginie... "Puśćcie mnie do domu... nie zrobiłam nikomu nic złego. Puśćcie do domu" - prosiła kiedyś Tońka, ale ten ją potrafił, aż się zatoczyła pod mur. Przypomniałem sobie, że Szerucki może miał znowu jakieś zwidzenie Tońki. A ją już w proch wdeptali. Duża grupa dzieci zebrała się koło Klary i patrzą na nią z lekceważeniem, bo ona jest zawszona. Wszystko idzie do domu, nie rozglądając się, nie pytając o nic nikogo - idziemy do domu. A nie dokądkolwiek. Przychodzisz na swoją ulicę, na swoje podwórze, do swojej sieni, przez próg do izby. "Jesteśmy w domu" - mówiła matka... Coś zadzwieczało blisko mojej głowy. Wąskopyski pochylił się i powiedział szeptem: - Wstawaj, Heindl, będzie świtać niedługo. Udałem się z nimi w drogę, bo tak postanowiłem w swojej goryczy. Zostawiliśmy Chaima, pachnącą świerkiem pieczarę i ognisko, które trzepało naszymi cieniami po skrzących się ścianach. - Kiedy wrócicie? - zapytał Chaim.

- To się zobaczy. W każdym razie jedzenie ci przy-szlemy Domińką - powiedział Chuny. Chaim stał i patrzył na mnie, a kiedy oddałem mu jego pistolet, zaśmiał się głośno. Zbyt głęboko zakorzeniła się moja przyjaźń do niego, aby się ją dało czym bądź przysłonić. Nie było sensu kryć w sobie tego wszystkiego, na co zasłużył, nikt tego nie oduczy i nie odmówi. - Tak - mówił - oddaj pistolet. Spojrzał mi prosto w oczy i pokręcił głową. Ach, żeby szczęśliwie wrócić i po prostu wszystko mu wyjaśnić. - No, a teraz - powiedział Wąskopyski - trzymaj się mocno - podał mu swoją ogromną rękę i westchnął głęboko, łatwo było odgadnąć, że jest wzruszony. 254

Tylko Chuny nie powiedział ani słowa, zawiesiwszy karabin na karku, podniósł rękę do czoła. Wyszliśmy w las i skręcili na lewo w debnę, żeby zgubić trop. Szliśmy w milczeniu, trzymając się blisko siebie. Było jasno od księżyca. Wąskopyski trzymał karabin w dłoniach, patrzył w ziemię, kiwał się równomiernie, jakby przytupywał jakiejs pieśni, ułożonej przez siebie. Wysokie, strzeliste drzewa, sine cienie pod nimi i nigdzie znikąd głosu. Nie rozglądaliśmy się i nie pytali jeden drugiego o nic. Droga bez końca, wciąż biała z cieniami, wspinała się w górę, spadała w dolinę. Zagrzailiśmy się, ale dokuczał głód. Idąc myślałem o Chaimie, wydawało mi się, że wyrządziłem mu krzywdę, a ta krzywda, jak grzech wobec człowieka, którego kochałem, ani teraz, ani nigdy nie będzie mi odpuszczona. Nie można tego zamazać, to zostanie na zawsze. Pocieszam się dobrą myślą, ale pociecha jest kłamstwem. Kiedy człowiek patrzy w noc, spowiada się przed sobą i do ostatniej godziny wybaczyć nie może niczego, co było grzechem wobec ludzi, których się kochało. Zmienił mi się krok, zawszona odzież ciążyła kamieniem. - Czegóż ty się wleciesz? Trzymaj się! - mówił Wąskopyski. • Siłą wywodziłem swoje myśli na coś przyjemnego, na kupę wspomnień bez porządku, byle jasnych, żeby nie upaść na śnieg w przygnębieniu. - Ona jeszcze młoda? - pyta Wąskopyski.

- Kto? Co ci przyszło na myśl?

- A ta dziewczyna Leita.

- Pewnie - powiadam od niechcenia.

- Dał się złapać, to dopiero cymbała kawałek.

- Jak był ranny, to co ty myślisz.

- Ty nie wierz temu, co mówi Dudi. Co on tam wie. Ze wstydu krew mnie zalewa. Najgorzej szkoda, bo on sobie pomyśli, że my jego opuścili za to, że się nie zgodził tego starego obrobić z dolarów. 255

- Ale co tam - powiedział Chuny złym głosem.

- No, pocieszajmy się, a mnie to sprawia ból w sercu.

- Czy to prawda, że on siedzi na posterunku hilfs-policji? - spytałem. - Na pewno prawda. Był w Szabasowej, a teraz przywieźli go tutaj, spodziewają się wymienić go za Gaila. - Kto to mówił? - zwrócił się Chuny.

- To ktoś mówił Domińce.

- To bajki. My już jego twarzy nie zobaczymy - powiada Chuny. - No, to się da widzieć. Jutro już to się wszystko wyjaśni. Pomóc by nam mogło jedno. O, gdyby nam Czaczkieś dał granat. A my byśmy tam przysiadali, daj Boże widzieć, co się będzie działo. - Co by zaszło, to ty nie piśnij ani słowa Chaimo-wi - powiada szybko Chuny do mnie. - No, bo jak on zacznie się rozwodzić, co można, a czego nie można, to my by się nigdy nie otrzepali z jego opieki. A to znowu trudno stanąć w czystym polu i krzyczeć w czorta, co się dokoła dzieje. - Nikt nie chce krzyczeć - powiadam - ale zastanowić się można, co się opłaci, a co nie. Chaim ma często rację. Czasem się coś robi, a potem się tego żałuje. - Nic ty nie mów, on ma rację - powiedział szorstko Chuny. - Ty siedź spokojnie i nie rozpyszczaj się. Wąskopyski odwrócił się, spojrzał na mnie i zatrzymał, aby zaczerpnąć powietrza, bo wiatr, kiedy wyszliśmy z lasu, smalił nam w twarz. Trzymałem dłoń przed ustami, ale to nic nie pomogło. Słowa rwały się, pęczniała tchawica, kostniały palce. - Co?! - krzychał Chuny. - Co?

- Tędy - pochyliwszy się Wąskopyski wskazał ręką na prawo. Tamta część nieba była żółtawa - to był wschód. Blisko siebie, w naszą stronę, leciały małe popielate 256 chmurki. Robił się dzień. Brnęliśmy tak na przełaj w stronę plebanii. Wiatr przedmuchał nas na wylot. Przystanęliśmy za krzakami. Wąskopyski wydobyl lornetkę zza pazuchy, przystawił do czoła, pociągając drobniutko nosem. Otworzyłem szeroko oczy, drżąc z zimna, patrzyłem, jak tam, nad dachami, wiatr przegina drzewa, za stodołą zawijał się pas kurniawy. - Ty popatrz - mówił Wąskopyski do Chuny - tam jakaś kobieta wyszła z podwórza. Teraz ona jest za... Weź, popatrz, bo mi ręce zgrabiały. Co? - Tak - Chuny zostawił wargi otwarte, dobierał słów - ona coś poniosła. - Co tam było?

- Chcesz zobaczyć?

- Co ona poniosła?

Oczy Chuny musiały coś dostrzec, bo powiedział:

- A krew by to zalała!

- Czego nie chcesz więcej mówić?

- Dobrze by było ją dogonić.

- Czego?

- Łachy z Bańczyckiego poniosła. Wąskopyski mlasnął wargami. - To pewnie ta baba - dodał Chuny.

- Co mówisz?

- Masz, zobacz. Ona już po drugiej stronie za figurą.

- Powinno się jej skrócić życie, tylko raz, i koniec. Chuny podał mu lornetkę, ale Wąskopyski zapakował ją z powrotem w głęb pazuchy i w czasie kiedy Chuny mówił: "pewnie, to się nie ma co nawet zastanawiać" - patrzył mi w oczy i ja zobaczyłem w jego oczach coś bardzo dziwnego, w każdym razie coś przyjemnego. Stanęliśmy na podwórzu. Wąskopyski wziął karabin pod pachę, furtka cichutko klapnęła za nami. Patrzyliśmy chwilę w budynek, jakby tam chodził upiór za wybitymi oknami. 17- Czarny potok

257

Drzwi leżały przed progiem, a na nich, jak haft, oszroniona słoma. Pod ścianą grzebały się trznadle. - Wszystko jedno, trzeba to zobaczyć - powiedział Chuny.

Cisza była taka w sieni, że kiedy ptaszki podfrunęły, podgarbił się plecy. Szeleściła słoma pod nogami, wywalona przez kogoś z siennika. Patrzyliśmy na rozdeptane buty

Bańczyckiego. W kuchni rozsypana beczka po ogórkach. Nigdy jeszcze tak nie było, ale oczy nasze nie mrużyły się ani na chwilę - stos śmieci przebuszowany do spodu. Jedna tylko

straszna, zawieszona koszula Dudi leżała na blacie kuchni. Pochodziliśmy po izbach tam i z powrotem zaglądając lękliwie przez okna. Wśród nagromadzonych patyków wokół pieca leżał nadkrojony bochenek chleba, szczerstwiały na kość. Słodko zaśmiało się nam coś w środku, nie można było pohamować śliny w ustach, gdy Chuny rozkroił chleb na cztery kawałki. Posiadawszy pod ścianą w sypialni Bańczyckiego, rozgryzaliśmy zimne grudy suchciela, ślina ciekła, jakby trucizny napuścił do zęba. Przeciąg świstał w kominie, trzęsły się drzwi na werandzie natarczywym pukaniem. Wąskopyski poszedł do stodoły szukać siekiery, wrócił.

- Nic nie ma. Nawet dżagana nie widać. Obszukaliśmy wszystko, nigdzie siekiery ani łopaty. Nic, czym można by rozbić zamarzłą ziemię. - To jak się jego pogrzebie? - powiedział Wąskopyski i poszedł do sieni, a Chuny za nim. Stałem we wrotach, żeby patrzeć na drogę, czy ktoś nie podchodzi. Ponieśli go za tył stajni, wrócili po półgodzinie, zaśnięzeni, z mokrymi rękawami. Zaszliśmy jeszcze do kuchni i rozpalili w piecu. Trzeba było trochę się rozgrzać i chleb odparzyć nad płomieniem, wytarawszy go przedtem w śniegu. Chuny kaszłał, opierał ręce na kolanach, ciało jego trzęsło się przy tym, jakby go ktoś mocno stukał po plecach. 258

- Trzeba nogi przewinąć - powiedział Wąskopyski - bo cię ta jaducha zwali. I wskazując na mnie powiedział: - Heindl, na strychu jest stary materac, obedrzyj ten materac, ale wszystko obedrzyj. Zrobimy zapasowe onuce. Przyniosłem ze strychu pasiaste szmaty z rudymi plamkami od gwoździ. - Toż to rozkosz będzie teraz dla nogi - mówił Wąskopyski, zeskrobując ciemne zakisy między palcami, i uśmiech zatrzymał się na jego twarzy. - No i co? - spytał Chuny, kiedyśmy się już wszyscy przeżuli. - To pożegnamy się z plebanią, może raz na zawsze. Jak myślisz? - Jak my się pożegnamy z plebanią, Chuny?

- Co się nad tym zastanawiać. Pójdziemy w swoją drogę, gdzie trzeba. I poszliśmy, wstawiwszy jeszcze drzwi na zawiasy. Ale Wąskopyski we wrotach strzelił w niebo, aż zadzwoniło w uszach, las pod Pasiekami odpowiedział dwa razy - pa-pach. - Weźmiemy Kierasieńskiego ze sobą, a Domińska pójdzie do Chaima - powiedział Wąskopyski i wskazał ręką: - tam z tyłu, za tym lasem, spotkamy się wieczorem z Czaczkiem. - Ty go dobrze znasz?

- Czemu nie, ja z nim przed wojną miałem rozmaite kawałki. Kiedyś głodny byłem i spragniony, a było i tak, że trzeba było i wyciągnąć rękę w biedzie. Ty wiesz, jak to jest. Czasem człowiek leży jak kamień na ulicy i na nic nikomu nie jest potrzebny. Ale ktoś wyciągnie rękę i to się pamięta. Koło drugiej, trzeciej po południu przyszliśmy do przysiółka za Pasiekami. Wleźliśmy z pola do ciasnej, może na dwa metry szerokiej izby. Stary chłop, zatkawczy nos, palił 17*

259

na blacie ziarno. Dym zasłonił okienko, przy którym Kierasieński zaszywał rozpruty zapętek buta. Domińska spała na piecu, a nad stołem pochylona stała jakaś dziewczyna i szczytywała wszy na papier. - Daj Boże zdrowie - powiedział Wąskopyski, położył rękę na plecach starego. - Jezuńciu, się, się, to was ile jeszcze się zmieści w chałupie - ze świstem w zębach powiedział stary. Postawaliśmy w progu jak na weselu. Spotkaliśmy się z tą dziewczyną oczyma, w śmiertelnym przerażeniu szybko oceniała nas, chwyciwszy się stołu, jakby się miała pośliznąć. Kierasieński wypluł dratwę z ust, zaśmiał się i wyrznął Wąskopyskiego po karku. Ten żart nie podobał się, Kierasieński, pchnięty, uderzył plecami w ścianę i siadł bez słowa na dawnym miejscu. Wąskopyski oka nie spuścił z dziewczyny. Twarz jej była drobna i blada, patrzyło z niej dwoje spokojnych oczu. Zarzuciła palcami na tył bujne włosy. Widziałem, że jej coś zadrgało i zabłyszczało około warg, podniosła się ciemna brew. Popatrzyłem na jej nogi owinięte szmatami. Ona spojrzała na mnie, ręce jej się zatrzęsły, schyliła trochę głowę. Przeszliśmy obok, siedli na ławce. Ona nie ruszyła się z miejsca.

Ładna, wysoka dziewczyna. - Dolejcie wody, żeby na wszystkich kawy starczyło - powiedział Wąskopyski do starca. Domińska podniosła się, spuściwszy nogi z pieca.

- No i co, jak tam się tobie czekało na mnie?

- Ale wy długo gdzieś byli.

- Pewnie - powiedział - łatwo dzisiaj nic nie idzie - pogłaskał ją po czerwonym jak od ognia policzku. Chuny mówił z tą obcą po żydowsku. Co chwila któryś z nas wychodził na próg posłuchać i popatrzeć. Trochę niżej od nas stały jeszcze trzy chałupy przysiółka. Wszystkie trzy były zamknięte, okna zabite, bez śladu na zaśnieżonych progach. Przy pochyłości nad rzeczką stała długa, słomą

szyta prackarnia, dalej kładka. Zaraz za chałupami obsadzona drzewkami szeroka polna droga skręcała do lasu, który zakrywał widok na Pasieki. Pies, zwiesiwszy łeb, obwachiwał podwalinę pustej stodoły, a wrona podnosiła się i zniżała w miarę jego złości. Uczułem silne pragnienie, język miałem z suchej skóry. Tymczasem daleko na lewo, tam gdzie stała jakaś samotna chałupa, pokazał się jeździec, posuwał się pomału w naszą stronę. Tam się pewnie nagle grunt zniżał, bo jeździec znikł mi z oczu na chwilę. - Ty chodź - kiwnąłem na Wąskopyskiego.

- Patrz - powiadam do niego - patrz tam, tak prosto nad kominem tej pierwszej chałupy. On cofnął się do sionki, przystawił lornetkę, zawołał Chuny. - Jeden?

- Na razie jeden.

- On do lasu jedzie. Zakręca tam. Zobacz, Chuny, nie widać?

- Tak, on do lasu pojechał. Wszystko, co można na razie powiedzieć... zobaczymy. - Co to za dziewczyna? - zapytał Wąskopyski.

- Koleżanka Luli Heim. Ona była u Czackiesa.

- Ładna dziewczyna, szkoda, że ona nie ma butów.

- Chodźmy, pogadamy.

Wleźliśmy z powrotem do izby. Huczał ogień w piecu. Pościągaliśmy z siebie kurtki. Stary dusił flaszką na stole spalony jęczmień. Wąskopyski nie spuszczał oka z tej dziewczyny. - Ona nie mówi po polsku?

- Parę słów tylko. Ona mówi po niemiecku albo po żydowsku. - No to ty, Chuny, pogadaj z nią, popytaj, czy w grupie Czackiesa jest Arnold. Bo Heindl powiada, że Ksawera pytała o niego. I Chuny zaczął szwargotać z nią.

261

- Co tam, dziadku, co piszą wasze dzieci z Niemiec? Bombują? Posuń się, Kierasiński. Nasiedziałeś się, a temu Heindlowi aż kiszka krwawi z marszu. Temu staremu wszystkie dzieci zabrali do Niemiec na roboty - powiada Wąskopyski. - Ile razy ja tu jestem, to ten stary sobie dogadza z jedzeniem. Dla niego jedzenie to pilny interes. Domińska wyszła do sieni po drzewo. Kawa jęczmienna zakipiała, stary rzucił do baniaka cztery pastylki sacharyny, rozlał nam po garnuszku tej gorącej juszki. I tak siedząc milcząco, siorbaliśmy smacznie wargami, łykali upragnione ciepło. Pomyślawszy chwilę, stary ukroił sześć kromek chleba, każda miara w miarę podobna była do zelówki. - Bóg zapłać - zaśmiał się Wąskopyski.

- Chuny, od kiedy ona jest u Czackiesa?

- Ty wiesz, co ona mówi?

- Nu?

- Ona mówi, że Leita złapali. To jest prawda. Czackies ma pewne wiadomości. Powiada, że mieli kilka dni dobre jedzenie, bo Czackies zabrał byka z ligenszaftu w Pasiekach. - To się chwali, pewnie... A co ona szuka tu w tej chałupie? Chuny chciał coś powiedzieć, ale kiwnął ręką, z miny jego można było wyczytać, że o tym można, ale nie przy wszystkich i nie dziś. Chuny zawsze był taki, miał smak. Ta dziewczyna zwierzała się ze swoich trosk; zdawało się

jej biednej, że jak komuś opowie to wszystko - to zaraz się rozjaśni koło jej okropnej historii.

- Ona jest w ciąży? - zapytał cichutko Wąskopyski.

- Tak, ale nie patrz na nią, bo ona zaraz pozna, że ja ci to powiedziałem. - To tak samo pewnie i Lula biedna była, niech go pomsta spali! Myślisz, że Chaim coś na to poradzi? 262

- Właśnie wyszła szukać Chaima. Powiedzieli jej, że on jest na plebanii. Czaczkiś pewnie jeszcze nic nie wie, co tam zaszło. - Ta chyba, pewnie...

Wargi dziewczyny zaczęły drgać, w oczach pokazały się łzy, usiadła za Chuny, zakrywając twarz rękoma. Widać było jej drobne, sine piersi za dziurkami zdartego na szmatę swetra. - Ty wyjdź, Kierasiński, i zobacz, czy ten żandarm nie wyjechał z lasu. W ogóle zobacz, co się dzieje. Siedzisz jak byk z wybałuszonymi oczyma. Domińska, zobacz, gdzieś się podziała, może zachorowała. Kierasiński wyszedł, skręcił za chałupę. A Chuny zaczął opowiadać, co ta dziewczyna przeżyła strasznego z tymi bandytami z hilfspolicji. Nagle zadudniły kroki Kierasińskiego w sieni i prawie równocześnie zaterkotał raz po razie pistolet automatyczny. - To pod lasem - zawołał Kierasiński - obława poszła na las. Wąskopyski wybiegł ciągnąc za sobą kolbę przez zabłocony próg. Czterech ludzi w tyralierze szło do lasu, dwaj konni stali na wprost duktu. Liczne i rosnące z każdą chwilą strzały hukały po lesie. - Kto to robi obławę? - spytał Chuny Wąskopyskiego.

- Hilfspolicja, a tych dwóch to żandarmi.

- No puść mnie, ja to chcę zobaczyć.

Tam w tyle, pod wysoką szkarpą, poszturchiwało się i padało w śnieg kilkoro ludzi. Był to najciekawszy widok obławy na ludzi zimową porą, bo leżał przed nami prawie cały las w dole i można było policzyć naganiaczy, którzy kopiąc się w śniegu, okrążali tych pod szkarpą.

Chuny spojrzał na nas bardzo dziwnie i rzekł:

- No to my do roboty - docisnął kaszkiet, pomacał kieszenie. Kierasiński wszedł jeszcze do chałupy, przesukał skrzynię starego; pod ćwiluchami leżał chleb i tęgi kawał słoniny. 263

- Wy się nie gniewajcie, wujku, ja zabiorę to dla głodnego. - A to czemu - bronił stary - co wy, komunisty czy jaka zaraza? - Wy lepiej nie pytajcie. W sieni, widziałem, stoi żyto w worku. Rozetrzecie sobie na żarnach. Jakoś sobie poradzicie, grunt, że jest ziarno.

Wychnienia dalibyście swojej kiszce. - Ty Kierasiński z Domińką - powiada Chuny - pójdzicie do Chaima z tym chlebem. - A ta dziewczyna?

- Niech ona tu zostanie, my się nią tutaj zaopiekujemy. Chuny poszeptał coś tej obcej do ucha.

- Rób, co ci rozkazujemy! - zakrzyczał Wąskopyski do Kierasińskiego. - Dokąd?

- Do Trójnoga, rozumiesz. I pilnuj tam, żeby ciepło było. Kierasiński spełnił rozkaz, Domińką powlokła się za nim, nie oglądając się nawet. - Ja tobie nie robię żadnej krzywdy, Domińka. Jutro będziesz miała buty, żeby tam nie wiem co - wołał za nią Wąskopyski. Chuny wyszedł pierwszy i poprowadził nas w kierunku drogi na Pasięki. - Idź ostrożniej, jesteś narwany. Trzeba dobrze zobaczyć dokoła, bo mogą postrzelić ciebie i nie będzie już z tego żadnego pożytku - powiedział Wąskopyski i sam się zaczął denerwować - dwa razy jego karabin nadział się lufą w śnieg. W lesie tymczasem ciągle szło polowanie na ludzi, pluskały kulki, świszcząc zuchwale. Skokami od drzewa do drzewa lub pełznąc zbliżyliśmy się na trzysta metrów do stojących koło rogatki leśnej żandarmów. Zatrzeszczały sroki w pobliżu, Wąskopyski spojrzał na nie wściekle. 264

Chuny skakał z pośpiechem, jego chuda, wysoka postać przylepiła się do ośnieżonego pnia. Od chwili gdy wziął do ręki pistolet Wąskopyskiego (był to stary sztajer), byłem coraz bardziej niespokojny. Wahałem się, czy odciągnąć, żeby sprawdzić, czy jest nabity, każde dotknięcie zardzewiałej lufy opalało zimnem jak żywym ogniem, mróz parzył spoconą dłoń. Chuny, stojąc za drzewem, drobił w miejscu nogami - dał nam ręką znak. Wąskopyskim trzępało zdenerwowanie, potrząsał głową, rozcierał prawą rękę; leżeliśmy dziesięć kroków za Chuny. Strzały paliły bliżej, częściej, wyraźniej. Niebo za lasem pociemniało głęboko.

Zgarbiwszy kark, Chuny podniósł karabin, przystawił kolbę do ramienia z podniesionym łokciem, padł strzał. Słysząc było, jakby ktoś ostrym kłusem zleciał na twarde dno. Oto-to, oto-to, oto-to, przegalopował koń. Wąskopyski odsunął mnie. Skoczyliśmy do przodu. Drzewa zaczęły nam przechodzić z miejsca na miejsce. Koślawy cień żandarma poleciał ku górze i spadł za szkarpę do Pasiek. Przez chwilę było bardzo cicho. Chuny, przytuliwszy karabin do piersi, pobiegł skulony. Drugi żandarm skręcił z drogi i ostro ruszył na nas czarnym koniem. Ktoś przebiegł na ukos duktu. Wąskopyski strzelił, koń poderwał łeb i zaraz Chuny z półprzysiadu wyharatał i żandarm zeskoczył, ciągnąc trzęsie do piersi jak lejce. Pochylony, zrobiwszy jeszcze kilka kroków na bok, runął głową w śnieg, a koń z zadartym łbem poleciał na las. Zza szkarpy pociągnął ktoś do nas serię z automatu ponad głowami. Ukrywając się za drzewa, słuchaliśmy i wypatrywaliśmy, co będzie dalej. Na skraj lasu wyszedł mazepiniec z hilfspolicji. Chuny strzelił tam, ale chybił. I już nie ruszyliśmy się z miejsc, byliśmy gotowi na wszystko. Wąskopyski wydobył pięć magazynków amunicji z kieszeni i położył je przed sobą na kaszkiecie. Milczeliśmy długo i długo leżeli w bezruchu, aż dzień już zaczął zaciągać się 265

szarością wieczoru. Gdzieś daleko dziewczęta wiejskie zaśpiewały coś bardzo smutnego. I w takich chwilach myśli się o swoich najbliższych, wszystko jest jak gdyby w jednej sekundzie przed oczyma. Chuny zaświstał. Po pochyłości ruszyliśmy do tego zabitego. Błądziliśmy w mroku szukając ciemnej plamy na śniegu. Martwo było dokoła i cno jak pod kamiennym sklepieniem. Potem znowu pilnie słuchaliśmy, gdyż trzy wystrzały z karabinu miały być odpowiedzią i zapewnieniem, że Czaczkieś przyjął propozycję poszukiwania razem z nami Leita i Szeruckiego.

KONIEC